

lipiec - wrzesień 2013

27

częstochowski magazyn literacki
Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”





Marian Michalik w pracowni, (foto. Janusz Mielczarek)

SŁOWO OD REDAKCJI

[*** *W biegu. Pospiesznie. Ze słowa na słowo...*]. 3

POŻEGNANIE

Bogdan Knop *Sławomir Mrożek (1930-2013) Wspomnienie* 4
Marian Panek *Dwa razy Mrożek, proszę!* 5
Autograf listu Sławomira Mrożka do Zbigniewa Bebaka 8-9
Roman Lonty *(1943-2013)* 10

WYDARZENIA

Kalendarium - czerwiec 2013 – sierpień 2013 11
Galeria w księgarniach! 11
XXI Dni Częstochońny 11
XI Jesień Poetycka w Złotym Potoku 13
III Sympozjum Historyków Regionalistów Ziemi Częstochońskiej 13
XVII Targi Książki w Krakowie 14

GOŚCIE GALERII

Bożena Gorska, *Ułotnik (fragment)* 15
List z Wyspy Szczęśliwej (wiersz) 20

POEZJA – DEBIUT

Grażyna Ziętek, *Wiersze* 21
Barbara Strzelbicka, *Z jurajskich szlaków*. 22

POEZJA

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Wiersze* 23
Tadeusz Chabrowski, *Wiersze* 25
Małgorzata Franc, *Biała sukienka albo pożegnanie z szafą* 27
Wiesław „Kardynał” Wyszyński, *Wiersze* 29
Dariusz Jacek Bednarczyk, *Wiersze wybrane* 31
Ireneusz K. Korpyś, *Wiersze* 33
Paulina Surma, *Wiersze* 35
Maciej Skalik, *Camera obscura* 37
Robert Jabłoński, *Serve (wybór)* 39

PRZEKŁADY

Epigramaty z antologii „Umarli ze Spoon River” Egdara Lee Mastersa
(wybór i tłumaczenie – Wioletta Grzegorzewska) 40

PROZA

Wojciech Kajtoch, *Listy z Moskwy (fragment szósty – luty/czerwiec 1987)* 43
Wojciech Pestka, *Psie głosy (fragment)* 56
Bogdan Knop, *Powiązania* 62

CONVERSATIO

„*Niech pani pyta. Inaczej niczego się pani nie dowie*”
– rozmowa z dr. Mieczysławem Wygłędowskim 66
Andrzej Kalinin, *Dr Mieczysław Wygłędowski* 71

REPORTAŻ

- Antonín Pelíšek (Czechy), *Wsie, które musiały umrzeć* 72

NA SZTALUGACH

- Janusz Mielczarek 78

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

- Katarzyna Kowal, *Janusz Mielczarek – działalność artystyczna i organizacyjna w zakresie fotografii* (fragment) 79
- Maciej Skalik, *Sztuki mistyczne, czyli dochodzenie do absolutu* 88
- Agnieszka Ziłota, *Poetyckie studium nałogu – różne konstelacje miłości w tomiku Roberta Jabłońskiego „Serce”* 90
- Michał Wilk, *Między światami, czyli poetycki bric-à-brac Agnieszki Ziłotej* 93
- Piotr Głowacki, *O wystawie malarstwa i rysunku Mariana Panka – lipiec/sierpień 2013*
Galeria OPK „Gande Mater” Częstochowa. Magiczna morfologia malarstwa Mariana Panka . 98

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

- Małgorzata Nowakowska – Karczewska, *Teofil Lenartowicz (1822 – 1893)* 100

Z PODRÓŻY

- Tomasz „Aztenty” Barański, *Podróż sentymentalna (ale nie przez Francję i Włochy jak u Laurence’a Sterne’a, tylko przez Świętokrzyskie i Podkarpackie)* 104

HISTORIA W GALERII

- Jan Łączewski, *Xawery Liske* 111
- Jana Łączewskiego przyczynek do historii Częstochowy.*
Częstochowa w okresie II Rzeczypospolitej 1918 – 1939 111

RELACJE

- Barbara Strzelbicka, *Rozważne i romantyczny, czyli Herbert w dwóch odsłonach* 113
- Agnieszka Jarzębowska, *III Noc Poezji i Muzyki w Sieradzu* 114

NOTY O KSIĄŻKACH

- Ciało twojego snu (opowiadania)*, Janusz Mielczarek 116
- Mężczyźni są z Warszawy*, Tomasz Jamroziński 116
- Powiedzcie swoim*, Wojciech Pestka 117
- Homo homini lustrem est (aforyzmy)*, Andrzej Niewinny Dobrowolski 117
- Teraź*, Aleksander Wierny 118
- Alfabet Wyględowskiego*, Mieczysław Wyględowski 118

NOTY O AUTORACH

- Grażyna Ziętek* 22
- Dariusz Jacek Bednarczyk* 32
- Antonín Pelíšek* 77



Foto: Janusz Mielczarka

Wbiegu. Pospiesznie. Ze słowa na słowo. Z zaznaczeniem ważności i bez zaznaczania jakiegokolwiek imperatywu kierującego ruchem spraw. Po prostu dzień za dniem, po kolei w równych odstępach czasu. Na ulicy twarze... wyraźne, wymowne, ludzkie... spowite mgłą, stopione w jedno. Jesień.

W sobotę (05. 10. 2013) czytelnicy zdecydowali, że – kto wie, czy nie cenniejsza – ich Nike należy się Szczepanowi Twardochowi za *Morfine*. W niedzielę (06. 10. 2013) jury konkursowe statuetkę i czek wręczyło Joannie Bator za *Ciemno, prawie noc*. W poniedziałek (07. 10. 2013) królowa polskiego kryminału – Joanna Chmielewska – postanowiła, że tym razem szklaneczkę ginu z tonikiem wypije już pod innym adresem w doborowym towarzystwie, być może Sławomira Mrożka (zm. 15 sierpnia 2013 w Nicei). A przecież jeszcze nie tak dawno, prócz rozlicznych kryminalnych historii zaprawianych sobie właściwym czarnych humorem radziła czytelnikom, *Jak wytrzymać z mężczyzną*, *Jak wytrzymać ze współczesną kobietą* i wreszcie *Jak wytrzymać ze sobą nawzajem*. Sławomir Mrozek w takich kwestiach milczał niewymownie. Po prostu wolał się przyglądać. Pisał...

...niedługo później, w międzyczasie nad filiżanką rosyjskiej herbaty zaparzonej z trzema kwiatami goździka przerzucam strony codziennych gazet i oglądam ich twarze na fotografiach, zawsze czar-

no-białych – dla tych, którzy odeszli, i kolorowych – dla tych, co wciąż trwają. Nawet tu, w podziale na barwność, funkcjonuje wyraźna granica pomiędzy życiem i śmiercią. Zmarłym zbędny róż na policzkach i bruzdy rysują się wyraźniej, gdy podkreślone kontrastem szarości. Dominanta życia niezmiennie podkreśla usta czerwoną szminką i mruży oczy w słońcu października. Na przekór skracających się dni.

Z tej przyczyny 27. numer stał się swoistą galerią twarzy – przywoływanych z pamięci, znanych i obcych, choć jednako ludzkich. Co w nich takiego jest, że pomimo tych samych ingrediencji – każda inna, każda zrosniona z konkretnym imieniem i nazwiskiem? Może fotografie Janusza Mielczarka pozwolą wyjaśnić tę zagadkę? W *Ulotniku* Bożeny Gorską rozrysowana sylwetka artysty od *exegi monumentum* – rzeźbiarza Igora Mitoraja – pozwala zajrzeć głębiej niż tylko przepływać po powierzchni twórczego procesu łączącego myśl z dłutem. Jak daleko potrafi sięgać ludzkie oko, ile potrafi uchwycić i przetłumaczyć na słowa – o tym przekonanie się Państwo po lekturze poezji. Ze szczególną uwagą dla epigramatów z antologii *Umarli ze Spoon River* Egdera Lee Mastersa w wyborze i tłumaczeniu Wioletty Grzegorzewskiej. W prozie – postać Mistrza, lecz pomylił się ten, kto sądzi, iż ma do czynienia z Mistrzem Bulhakowa. Tym razem nie towarzyszy mu Małgorzata i sam bohater najnowszej powieści Wojciecha Pestki *Powiedzcie swoim* więcej ma wspólnego z Wolandem.

Śmierć nie dotyka wyłącznie ludzi. Jest wartością totalną, rozpisana na unicestwienie wszystkiego, czemu dotąd przypisywano kategorię istnienia. Istnienie jest tylko paradygmatem. Śmierć stanowi dogmat – jest niepodważalna. Los – dwoistość idei i formy. W reportażu *Wsie, które musiały umrzeć* Antonín Pelíšek kreśli nieczeski w klimacie obraz miejsc, które muszą ulec postępowi cywilizacji. Czyż i tu nie ukryła się metafora losu?

Dla zmiany miejsca Tomasz „Aztenty” Barański zabierze nas w *Podróż sentymentalną* w miejsca – choć bliskie – to jednak odkryte na nowo.

Z życzeniem dobrego czasu nad lekturą numeru...

W imieniu Zespołu Redakcyjnego

Olga Różniak

(Redaktor naczelna)

Bogdan Knop

SŁAWOMIR MROŻEK (1930-2013) WSPOMNIENIE

Sławomir Mrożek był znanym milczkiem, zatem, kto wie czy milczenie wobec Jego odejścia nie byłoby najlepiej przez Niego przyjęte? Jednak uznałem, że milczeć w obliczu śmierci wielkiego pisarza nie należy.

Nigdy nie poznałem Sławomira Mrożka osobiście. Wynika to z niejasnego do końca lęku mojego względem Bardzo Ważnych Osób. Nie bywam, nie szukam kontaktu, nie spotykam się na targach. Za to czytam. Albo oglądam w teatrze. Trochę jest to mrożkowskie w swym charakterze, co uświadomiłem sobie poniewczasie.

Pierwszy raz zobaczyłem sztukę Mrożka, gdzieś w końcu lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. To byli „Emigranci” wystawieni w teatrze Jana Kochanowskiego w Opolu. „Wrócisz i już nigdy nie będziesz niewolnikiem” – mówił AA do chrapiącego XX, po czym kutyna opadła, na widowni zapaliły się światła, a ja siedziałem jeszcze długą chwilę jak oniemiały. „Emigrantów” oglądałem potem wielokrotnie, jednak ta pierwsza inscenizacja utkwiała mi w pamięci jakoś szczególnie. XX-a grał pan Ryszard Kotys, znany dziś aktor telewizyjny.

Oczywiście najwybitniejszą sztuką dramaturga było „Tango”. Uważam, że nic nie straciła na aktualności. Ta opowieść o tym jak łatwo wymowni marzyciele staczają się w nihilizm, a potem torują drogę bezwzględnym zamordystom, nigdy się nie zestarzeje i pewnie znajdzie kiedyś miejsce wśród dzieł najważniejszych w kulturze polskiej.

Jest jeszcze „Krawiec”, któremu jednak na drodze stanęła „Operetka” Gombrowicza, dzieło jednak wybitniejsze, gdy oba usiłowały ująć ten sam aspekt przemiany kulturowej. Przyznam się szczerze, że sztuk późniejszych

Mrożka nie lubilem i nie umiem nic o nich powiedzieć.

Jednak mistrzostwo osiągnął autor „Monizy Clavier” w krótkiej formie prozatorskiej. Opowiadania Mrożka są zupełnie wyjątkowe. Myśląc o nich, zawsze wspominam Czechowa, choć te twórczości są bardzo do siebie niepodobne. W Mrożku nie ma nic z ciepłej ironii Czechowa, a w Czechowie nie znajdzie się diabelskiej przewrotności Mrożka. A jednak łączy ich to samo poczucie absurdałności świata, w którym przyszło nam żyć. I to samo poczucie zdziwienia tą absurdałnością. Oba te uczucia bardzo wiążą tak z Mrożkiem jak i z Czechowem.

Jest jeszcze coś, o czym warto wspomnieć. Niezwykła przyjaźń Mrożka ze Stanisławem Lemem. Niezwykła, bo wydawałoby się, że nie ma pisarzy na odleglejszych antypodach niż ci dwaj. A jednak! Czytałem tom korespondencji obu krakowskich pisarzy – ponoć najciekawsze listy nie zostały tam zamieszczone, ale sam fakt bliskości duchowej Mrożka i Lema bardzo mnie zafrapował, tym bardziej, że Lem w swych utworach był mi w młodości najważniejszym mentorem. Listy są jednak bardziej „mrożkowskie” – dotyczą spraw przyziemnych i praktycznych.

Nieraz trzeba lat, by pisarz odnalazł swą pozycję w historii literatury, bo po śmierci bywa, że popada w zapomnienie, by po latach znów wrócić na panteon. Nie tylko Norwid tego doświadczył. Mniemam, że Sławomirowi Mrożkowi zostanie to oszczędzone i będzie wśród nas nieprzerwanie.

Bogdan Knop - jesień 2013

Marian Panek

DWA RAZY MROŻEK, PROSZĘ!

Sławomira Mrożka miałem przyjemność spotkać i poznać w czasie swoich premierowych wizyt w Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, gdzie jestem zapraszany przez jego wieloletniego dyrektora Piotra Szczerskiego – mojego artystycznego kolegę, z którym zaprzyjaźniłem się jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych, by realizować później wspólne inscenizacje w teatrze „Fantastron”, „Teatrze 38” w Krakowie, jak i w jego teatrze kieleckim („Proces” F. Kafki, „Król Lear” W. Shakespeara).

Pierwsze spotkanie z Mrożkiem odbyło się w czasie prapremiery sztuki Jana Krzysztofczyka „Kłopot Pana Boga” (25.03.2006), w reżyserii Piotra Szczerskiego. W gabinecie, podczas antraktu w trakcie spektaklu zostałem przez Szczerskiego przedstawiony Mrożkowi i jego żonie Susan. „...Wiem. Znam pana nazwisko. Piotr opowiadał mi niedawno o waszym „Procesie” Kafki...” – powiedział na powitanie. Dalsze rozmowy potoczyły się warto. Wymieniano wrażenia z pierwszej części spektaklu. Spotkanie kontynuowane było dalej, po zapadnięciu kurtyny i oficjalnym bankiecie. Uczestniczyli w nim realizatorzy sztuki, państwo Mrożkowie, zaproszeni teatralni goście, dziennikarze i poseł Przemysław Gosiewski. Rozmawiano o inscenizacji – dramat dotyczył różnych historycznych wątków związanych z działalnością Polskiego Państwa Podziemnego po zakończeniu II wojny światowej na terenie: Kielecczyny, Radomska i Częstochowy. Mroźek bez wątpienia miał swoje osobiste refleksje na temat spektaklu, ale się nimi nie dzielił. Widać było, że się zdystansował do otoczenia, które wydawało mu się – może zbyt polityczne. Rozmawiał przede wszystkim z żoną Susan raz po angielsku, to znowu po francusku.

Sądzę, że nie czuł się dobrze i po piętnastu minutach wycofał się z towarzyszących.

Drugie spotkanie premierowe było bardziej barwne i trochę w innym nastroju. Wszystko zdarzyło się podczas polskiej prapremiery jego sztuki „Wdowy” (29.09.2007), w tym samym teatrze, w reżyserii Piotra Szczerskiego.

Sam spektakl był znakomicie przygotowany i zagrany przez zespół aktorski. Zaskakujący w pointach, refleksyjny, ezoteryczny, ironiczny, trzymający w silnym, teatralnym napięciu. Scena wraz z widownią znajdowała się na jednym poziomie i stanowiła połączoną, wspólną przestrzeń sceniczną. Widzowie siedzieli przy kawiarnianych stolikach – aktorzy podobnie. Jednak część widzów usadowiona była w łóżach. Mroźek z żoną w centralnej, dyrektorskiej. Ja też, mając miejsce na tym samym poziomie, ale z boku – posiadałem wgląd zarówno w to, co się dzieje na dole, ale także w Mrożkowe przeżywanie inscenizacji swojego dramatycznego tekstu. Pamiętam, że był skoncentrowany na grze aktorów i reakcjach innych uczestników spektaklu na przekaz sceniczny. Skupiony oglądał scenę po scenie – tym razem bez swoich kultowych, ciemnych okularów – jak rośnie napięcie na widowni. Czasami coś mówił w konfidenckalnej pozie do ucha swojej żony i uśmiechał się. Myślę, że był zadowolony z inscenizacji. Później chwalił niemiłą grę aktorki w roli Śmierci.



Koniec spektaklu to mocne „big standing ovation”, kwiaty, gratulacje, podziękowania, uściski. Potem oficjalny bankiet, „powtórka z rozrywki”, przemówienia realizatorów, drobne docinki i inteligentne złośliwości, podane śmiesznie, wesoło i na superluzie. W czasie uczyty cateringowej (jak zawsze wspaniale, bogato przygotowany stół), giełda pierwszych komentarzy i kularowe, bardzo towarzyskie, obyczajowe rozmowy.



W tym czasie Mrożek promował również swoje książki, które ukazały się w Wydawnictwie Noir sur Blanc. Między innymi tę, którą napisał w czasie powrotu do zdrowia po rozległym udarze mózgu. W słowie „Od Autora” w swoim „Baltazarze” ujął to w ten sposób:

„Nazywam się Sławomir Mrożek, ale na skutek okoliczności, które zaszły w moim życiu cztery lata temu, moje nowe nazwisko będzie znacznie krótsze: Baltazar.”

Dnia 15 maja 2002 roku przeżyłem udar mózgu, którego wynikiem była afazja. Afazja jest to częściowa lub całkowita utrata zdolności posługiwania się językiem, spowodowana uszkodzeniem niektórych struktur mózgowych...”

Wiedziałem o tym zdarzeniu i byłem zainteresowany przeczytaniem tej książki. We foyer, w trakcie trwającego przyjęcia, stanęły dwa stoliki i dwie długie kolejki do nich. Jeden był obsługiwany przez pisarza podpisującego

swoje wydawnicze pozycje, a drugi przydzielono sprzedającym je „teatralnym” paniom z wolontariatu. Ustawilem się w kolejce do kupna i po, być może, jeszcze coś więcej niż jeden egzemplarz tych wspomnień. Miły pan przede mną powiedział, „...dwa razy Mrożek, proszę... to znaczy „Baltazara” dwa razy... dla mnie i dla córki...”. Ja kupilem jednego. Widząc, że ludzki wężyk po autografy dramaturga zapętleł się i gryzie swój ogon, poszedłem na „co nie co” do otwartego dla wszystkich gabinetu Piotra. W przechodnim, dużym sekretariacie pogratulowałem Jerzemu Bończakowi świetnej aktorskiej kreacji oraz myślę, że szczególnej w jego karierze artystycznej realizacji. Tu można było zapalić papierosa w gronie poruszonych spektaklem pań, wymienić również premierowe, już nie pierwszej świeżości wrażenia i opinie. Wszedłem dalej. Gabinet był pełen ludzi i dużego „co nie co” do wyboru przy stole. Znajome i nieznajome twarze. Spotykam Jurka Sitarza (kierownik literacki teatru), robi do mnie znaczące, rytualnie refleksyjne miny i gęby. Są też inni koledzy z „Teatru 38”. Gadamy, wymieniamy syntetyzujące, okolicznościowe opinie na temat tego wydarzenia. Dużo fajnego wspomnieniowo-sentymentalnego „kopa” przy wspólnym picu „liskacza”.



Przychodzi Pan Sławomir z rodziną. I tu znowu gremialna prośba o następną turę wpisów na prośbę obecnych. Mrożek, tym razem

umiejscowiony za biurkiem Szczerskiego, kontynuował już dłuższe rozmowy z fanami zainteresowanymi jego twórczością i osobą. Uśmiechając się, zdawał się być zarówno obecny jak i nieobecny. Był miły, rzeczowy, konsekwentny, wyważony w swych wypowiedziach. Kiedy podałem mu egzemplarz „Baltazara” do podpisania, zapytałem:

– Czy jest pan zadowolony z realizacji „Wdów”?
– Och tak! Jest tam jeszcze tyle do powiedzenia! Myślę, że Śmierć powinna być jeszcze bardziej zabawna.

Siedząc naprzeciw, zobaczyłem człowieka dobrze przygotowanego na różne „premierowe ostateczności”.

– Proszę, dla kogo wpisać?

– Dla mnie.

Uśmiechnął się.

– Proszę przypomnieć nazwisko – widać pamiętał moją osobę, ale nazwiska nie bardzo.

– Marian Panek – powiedziałem.

Widząc, że wpisuje do „Baltazara” – Dla Marianowi Fankowi...

– Przepraszam... – przerwałem – ... Pankowi.

– Ach tak, Pankowi... – poprawił F na P, a potem podpisał się – ...Śl. Mrożek.

Marian Panek

**Zamieszczone fotografie pochodzą ze zbiorów Mariana Panka.*

Dla

Marianowi Pankowi

Śl. Mrożek



Sławomir Mrożek
 II Św. Sebastiana 20/5
 31 049 Kraków

8 II 2004 2002

Drogi Hymku,

Dziękuję za list Twój napisany 5 II 2002.
 Rozumiem, że Tobie wydaje się on niedo-
 -teczny, ale cytelnik (ja) nie ma takiego
 wrażenia. Gdybym się nie ośmielił coś i jak
z Tobą się dzielić, nie ośmielił tym się.
 Ten list, w treści i formie (charakter pisma)
 jest absolutnie normalny.

Rozumiem też, ile nienormalnego wysiłku
 Cię kosztowało napisanie tego listu, bo
 pamiętam moją kiedyś taką sytuację. Wiem to,
 ale odczuć to w momencie, kiedy jest
 się takiej sytuacji protagonistą może ~~ty~~
 (i musi) tylko sam protagonista. Jest się
 wtedy zupełnie samotnym. Na szczęście
 nawet nie myśli się o tym. Walka o życie
 jest formą absorbującą, że tak powiem.

Tymbowskiej Ci nie zdradzę, że
 ten list napisałeś. Będziem więc
 przychodzić do siebie, cokolwiek to znaczy.
 A wraz ze zniknięciem gotowy odrywać
 stopniowo luksus i utracenie refleksji.
 Wrócisz do ~~refleksji~~ siebie, a tym samym

2

o kłopotów ze sobą. ^{Ci}Życie, zchyl
 sobie potaszkę z myśleni tak dzielnie,
 jak sobie potaszkies z ciem. Ktoś,
 choć cierpią i stabe, nie opuścilo Ci
 jednak, to nie oopuścies, zichy Ci
 opuścilo.

Wyjeżdżam za parę dni i hołę
 z powrotem olopię po 7 kwietnia.
 Mam nadzieję, że Twój następny
 list otwożni Twój - także powst,
 ale, o wiele ważniejszy, niż mój.
 Bo ja wrócę ~~z~~ wprawdzie z ołoi
 ołaleka, ale ty wrócisz, już zacięty
 wracaci, z metrumie ołaleka.

Jestem Ci

Twój jak zawsze

Stawomir m.

ROMAN LONTY (1943-2013)



Jerzy Duda-Graczy i Roman Lonty (foto: Janusz Mielczarek)

KONDOLENCJE

29 października 2013 r. odszedł

Roman Lonty

architekt, animator i autorytet kultury, promotor młodych artystów,
dobry człowiek o otwartym sercu

Pani

Sabinie Lonty

oraz całej Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Męża

składa

Zarząd oraz Członkowie

Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”

KALENDARIUM CZERWIEC 2013 – SIERPIEŃ 2013

19 czerwca – Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego objęło honorowym patronatem zbliżające się obchody 80. rocznicy urodzin Andrzeja Kalinina;

28 czerwca – wernisaż prac Mariana Panka w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”;

29 czerwca – 10. Noc Kulturalna;

11 lipca – Prezydent Częstochowy dołączył do grona honorowych patronów zbliżających się obchodów 80. rocznicy urodzin Andrzeja Kalinina;

18 lipca – ukazała się „GALERIA” 26;

25 lipca – 79. urodziny Jana Łączewskiego

15 sierpnia – licznik internetowej strony Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji

„Li-TWA” (www.litwa.czyst.pl) odnotował wizytę 5-tysięcznego gościa;

17 sierpnia – rozpoczęcie prac redakcyjnych nad 27 numerem „GALERII”;

23 – 31 sierpnia – XXI Dni Częstochowy;

24 sierpnia – Wiesław „Kardynał” Wyszyński został laureatem nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy za całokształt twórczości. W kategorii sztuk plastycznych ex quo nagrody otrzymali Janusz Mielczarek oraz Arkadiusz Zając.

25 sierpnia – wystawa prac Mariana Panka w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”.

Rafał Socha

GALERIA W KSIĘGARNIACH!

Miło nam poinformować naszych Czytelników, że od **15 września 2013 roku** „częstochowski magazyn literacki GALERIA” jest już dostępny w **księgarniach sieci DOM KSIĄŻKI** sp. z o. o. Informacja o dostępności kolejnych numerów naszego pisma będzie umieszczana na plakatach wywieszonych w witrynach księgarni.

Zapraszamy stałych Czytelników i tych, którymi powoduje wyłącznie ciekawość, do szturmowania księżnic i nieustannego dopytywania o „GALERIE”. W ten sposób wspieracie Państwo istnienie jedynej tego typu w mieście publikacji z zakresu lokalnej twórczości literackiej i artystycznej.

red.

XXI DNI CZĘSTOCHOWY

Wręczono nagrody Prezydenta Miasta

Podczas galowego koncertu inauguracyjnego **XXI Dni Częstochowy wręczono nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy** w dziedzinie kultury. Laureatów było sześć, w tym jeden zbiorowy – Zespół Pieśni i Tańca „Częstochowa” obchodzący w tym roku swoje 35-lecie.

Za całokształt swojego dorobku literackiego nagrodzony został poeta **Wiesław Wyszyński**. Debiutował w latach 80., a w 1983 roku opublikowanego arkusz poetycki.

W 1989 roku ukazał się drugi arkusz poetycki „Miejsce stałego pobytu”. W latach 1989-1992 był gospodarzem Klubu Stowarzyszenia Środowisk Twórczych. Inicjator spotkań literackich i artystycznych, założyciel Klubu Literackiego „44”. W 2005 roku wydał tomik poezji „Niebieska cyrkulacja”, a w 2008 „5/7”. Nagroda w tej kategorii przyznano na wniosek naszego Towarzystwa. Oprócz przynależności do Towarzystwa także członek Związku Literatów Polskich.

Sztuki plastyczne miały w grupie tego-
rocznych laureatów dwóch przedstawicieli.
Malarz i rysownik **Arkadiusz Zajac** (dyplom
z malarstwa uzyskał w 1996 r.) współpracuje
z renomowanymi galeriami w Polsce. Laureat
konkursu dla młodych malarzy im. Mariana
Michalika oraz konkursu w Lesznie. W dorob-
ku ma ponad 45 wystaw, aukcje charytatywne
sztuki współczesnej, m.in. w Nowym Jorku.
Jest też autorem ilustracji książkowych oraz
plakatów. Obok niego nagrodę odbierał fo-
tografik **Janusz Mielczarek**, od ponad 50 lat
związany ze środowiskiem twórców i anima-
torów kultury w Częstochowie. W 2001 roku
współtworzył Jurajski Oddział Fotoklubu
RP, będąc również jego długoletnim szefem.
Opiekun i mistrz znanych dziś twórców.
Ma na koncie wiele wystaw indywidualnych
i zbiorowych. Wydarzeniem była jego wystawa
„Galernicy” oraz jej rozwinięcie prezentujące
częstochowskich ludzi kultury. Od niedawna
uczestniczy w życiu Towarzystwa z dorob-
kiem literackim w postaci książek „Zanim
wyrzucą cię z samolotu”(1986), „Hrabalowi-
sko”(2011), „Ciało twojego snu”(2013).

Kolejna nagroda w dziedzinie kultury
trafiła w ręce aktora **Roberta Rutkowskiego**.
Do Teatru im. Adama Mickiewicza dołączył
w 1990 r. Dał się poznać jako znakomity in-
terpretator wierszy na Salonach Poezji.

Za całokształt działalności w dziedzinie
ochrony i promocji kultury ze szczególnym
uwzględnieniem propagowania turystyki
kulturowej poprzez organizację i promocję
wydarzeń artystycznych oraz atrakcji kulta-
ralnych Częstochowy nagrodzono **Elżbietę
Trzeciak**. Mecenaszem Kultury 2013 został
Zygmunt Rolat oraz **Telewizja ORION**.

Twórczość Wiesława Wyszyńskiego,
Arkadiusza Zajac i Janusza Mielczarka pre-
zentowana jest na łamach 26. numeru „GA-
LERII”. W podziękowaniu Janusz Mielczarek
podkreślił że po raz pierwszy nie wyróżniono
tzw. „komandosów”, czyli „częstochowian
z przypadku” związanych z Częstochową
poprzez drobne epizody biograficzne a przy-
jeżdżających tylko po to do Częstochowy, by
zainkasować nagrodę, co zgromadzeni przyjęli
ogromnym aplauzem.

wep



Nagrodzeni: Elżbieta Trzeciak, Robert Rutkowski, Arkadiusz Zajac, Janusz Mielczarek, Wiesław „Kardynał” Wyszyński.

Foto: Zbigniew Milka

XI JURAJSKA JESIEŃ POETYCKA W ŻŁOTYM POTOKU

W dniach 12-13 października 2013 roku, w malowniczą scenerię Żłotej Potoku jedenasty raz z rzędu zawitała Jurajska Jesień Poetycka.

W sugestywnych pokojach dworku Zygmunta Krasińskiego Janowski Klub Literacki proponował literackiej braci Turniej Jednego Wiersza, prezentację własnej twórczości, wspomnienie o Jurku Tawłowiczu w Jego poezji o Żłotym Potoku, Jurajską Jesień Muzyczną w Kościele w Żłotym Potoku, ognisko biesiadne w Stajni Wiking oraz zwiedzanie Żłotej Krainy Pstraga.

Organizatorami spotkań od lat są: Janowski Klub Literacki, Samorządowy Ośrodek Kultury i Sportu w Janowie, Urząd Gminy Janów oraz Muzeum Regionalne im. Zygmunta Krasińskiego w Żłotym Potoku, a koordynacją przedsięwzięcia kieruje znana w środowisku poetka, autorka i wykonawczyni piosenek, inicjatorka wielu artystycznych imprez – Urszula „Serducha” Ostrowska.

red.

III SYMPOZJUM HISTORYKÓW REGIONALISTÓW ZIEMI CZĘSTOCHOWSKIEJ

16 listopada 2013 roku w Sali Sesyjnej Urzędu Miasta Częstochowy odbędzie się już po raz trzeci Sympozjum Historyków Regionalistów Ziemi Częstochowskiej. Konferencja ma charakter naukowy i podejmuje szeroko rozumianą tematykę historyczną dotyczącą zagadnień z zakresu archeologii, regionalizmu, archiwistyki, muzealnictwa związanych z Ziemią Częstochowską, a także powiązań miasta i okolicy, regionu w perspektywie mikro- i makroskali.

Od początku istnienia inicjatorem i organizatorem sympozjum jest Zbigniew Biernacki – człowiek-instytucja dla miasta Częstochowy, antykwariusz, regionalista i badacz dziejów Ziemi Częstochowskiej. Jak sam stwierdził przy okazji ubiegłorocznego sympozjum, „spotkanie ma przede wszystkim na celu integrację ludzi zajmujących się badaniem i opisywaniem historii regionu”. Stąd inicjatywa ta wzbudza spore zainteresowanie i przyciąga do udziału osoby spoza Częstochowy.

Do stałych uczestników należą m.in. Zbigniew Malek (archeologia), Jarosław Kapsa (regionalizm), Zbigniew Stańczyk (biblioteki i archiwa), Krzysztof Kasprzyk (film i fotografia), Krzysztof Przeździński (prawo autorskie) czy Tomasz Haładyj z częstochowskiej redakcji „Gazety Wyborczej” reprezentujący prasę lokalną.

W tegorocznej edycji Andrzej Kuśnierczyk wystawi wyniki kwerendy „Od «Korzeni» do Muzeum Regionalnego w Kamienicy Polskiej”. Jacek Tomczyk wystąpi z odczytem nt. Towarzystwa Genealogicznego Ziemi Częstochowskiej. Kwestię medycyny i publikacji jej poświęconych omówi dr Mieczysław Wyględowski. „Portrety częstochowian na podstawie XIX-wiecznych przewodników” zaprezentuje Robert Sikorski. Grzegorz Czepiczek przedstawi stronę internetową poświęconą Wystawie Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie w roku 1909 oraz zaprosi na wirtualny spacer po Częstochowie. Na zakończenie obrad prof. Dariusz Żłotkowski wyjaśni stan „Badań nad przeszłością regionu i miasta prowadzone na AJD w Częstochowie”.

Już dziś zapraszamy do udziału w Sympozjum wszystkich zainteresowanych.

red.

XVII TARGI KSIĄŻKI W KRAKOWIE

W dniach 24 – 27 października 2013 Kraków już po raz 17. był gospodarzem jednej z największych czytelniczych i wydawniczych imprez w Polsce – Targów Książki – objętej Honorowym Patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego.

Targi od lat cieszą się sporym zainteresowaniem, które znajduje potwierdzenie w statystykach różnej maści – liczba odwiedzających idąca w tysiące, pół tysiąca spotkań, setki autorów, konkursy, panele dyskusyjne, wystawy i koncerty. Stąd miano największej tego typu imprezy krakowskie Targi zyskały zasłużenie, bowiem od wielu lat skupiają niemal wszystkie wydawnictwa (jest ich ponad pięćset), jakie działają na terenie kraju a także poza nim, oferując nowości wydawnicze i przekłady z całego świata.

Rozmach towarzyszył przede wszystkim dopracowanej liście zaproszonych gości oraz imprez towarzyszących targom i rozsiągnięciom po przestrzeni miasta. W tym roku wśród zaproszonych autorów znaleźli się m.in.: Paweł Adamowicz, Artur Andrus, Kira Galczyńska, Rita Gombrowicz, Julia Hartwig, Szczepan Twardoch, Sławomir Koper, ks. Wojciech Lemański.

Targom od roku 2011 towarzyszy Salon Małe Ojczyzny, który w roku bieżącym objął Kaszuby i Gdańsk.

W ramach Targów przyznawana jest co roku Nagroda im. Jana Długosza – niezależna inicjatywa kulturalna promująca dzieła z dziedziny szeroko rozumianej humanistyki. Konkurs ma na celu zwrócenie uwagi na to, jak ważny wkład wnoszą polskie publikacje w rozwój światowej nauki i kultury. W 2012 r. Nagrodę im. Jana Długosza otrzymał profesor Andrzej Friszke za książkę *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* wydaną nakładem SIW Znak.

W programie targów przewidziano cykl spotkań: z prof. Henrykiem Olesiakiem, autorem *My Europejczycy - nasze tożsamości i nasze emigracje jako kontekst badań i twórczości*, z Barbarą Toruńczyk wokół książki *Z opowieści wschodnioeuropejskich*; z Julią Hartwig wokół tomu *Zapisane*; z Petrą Hůlovą, autorką *Plastikowego M3, czyli czeskiej pornografii*, oraz z Emilem Haklem, autorem *Zasad śmiesznego zachowania*.

Warto dodać, że podczas targów miała miejsce wydawnicza premiera wydanej pod koniec września 2013 w krakowskim wydawnictwie „Wysoki Zamek” książki Wojciecha Pestki *Powiedzcie swoim*, której fragment prezentujemy na łamach GALERII 27, a już 20 listopada zapraszamy do OPK „Gaude Mater” na częstochowską promocję powieści.

red.

17. Targi Książki
w Krakowie

24-27
października
2013
Kraków



Bożena Gorska

ULOTNIK

(Fragment)

Te zapiski pochodzą z notatnika, który nazywałam „Ulotnikiem”, nieprzeznaczonego jako całość do jakiegokolwiek publikacji. Prowadzę je głównie ze względu na rodzinną młodzież, bowiem dużo miejsca zajmują w nich osoby, wydarzenia i sprawy ważne wyłącznie dla naszego wąskiego kręgu, a już tylko ja o nich wiem, czy je pamiętam. Ale przyjęta przeze mnie dość swobodna forma wielogatunkowych wypowiedzi pozwala od czasu do czasu wchłaniać tematy mniej prywatne, a bardziej ogólne. Przy okazji bywają te notatki „wprawkami” i ćwiczeniem stylu.

Dowiedziałam się niedawno, że taki rodzaj zapisków, bez żadnej konstrukcji literackiej, zawierających wspomnienia, refleksje, anegdoty, jest znanym w tradycji japońskiej gatunkiem literackim. Nosi nazwę *zuihitsu*, a okres jego największej popularności w Japonii to wieki XVII – XIX, chociaż pojawił się już w X. Ho, ho!

01.05. 2013

MIT O RAJU

Z nazwiskiem Mitoraja zetknęłam się wiele lat temu (bodajże w jakimś „Przekroju” czy „Ty i Ja”), jak tylko zaczął odnosić sukcesy za granicą. A przed dziesięciu laty widziałam kilka jego prac w Kordegardzie. Wywarły na mnie duże wrażenie, bo takie inne przez to, że piękne. Zwłaszcza że dziś im grubiej ciosane i bardziej koślawe albo garbate czy też przerysowane są dzieła współczesnych, pożał się Boże, „tfurców”, tym większy aplauz im towarzyszy. Czy to dlatego Warszawa ma tak marne pomniki? (Chociażby zabiedzony, zmęczony, może nawet umyślowo „sprawny inaczej” Prus, Starzyński przyodziany w „paczkę” baletnicy uszytą z planu Warszawy, czy Konopnicka jak kwoka siedząca na jajach.)



Igor Mitoraj, *Ikar, Ikar, Ikar, Ikar*,
Ikar uskrzydłony (fot. B. Gorska)

Obecna warszawska wystawa rzeźb Igora Mitoraja trwała od lutego. Od razu sobie postanowiłam sfotografować to, co stoi w plenerze, tylko wołałam już wiosną. To był w istocie „szalenie oryginalny” pomysł – okazało się, że ludzie jakby się umówili, każdy, kto znalazł się w pobliżu tych kolosów, trzymał w garści aparat! Pół Warszawy i wszyscy przyjezdni mają teraz własne albumy rzeźb Mitoraja. Cieszy fakt, że to były decyzje spontaniczne, wynikłe z prywatnych ludzkich potrzeb – na pewno nikt nikomu nie kazał.

Poza tymi w plenerze zaprezentowano też sporo dzieł w bibliotece zamkowej. O ile na zewnątrz, co zrozumiałe, były same brązy, tu i brąz, i marmur, i terakota. I mniejszy format. Wystawie w bibliotece towarzyszyły filmy o artyście. W jednym trochę mówił. Spokojnie, mało, w sposób wyważony. Tak jak trzeba, bo rzeźbiarz ma rzeźbić, a nie gadać. Był powściągliwy, ale zahaczył o najistotniejsze wątki: sacrum, piękna okaleczono, zakochania się w dziele sztuki, niemożliwego spełnienia, a także – pragnienia, żeby na koniec przeistoczyć się w rzeźbę. To było platońskie, romantyczne i takie jakieś bardzo młodzieńcze. W drugim filmie pokazano

montaż Centaura w odlewni w Pietrasanta. Fascynujące!

O kontemplacji dzieł trudno pisać, bo język okazuje się nieudolny, a słowa mało pojemne. A może to raczej we mnie powstaje jakaś bariera, lęk przed stoczeniem się w banal. Bo wyrazić tego do końca nie sposób. To się odczuwa, o tym się nie mówi. Odbiera się intuicyjnie. Zaglądałam do książki pamiątkowej. Trochę wyglupów młodzieży – ta dzisiaj ma bezgraniczną odwagę i tupet – trochę sądów mędrków, co to wiedzą więcej od autora i parę zachwyty ledwie wyartykułowanych (autentyczne piękno i prawdziwa miłość onieśmielają).

Rzeźby Mitoraja zawierają olbrzymi ładunek emocjonalny i myślę, że pobudzają do drgania nasze wewnętrzne struny. Działają jak medium Tajemnicy, chociaż nie jest powiedziane, że odbieramy te same treści, które nadaje autor.



Igor Mitoraj, *Ikaria* (fot. B. Gorska)

Oprócz obcowania z rzeźbami trafiła mi się frajda uczestniczenia na Zamku w spotkaniu z Igorem Mitorajem. Były tam momenty tak groteskowe, jakby duch nieboszczyka Gombrowicza unosił się pod sufitem. Spotkanie prowadziło dwoje redaktorów – pani z radia i pan z „Rzeczpospolitej”. Pierwsze rzędy obsiedziane, aczkolwiek niezbyt gęsto, przez śmietankę ministerialno-naukowo-dziennikarską.

Mitoraj już w filmie i na zdjęciach w albumie wyglądał na pokaźnego faceta, ale nie myślałam, że ma chyba ze dwa metry. Przy tym krzepki krzepą chłopa ciężko pracującego fizycznie. Postura jak spod dłuta Fidiasza. W ruchach lekkość, pomimo masy. Przystojny – do licha!

No a teraz pani dziennikarka, bo to istotne. Kobitka raczej nieduża, wiosen na oko pięćdziesiąt. Wystylizowana na dwudziestkę: czarne matowe rajstopy, czarna spódniczka mini, nogi takie sobie niekoniecznie, beżowy żakiet, mnóstwo szkielek i świecidełek na szyi. Makijaż jak maska Tutanchamona, pod maską – mumia. Takich fałszywych dwudziestek i nastolatek było jeszcze kilka na widowni. Ciała anorektyczne, obleczone obcisłą materią. Buzie zwiedle, ale wymalowane (im bardziej, tym bardziej). Skutek manipulacji prowadzonej za pomocą reklam i artykułów w pismach kobiecych. Tylko młodość jest ważna. Szczególnie jeżeli masz się liczyć „w branży”. Dobijasz do czterdziestki – wypadasz z gry! Ta dziennikarka na pewno nie słyszała wypowiedzi właśnie tegoż Mitoraja w radiowej dwójce parę tygodni wcześniej. Mówił o kulcie „wiecznej młodości” w kulturze masowej i o tym, że sztucznymi środkami nie da się nikogo oszukać. I jeszcze mówił o autentycznym pięknie, fizycznym i duchowym, którego ten plastikowy świat w ogóle nie jest w stanie odczuć ani zrozumieć. I o swoim szczęściu, że może być od tego plastikowego świata jak najdalej.

Pani dziennikarka koniecznie chciała przy Mitoraju „zaistnieć” i jak widać prze-

widziała ten wieczór na swój benefis. Nie chodziło jej o bliższe poznanie artysty. Ona w ogóle nie była go ciekawa. Przez cały czas próbowała go przykroić na miarę własnej głupoty. Była sztuczna w wyglądzie, zachowaniu i słowach. Żałośnie nachalna i nieudolna. Przekładała nóżki – prawą na lewą, to znów lewą na prawą, to obie ustawiała równolegle i przechylała na bok, zgodnie z podręcznikami „mowy ciała”. Wyraziście gestykulowała. Jej ciało miało cały czas pełne ręce roboty. Ustawiała głos na minoderyjne tony. Pan redaktor od początku pozostawał w cieniu, a później w ogóle zrezygnował z zadawania pytań. Tu już muszę „mową niezależną”, z didaskaliai i uwagami własnymi – inaczej się nie da.



Igor Mitoraj, *Tors wielkiej Ikarii* (fot. B. Gorska)

Dziennikarka: Jaką rolę w pana twórczości odgrywa mitologia? Na drugiej stronie „Ulissesa” Joyce’a Stefan Dedalus zostaje zapytany, skąd to jego niedorzeczne starożytne nazwisko. Kilka pana rzeźb nosi imię Ikar. Czy jest to zamierzone? (Nóżka prawa hop na lewą.)

Mitoraj: *Całkiem niezamierzone, wręcz przypadkowe. Bo ja często otwieram na chybił trafił encyklopedię i jak spotkam słowo, które mi się podoba, to je zapisuję, a potem mam gotowe imię dla rzeźby.* (Publika bije brawo.)

[Cała twórczość Mitoraja z mitów i archetypów wyrasta, nimi się żywi, jest nimi prześląknięta na wskroś. Mitoraj czuje mit na sposób starożytny i pierwotny – o ile nasze wyobrażenia o tym, co starożytne i co w nas pierwotne mogą się zbliżyć do prawdy. Ikar to jeden z najważniejszych znaków Losu. Powszechny i jego prywatny. Ale obok Ikara pojawia się – wymyślona przez artystę – Ikaria. Cudowna, mocna (nogi jak kolumny), mimo to lekka, skrzydlata. I groźna – z Meduzą na wzgórku łonowym. Z męską ręką mocno obejmującą jej prawą nogę w kostce. Przytrzymującą na ziemi?]

Dziennikarka: *Jest pan artystą bardzo tajemniczym, tajemnicze jest pana pochodzenie. Może powie pan coś o swoim dzieciństwie, o poszukiwaniu ojca...* (Przełożenie nóżki lewej na prawą i wymowny gest ręki – młynek od siebie.)

Mitoraj: *Nie będę rozmawiał na ten temat.*

Dziennikarka: *Najpierw uczył się pan w szkole chemicznej. Dlaczego pan ją porzucił? To taka dobra szkoła, dawała zawód.*

(Obie nóżki równolegle, przechylone w bok.)

Mitoraj: *Już wtedy dobrze wiedziałem, czego chcę. Chciałem być artystą.*

Dziennikarka: *Kilka lat temu stracił pan mamę, z którą był pan bardzo związany. Czy może pan coś powiedzieć o tym doświadczeniu?*

(Ręce w geście: „jest mi smutno”.)

Mitoraj: *To nie jest temat do rozmowy.*

[Fragment filmu: Mitoraj w pracowni słucha lamentu Orfeusza z opery Glucka, *Che farò senza Euridice!* Muzyka chwyta za gardło. Artysta coś bardzo błyszcząco. Aż dziwne, że się tak otworzył przed operatorem.]

Dziennikarka: *W pierwszym rozdziale „Ferdynurke” Gombrowicza jest mowa o kulturalnej ciotce jako arce przymierza między dawnymi i młodszymi laty... blablabla... Czy pana twórczość jest realizacją myśli Norwida... blablabla...?*

(Nóżki prosto, zdecydowanie, mocno trzymają się podłogi: „jestem mądra i piszę doktorat”.)

Mitoraj: *Ależ proszę pani, nie wiem. Ja nie jestem aż tak wykształcony.*

(Huragan śmiechu publiczności i brawa przez minutę. Dopiero teraz dziennikarka jakby coś zrozumiała, bo z jej twarzy zniknął głupi uśmiech. Mądrej głowie dość pałąk w łeb.)

Panienka z sali: *Czy interesuje pana jako model ciało męskie, czy kobiece?*

Mitoraj: *I jedno, i drugie jest tematem moich zainteresowań. W sztuce nie ma podziału na męskie i żeńskie.*

[Pytanie panienki miało oczywiście wyraźny podtekst. Ale skoro już jestem przy tym wątku – warto zwrócić uwagę na to jak Mitoraj różnicuje formy. Inaczej „czuje” ciało męskie, inaczej kobiece. U niego męczyzna jest męski, kobieta kobieca, a czasem postać ma cechy androgyniczne, na przykład Eros („Narodziny Erosa”). Przyglądam się na nowo fotografiom rzeźb Michała Anioła. Jednak jego kobiety, chociażby te z nagrobków Medyceuszy, są po męsku atletyczne. Gdyby taka wyciągnęła ramię i przyłożyła, to nie daj Boże. A co do podziału sztuki na „męską” i „żeńską”, bardzo drażni mnie określenie „literatura kobieca”. Jakieś Gretkowskie, jakieś Grochole. Tfu, szkoda czasu i ócz. Gustuję w solidnej „ludzkiej” literaturze.]

Ta sama panienka: *Gdyby webikut czasu mógł pana przenieść bezpowrotnie w przeszłość, jaką epokę by pan wybrał?*

Mitoraj: *Gregę Peryklesa.*

Głos z sali: *Słyszałam, że pana pracownia jest miejscem spotkań elity twórczej, ośrodkiem światowego życia artystycznego...*

Mitoraj: *To zdarza się czasem. Gdyby tak było na co dzień, nie mógłbym pracować. Poza tym nie przepadam za kontaktami ze światem, jestem mało medialny. Najbardziej lubię przebywać u siebie, w Pietrasanta.*

Głos z sali: *Jacy artyści światowej sławy wymarli na pana wpływ w przeszłości?*

Mitoraj: *Wspominam kontakty z Fellinim i Giuliettą Masiną. Fellini był ogromnej postury, ważył 110 kilo, a głosik miał cieniutki, taki chłopięcy dyszkancik. Spotykałem się kilkakrotnie z obojgiem. Masina to była fascynująca postać, o wielkiej sile wewnętrznej, to ona go podtrzymywała. Miała niesamowite przenikliwe spojrzenie. Sporo czasu spędziliśmy na rozmowach w cztery oczy.*



Igor Mitoraj, *Centaur* (fot. B. Gorska)

Dziennikarka: *Rozmowy w cztery oczy. To znaczy, że więcej pana łączyło z nią niż z nim? Nie bywali u pana razem?*

Mitoraj: *Każde z nich miało osobny krąg towarzyski.*

Głos z sali: *Proszę coś powiedzieć o pana mistrzu, o Kantorze. Jaka była jego metoda pracy ze studentami?*

Mitoraj: *Właśnie nie uczył nas rzemiosła. Było to raczej formowanie osobowości. Rzemiosła uczyłem się i uczyć się sam. Bo ja się ciągle ucze. Studio wałem malarstwo, ale zawsze byłem rzeźbiarzem. Do tego doszedłem wieloletnią pracą. Terminowaniem w odlewni.*

Głos z sali: *Czy pan pamięta swoją pierwszą rzeźbę?*

Mitoraj: *To było na studiach u Kantora. Taka forma przestrzenna owinięta, obandażowana. To jest w ogóle ciekawe – obandażować rzeźbę. Coś ukryć, pozostawić w tajemnicy...*

[Obandażowana marmurowa głowa była jednym z najciekawszych obiektów w bibliotece zamkowej. Marmurowy bandaż, pomarszczony, pofalowany, a pod nim, niejako przez ten marmur, widać dokładnie całą formę, której faktycznie nie ma. „Nie ma, a jest!”]

Głos z sali: *Czy ma pan uczniów?*

Mitoraj: *Mam czterech młodych pomocników. Dwaj to chłopcy z odlewni. Rzemieślnicy. Uczą się przy mnie rzeźbić. Może zostaną rzeźbiarzami.*

Głos z sali: *Czy któraś z polskich akademii sztuk pięknych zaproponowała panu prowadzenie wykładów albo zajęć?*

Mitoraj: *Chyba się nie odważę odpowiedzieć, bo tutaj siedzi pan profesor... Cóż, powiem tylko, że podczas tego pobytu spotkało mnie raczej sporo przejawów zazdrości...*

[Tak się „popisała” między innymi pani M.P., znana historyczka sztuki. Nic to nowego. Jeżeli nie mogę go ugryźć w piętę, bo za wysoko stoi, to przynajmniej go oszczekam.]

Głos z sali: *Podobno woli pan bohaterów zwyciężonych od zwycięskich...*

Mitoraj: *To prawda. W zwycięzcy nie ma niczego ciekawego. Zwyciężony, pokonany to ból, dramatyzm, tajemnica... Sztuka powstaje z przezwyciężania okaleczeń. Lubię bohaterów upadłych. Bohater, który upada, ma możliwość podniesienia się, powstania. Ma w sobie dynamizm. Ten, kto nie upada, jest zawsze taki sam. Nie rozwija się.*

Panienka z sali: *Jaką rolę w pana życiu grają anioły? Czy pan je spotyka?*

Mitoraj: *Nigdy nie widziałem anioła. Anioła w ogóle nie można zobaczyć. Nasze wyobrażenia istot ze skrzydłami to tylko tradycja. A może ktoś z państwa widział anioła?*

(Cisza.)

A co do ich roli... Kiedy montowaliśmy w Rzymie fontannę, spadłem z ogromnej rzeźby do basenu – i nic mi się nie stało. Widać uratował mnie Anioł Stróż...

Głos z sali: *Czy podejmuje pan w twórczości tematy religijne?*

Mitoraj: *Tak się złożyło, że mam ostatnio zamówienia „maryjne”. Moja rzeźba „Visitazione” (Nawiedzenie), marmur, zresztą niedokończona, po prezentacji na wystawie znalazła się docelowo w kaplicy w rzymskim kościele Santa Maria degli Angeli. Do tej samej kaplicy rzeźbię ołtarz. Jest to w mojej pracy nowe doświadczenie.*

Głos z sali: *Nie jestem warszawianką, przyjeżdżałam z Łodzi dwa razy, żeby obejrzeć pana wystawę. Za pierwszym razem szłam na plac Zamkowy Krakowskim Przedmieściem. Po wystawie wracałam tą samą ulicą. Nie rozumiem, co się stało, ale to już nie było to samo miejsce. Widziałam wokół tyle brzydoty. A kiedy wróciłam do domu, zaczęłam pakować przedmioty, których muszę się pozbyć, bo są szpetne. Pana rzeźby to sprawiły.*

Mitoraj: *To, co pani w tej chwili powiedziała, jest największym komplementem, jaki może spotkać artystę!*

Głos z sali: *Kim byłby pan, gdyby pan nie był rzeźbiarzem?*

Mitoraj: *Na pewno nie piłkarzem. Ani politykiem. Nie wiem, trudno mi to sobie wyobrazić. Moja praca jest po prostu moim życiem. Wkładam w nią 1000 procent siebie.*

Głos z sali: *Czy wykonał pan już dzieło swego życia? Która rzeźba jest spełnieniem pana ideału w sztuce?*

Mitoraj: *Nie ma takiej. Stale się uczę i stale ścigam mój ideał, ale – spełnienie? Gdyby to w ogóle było możliwe, gdyby się to kiedykolwiek stało, nie miałbym po co dalej żyć.*

23. 04. 2004

Igor Mitoraj, *Eros obandażowany* (fot. B. Gorska)

LIST Z WYSPY SZCZĘŚLIWEJ

Łukaszowi Rakaszowi – za dwa epitety

To wyspa z ziemi i wody,
powietrza i ognia,
a żadne z żadnym nie walczy,
trwa świata harmonia.

To kraj *oceanoblękitny*,
gejzeropurpurowy.
To raj losowi wydarty,
zdobyty na nowo.

Na zawsze się nim zachłysłniesz,
bo nigdzie nie będzie już piękniej,
a wszystko takie bliskie,
na wyciągnięcie ręki.

Z obcymi konstelacjami
rozwieźdżonym niebem...

– Nazwiesz ją kiedyś Itaką?
– Nie wiem.

8.08.2013

Bożena Gorska



Grażyna Ziętek

WIERSZY

Życzenia dla I.

A ja ci życzę, najmilsza moja,
byś szczęścia, zdrowia i pomyślności
miała tak dużo, jak siostra twoja,
figlarny uśmiech by zawsze gościł.

Nie życzę dużo, bo to niezdrowo
mieć nadmiar szczęścia w domu kącikach,
bo lepiej marzeń mieć pełną głowę,
niż od nadmiaru dostawać bzika.

Pytania

Ile trzeba lat przeżyć, ile wiosen,
ile nanosić śniegu do sieni,
ile trzeba zebrać grzybów spod sosen,
aby powiedzieć:
jestem stąd, jestem z tej ziemi?

Posadziłam drzewa - a w oknie kwiat
zakwita od sześciu słotnych jesieni.
Czy już jestem stąd? Czy to jest mój świat?
Czy już mogę powiedzieć:
- jestem z tej ziemi?

Nie z tej ziemi

Ja, proszę pana, jestem przyjezdna,
bo ja, proszę pani, nie jestem stąd,
bo mnie tu przecież jeszcze nikt nie zna,
bo ja tu znaleźć muszę własny kąt.

Aż po horyzont jest tu baśniowo,
a tam zaprasza cieniodajny klon.
Życie rozpocząć można tu od nowa,
nad rzeczką mały wybudować dom.

A gdy w ogrodzie obrodzą jabłonie,
a dziury w płocie zarosną bzami,
zimną w kominku drewno zapłonie,
wtedy zatęsknię za Katowicami.

Ponik 01.10.2012



Na wsi

Na wsi żyje się przyjemnie,
w nocy jest naprawdę ciemniej,
a za dnia się nikt nie spieszy,
każdym dniem się każdy cieszy.
Oj Jura, Jura, piękna natura!

Tu pracuje się inaczej,
podczas pracy kura gdacze,
kogut pieje, mysz się chowa -
- praca w polu całkiem zdrowa.
Oj Jura, Jura, piękna natura!

Tutaj mieszkam, tutaj żyję,
tutaj wino swojskie piję,
co całymi tygodniami,
bulgotało bąbelkami.
Oj Jura, Jura, piękna natura!

Tutaj robię różne bzdury,
i zajadam konfitury,
które były owocami,
a teraz są przetworami.
Oj Jura, Jura, piękna natura!

Na wsi grzeszyć nie wypada,
bo sąsiedzi – trudna rada
wszystko słyszą, wszystko widzą,
donieść innym się nie wstydzą.
Oj Jura, Jura, piękna natura!

Na wsi żyje się wesoło,
 Wszystko pachnie (lub nie) wkoło.
 Życzę wszystkim, moi mili,
 byście na wsi sobie żyli!
 Oj Jura, Jura, piękna natura!

Czas na sen

Czas, życie – wszystko, wszystko gna,
 czy i ja z nimi pędzić muszę?
 Wytchnienie może znajdę w snach
 - lecz czy na sen się teraz skuszę?

O czym śnić, gdy świat zabiegany,
 gdy czas jak diament – drogocenny.
 Przez sen mój czas jest okradany,
 człowiek nie może dziś być senny.

Czas, życie – wszystko dalej gna,
 Skusiłam się na sen. I śniłam.
 Wiem dzisiaj, że są czasy dwa,
 letni w jesieni zamieniłam.

Ponik, 26.10.2012r.

Grażyna Ziętek

Grażyna Ziętek urodzona w 1954 roku w Katowicach. Absolwentka Wydziału Techniki oraz Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Śląskiego. Pracowała w Banku Śląskim, potem w Pracowni Reklamy i Sitodruku a następnie jako nauczyciel nauczania zintegrowanego. Od zawsze bawiła się słowem, pisząc wiersze. Fascynacja kolorami zaowocowała cyklem pejzaży. Drukowała w almanchu IV Biennale Poezji i uczestniczyła w konkursach literackich. Od 2012 jest uczestnikiem Janowskiego Klubu Literackiego. W 2006 roku przeprowadziła się na Jurę i zamieszkała w Poniku, malowniczej wiosce koło Częstochowy.

Barbara Strzelbicka

Z JURAJSKICH SZLAKÓW

G ościmy na łamach „Galerii” Grażynę Ziętek – autorkę związaną z Janowskim Klubem Literackim. Podmiot liryczny jej wierszy zdradza, że rozpoczyna nowy etap swojego życia – przenosi się z miasta na wieś. Najwyraźniej czyni to w wieku dojrzałym, ale radość, którą wywołuje ten krok, jest niemal dziecięca. Strofy, kojarzące się z piosenkami o żywym rytmie, czasem nawet z przytupem, tchną świeżością, a zrozumiała treść współgra z umiarem formy. Bohaterka z dziecięcą ciekawością odkrywa uroki sielskiego życia z dala od wielkomiejskiego zgiełku, dostrzega szczęście w drobnych jego przejawach, uczy się żyć prostym życiem i zakorzenia się w nim. Na razie czuje się nieco obco, ale wie, że wkrótce będzie stąd, z tej ziemi. Zdaje sobie sprawę ze swojego niespokojnego ducha, który sprawi, że zateśni za miastem, teraz jednak odnajduje sens istnienia w czynnościach zbliżających ją do natury: w sadzeniu drzew, pracy w polu, pielęgnowaniu roślin doniczkowych, zbieraniu grzybów, a także w robieniu rzeczy błahych, czyli w zabawie. Być może to nadinterpretacja, ale takie życie wydaje się być odtrutką na wielkomiejski smog, od którego lepsze są zapachy natury w całej swej gamie, lepsi są sąsiedzi, z których opinią należy się liczyć niż bezosobowy tłum, w którym człowiek ginie. Jest w tych wierszach także refleksja nad upływem czasu, który, o dziwo, rozdwa się. Gdy go mało, dzieli się jak podwójna nitka na realny i ten drugi, senny. Świetny sposób! Czasu przybywa, a bezsenność staje się sensowna.

Barbara Strzelbicka

Elżbieta Jeziorowska - Wróbel

WIERSE

* * *

Nie trzeba mi lustra
 na twarzy oglądanie
 najlepszym zwierciadłem
 jest moja ulica -
 szarość przez nią przechodzi
 w jej płowych źrenicach niepokój
 w lzę zaklęty
 nie trzeba mi lustra
 w posrebrzanych ramach
 srebro mam już we włosach
 wokół bladej twarzy
 nawet uśmiech gdzieś przepadł
 i boję się marzyć aby
 nie spłoszyć nadziei
 która
 znów się ukrywa

1993

* * *

Spotkałam anioła
 w potarganych szatach
 miał brudne paznokcie
 poczochrane włosy
 przez deszcz się przedzierał
 w butach ale bosi bo podeszwy
 jak ptaki odfrunęły z piskiem
 tak szybko jak nadzieja
 i marzenia wszystkie jak dom
 i rodzina ciepłe łóżko
 praca

spotkałam anioła
 nie pytałam skąd wraca ani
 dokąd zmierza
 zamiast skrzydeł unosząc
 na ramionach
 niedosyt

nie chciał żadnej modlitwy
 /przestał jej dowierzać/
 wolął parę groszy

2003

Ballada o takiej jednej wsi

Nocą wieś skrzypi ciszą
 tylko bezsenne psiska
 kość mroku kąsają klami
 w klapiących wyciem pyskach

zawiść kuli się w sobie
 zazdrość zamyka oczy
 wścibstwo wpada w poduchy
 chrapaniem się zanosi

cwaniactwo puszcza baki
 gadulstwo grzęźnie w krtani
 pijaństwo rzezi oddechem
 plotkarstwo nikogo nie rani

nocą wieś skrzypi ciszą
 - czy budzić ją warto
 wszak za dnia znów nas uraczy
 komedią dramatem farsą

2003

/Magdżie/

Przestroga II

Wnętrza

nie otwieraj -
 to twoja świątynia
 zachowaj w niej wiary
 płonący ogarek
 chroń się w niej
 kiedy podłość gardło chce
 podcinać
 a zuchwały język
 za srebrników parę
 zaufanie sprzeda
 na gwarnym targowisku

wnętrza nie otwieraj -
 wszak wnętrze to
 wszystko
 co zdołasz ocalić
 gdy z miłości obdarta
 sama zostaniesz

a los w twarz się
zaśmieje
i ręką szulera zagra
o twój honor
w trzy fałszywe karty

2003

* * *

Wszyscy jesteście chorzy
- to schizofrenia życia -
nosimy po kilka twarzy
i każdy z nas umyka w pokoik
mrocznych marzeń gdzie
obcym wstęp wzbroniony
gdzie nikt nas nie podsłucha
i podejrzeć nie zdoła

tam otwieramy przed sobą
tajemnic stęchłe księgi
wertujemy kartki
zaślinionymi palcami
bo tylko tam jesteśmy
bezwstydnie rozpustni
beztrosko swawolni
autentyczni do bólu
i
rozpaczliwie wolni

2007

* * *

Jeszcze tylko trzeba własny strach
przepłoszyć
że mąż się posobaczy albo
straci pracę
że dzieci nas opuszczą i wywieje
wnuki
że rząd budżet przehuła kraj zajmą
skośnoocy
wyschnie
Wisła i Odra
i splaszczą się Tatry
że słońce zgaśnie jak lampa
/bo ma wszystkiego dosyć/
roztąńczą się tornada rozwścieczą
niebiosy

jeszcze tylko trzeba własny strach
przepłoszyć
i wyjść będzie można na otwartą
przestrzeń żeby odetchnąć z ulgą
i z polskiego koszmara
oczyścić się
deszczem

2007

* * *

Filozofią życia jest
przetrwąć
z pełnym żołądkiem
zbudzić się o świcie
zagadać zaśmiać się
zarobić
na płaszcz na buty
i
na szacunek bez którego
nawet ubrany tylek
świeci nagością

2011

Do Maćka

Synku
nie pytaj o sens
jedynie wiem że jest
początek i koniec
a pomiędzy
przepaść życia wypełniona
naszymi oddechami

2012

* * *

Była susza paląca pragnieniem
skwar ciała
deszczem dopadłeś moich ust
stałam się
liściem zielonym
wplecionym w twoje
powietrze

2013

Elżbieta Jeżiorowska – Wróbel

Tadeusz Chabrowski

WIERSE

Wieś z obrazu Marca Chagalla

Są tu krowy, młoda dojarka, chłop z wozem
siana,

stado owiec pasących się pod lasem
i jałówka o romantycznych oczach
wpatrująca się
w wiaderko źródlanej wody dźwigane przez
parobka
do niebieskiego dworu w sadzie

- sielanka, z obrazku Marca Chagalla -
na szyi jałówki bursztynowe korale,
na szyi mężczyzny o zielonej twarzy
łańcuszek
z ołowianym krzyżykiem

parobek boi się czerwonego byka,
który zaleca się do jałówki
i na noc nie pozwala parobkowi przytulić się
do panny, która za nim tęskni

gdybyśmy zadbali o biblijne ujęcie tematu
parobek z dziewczyną powinni zgłosić się
do cerkwi
lub synagogi o zezwolenie na miłosną
penetrację
nienaruszonej do tej pory waginy
narzeczonej

zgodnie z naturą wszystko co jest
pożądaniem,
z czasem staje się namacalnie prawdziwe

stajemy się tym, czym chcemy być,
miłość na skrzydłach unosi nas
w nadrzeczywistość.

Portret z siedmioma palcami

Mężczyzna w nienagannym stroju (biały
kolnierzyk,
muszka, kwiat w butonierce) trzyma
w dłoni o siedmiu palcach
żarówkę (dwa dodatkowe palce dostarczają
prąd z aorty)

salon zalany jest światłem,
można rozpoznać piegi na skórze
gdyby ktoś nacisnął klawisz w fortepianie
odezwałby się
melancholijny Szopen albo radosny Mozart,

Mężczyzna o siedmiopalczastej dłoni
jest szczęśliwszy w życiu,
rozdaje światu wszystko
co ma, choć wie, że sam siebie uboży;
potrafi z miseczki na lody zrobić lódkę,
z łyżeczki do herbaty wyprofilować maszt,
który złapie w żagle wiatr
i wywiezie go z narzeczoną na środek
jeziora.

Ona się tuli do niego z nadmiaru radości
w sercu,
szepce o wierności aż do śmierci,
która przetrwa
nawet gdyby słońce zaszło za chmury
on wzruszony, dłoń z siedmioma palcami
kładzie na piersi:
„Bądź wola Twoja Wszechmocny Panie,
chwałą Cię
gwiazdy i przestworza, niech Cię chwali
nasza miłość”.

Pesymista

Życie jest jak zrywanie szyszek,
jak pestka stęchła w środku – niepewne
tego,
co się stanie w środę lub poniedziałek

po zmierzchu wszędzie panoszy się zło
i tak do rana

potem świt i nowe złudzenia
porozwieszane pomiędzy domami jak
girlandy
lupiny chwastów spadające z księżycy,
magia rozwijana z kłębka

mętne dane, których dostarczają zmysły,
nie pozwolą nam rządzić światem,
a umysł ideą wyssaną z palca nie potrafi
namalować na obłoku Boga

Woody Allen twierdzi

że żyjemy w złych czasach

psychiatrzy płaczą druty,
do których nas podłączają,
atleci ulegają atakom histerii
ksiądz katecheta
który nie potrafi odróżnić parafialnej

sekretarki

od dwóch jaj ugotowanych na miękko,
jest pozwany przed sąd biskupi za

cudzołóstwo

zaproszonego na konferencję
agencji turystycznych w San Francisco

astronautę

hotelowa sprzątaczką oskarża
o molestowanie jej przemęczonej ostrygi

bywają jeszcze większe skandale:
kiedy hakerom uda się podsłuchać rozmowę
papieża

z prezydentem Stanów Zjednoczonych
o dziesięć tysięcy dolarów za dusze
potępionych, którym nie udzielono
stałego pobytu w raju

każdemu obywatelowi
otwiera się wtedy nóż rozgoryczenia
w kieszeni

W środku nocy

Czasami w środku nocy dreszcz mną
wstrząsa
na myśl o tym, kim teraz jestem
czy nie jestem fałszywy, sprzeczny ze sobą,
spłodzony podczas nocy przez kogoś,
kto bezwiednie przeszedł przez życie...

dłaczego muszę w ogóle być
skoro nie było mnie przez tyle stuleci?

A może już kiedyś byłem małżą
o splaszczonym ciele, bez głowy,
z rozwiniętym workiem trzewiowym -
pozbawiony pamięci
poruszający się w kierunku światła,
które niejasno spływało z chmur

Być może fragment duszy prześwitywał
już wtedy przez moją skórę

Zminiaturyzowany do zera
z trudem chronię egzystencję delikatniejszą
od chuchnięcia chmury na szybę

Tadeusz Chabrowski

Małgorzata Franc

BIAŁA SUKIENKA ALBO POŻEGNANIE Z SZAFĄ (cykl)

*Krysi Mach z podziękowaniem
za inspirację i obecność*

Na wieszakach

Ubrania
na wieszakach
wisiały pokornie
dwadzieścia parę lat
a może i więcej
Czasami ktoś je
przesuwał szybko
niespokojnie
W pralni
dotykały je już tylko
obce ręce.

Pewnego popołudnia
wszystko się
skończyło
Nadszedł kres
i w ich istnieniu
zmieniło się wszystko
Powędrowały
nagle do worków
i pudeł bez żalu
jak zakurzona
stara i niechciana
przeszłość.

To było pewne
ich koniec
był już ostateczny
Bez możliwości
zwrotu lub
zamiany miejsca
a przecież
tyle wspomnień

wciąż w nich żyło
jakby wiecznie
ukrytych pomiędzy kołnierzykiem
a jasną wstążeczką.

Biała sukienka

Przebyła długą drogę
zanim znalazła
sвій nowy dom
Przepłynęła
ocean wspomnień
przyniosła ze sobą
jasne światło marzeń
i zanurzyła się
w jego toń.

Była szczupła
i zawsze się podobała
A to falbanka a to koronka
rękaw szeroki jak
najłżejsza chustka
wszystko miało swoje znaczenie
śnieżna biel
i czasem
biała pustka.

Można było się
w niej zakochać
bez pamięci
I gdyby nie tajemnica
którą nosiła w sobie
pewnie by tak było
lecz nie znalazł się
żaden człowiek
i dla niej
wszystko się skończyło.

26.06.2013 r.

Zapisane w pamięci

Garsonka ulubiona
ta w kolorze khaki
z guzikami złotymi
co błyszczały w słońcu
I zbyt chudy sweterek
z apaszką pachnącą
i zabawny
szaliczek który
nie miał końca.

Spodnie te
co się w pasie
zrobiły za ciasne
I te które pamiętały
dawne dobre czasy
i te których ciepła kąpiel
niezgodna z przepisem
nagle i ostatecznie
pozbawiła klasy.

Szkolne bluzki
noszone przeważnie
od święta kiedy
codzienny granat
można było zmienić
na akademii
której dziś
już nikt nie pamięta
- a może jednak?
Na całej tej Ziemi.

Zapisane w pamięci
małe kawaleczki
jak własna układanka
pomietego życia
które się próbowało
rozwinąć jak wstęga
i które pozostało
tasiemką w ukryciu.

26.06.2013 r.

Bez miejsca na żal

Bez miejsca
na żal
wyniosło się wszystko
co się zawieruszyło
w szafie i po kątach
to co miało początek
teraz jest bez końca
tak być musi
bo trzeba szybkoitko
posprzątać.

Bez czasu na strach
zmieniło się wszystko
co było od zawsze
co było tak blisko
a było tak łatwo
jak balet na pointach
do bólu raz jeszcze
już skończył się taniec
a jeszcze
trzeba posprzątać.

Bez czasu
na wstyd
i już wszystko w mig
co w ciszy jak grom
napada na dom
i później się śni
i wali do drzwi
lecz to pewnie nic
a zegar tyk, tyk
wystarczy tylko
posprzątać.

26.06.2013 r.

Małgorzata Franc

Wiesław „Kardynał” Wyszyński

WIERSE

Na trzy minuty przed zaśnięciem

jeszcze nie czas na umieranie
 przeżyć chciałoby się parę eskapad
 kilka młodych dziewczyn
 które w majtkach mają zielone ogrody

jeszcze serpentyny bibuły do wchłonięcia
 na piwo pobiec do starych kumpli
 jeszcze tyle spraw do załatwienia
 na głowie stanąć
 pocałować kant klamki
 odesłać się z kwitkiem

umierają poeci
 prowadząc dziewczyny
 przez podziemne barykady
 obłożonych miast
 w drodze do innego nieba

umiera Bóg
 który doszedł do wniosku
 że przerosła go inflacja świętyń
 (1987)

Arytmetyka schodzi na psy

Panu Cogito

Zwracałem się do wielu uczonych
 biegłych w sztuce rachowania
 numerologów i astrologów
 znawców gwiazd na niebie i ziemi
 o pomoc w mojej co by nie mówić
 śmiertelnie żywotnej sprawie

Prosiłem patriarchę Józefa o wykładnię
 mojego jawnego życia snem

Pytałem najrozumniejszego króla Salomona
 wielkich umysłów Wschodu
 z Sindibadem na czele
 Talesa z Miletu
 i pozostałych mędrców starogreckich
 Nagabywałem pitagorejczyków
 myślicieli Rzymu doktorów średniowiecza
 naszego rodaka Kopernika
 i cały oświecony świat nauki
 filozofów i egzegetów
 Pytałem Ka i Józefa K.
 nawet znanego miejscowego cwaniaka
 omnibusa z ulicy Piotrkowskiej
 Józka Bąkowskiego
 Jednakże nikt z nich –

mając wiele danych o mojej osobie:
 wiek
 wzrost
 wagę
 adres
 znak zodiaku
 i znaki szczególne
 numery butów
 kołnierzyka
 mieszkania
 telefonu
 polisy
 itede

przebyte choroby
 świadectwa szczepień
 kompletne wyniki badań całego organizmu
 długość i szerokość geograficzną
 miejsca zamieszkania i Sevres pod Paryżem
 a także długość jelita cienkiego
 i średnią statystyczną długość życia
 mężczyzny
 oraz inne niezbędne parametry mej osoby
 którą służyłem każdemu z osobna –

nie potrafił obliczyć ile mi zostało
 życia do przeżycia

(Komputer w NASA przetwarzając
me dane
zrazu zazgrzytał i wydukał ledwo
zdanie w moim ojczystym języku:
WEŹ TY SIĘ OD-PIER-DÓŁ!

i się zresetował)

Każdy ręce bezradnie rozkładał
i odpowiadał że jeden
Bóg raczy wiedzieć

przed którym odpowiem za wszystko
(nic nie mając na swoją obronę)

Ale jeszcze niechętnie
(2005)

Obrona konieczna

„Z głupotą sami bogowie walczą nadaremno.”
(F. Schiller)

Wysoki Sądzie
Ostateczny
przyznaję
zawiniłem

Noszę w sobie Kainowe piętno –
nie powstrzymałem nigdy jego ręki –
krew Abła na zawsze spadła na me oczy

Nie umiałem widzieć:

gdy bezbożny Herostratos
puszczał z dymem dla sławy
Efeską Artemidę –
nie zatelefonowałem pod numer
dziewięć – dziewięć – osiem
bo luna była zbyt imponująca

ani gdy doszło do Golgoty
i przybito Jezusa na mój pański krzyż –
wciąż byłem zaledwie
między Annaszem i Kajfaszem
zajęty pisanie kalwaryjskich wierszy

ani gdy Giordano Bruno
płonął jak pochodnia
na stosie Sanctum Officium –
w poświście skwierczących włosów
rosła mi czupryna Absaloma

ani gdy byłem na wszystkich
frontach wojny światów
widząc piramidy czaszek
Wiereschczagina i innych –
bardziej mnie obchodziła
była polska wieś spokojna

wreszcie gdy tatuowano
sine stygmaty na ramionach
dziejowej hekatombie
nie budził mnie morowy krzyk
Edwarda Muncha –
wyraźnie na mych oczach
wyrosły rybnie łuski
Wyznaję
Najwyższy Trybunał –
grzeszyłem pierworodnym
nie będąc mego ojca
powszednimi grzechami
młodości po siedmiokroć

Na niepodobieństwo –
pośmiewisko boże –
wryłem tępy ostrzem
w korze drzewa wiadomości
dobrego i złego:
Tu byłem i kochałem
jako było mi dane

- przekraczając obronę konieczną

Proszę o łagodny wymiar kary
(co najwyżej czyścić)
i niech się mną zajmie
(jeśli to możliwe)
kurator Wergiliusz

(2005)

Wiesław „Kardynał” Wyszyński

Dariusz Jacek Bednarczyk

WIERSE WYBRANE

Paul Cézanne i „Grający w karty”

Nazwisko: gorączką barw błyskawice

Imiona: między harmonią a chaosem

sfilcowanych kapeluszach
wyświechtanych marynarach
nad blatem gospodzie

Wzrost: do utraty sił kompletnie poza
czasem

Oczy: w karnawale siatkówki

fajczanym dymie
winem czerwonym
szorstkich dłoni usta

Numer ewidencyjny: z rozmachem Dela-
croix

Imiona rodziców: Poussin „w naturze”
niepokój przyczajony w status quo

wkoło zmierzch
wkoło wieczór
w butelce pusto

Alfred Sisley tropi wzmocnienia światła na śniegu w Louveciennes

bielą a sepią
miękkości czulej jak pewnym wierszu
muśnięciem opuszków
pył pieśni
wprost z bajki Hansa Christiana
sopelkami światła powietrze przebite
łżejsze niż opadnięty płatek
dzikiej poziomki
niewzruszona obojętność
zdętwiały szept chmur
manna Amundsena chwilę nim zabrzmi
tupot dziecięcych śmiechów

Paul Delvaux „Wiosna”

Na spotkanie
dzień i w nocy
wzdłuż ulic
przekór pociągom

Oczekiwane
w transie
kokonie oddalenia
szukając siebie

Milczące
sekretnych pragnień
wiecznej pokusy
szafrany marzeń

Na ulicy Dwóch Józefów w Pradze

Na ulicy Dwóch Józefów w Pradze
bruk i kamienice rzeźbione fasady koślawe
chodniki makiety do uprawiania wspomnień
pył i pajęczyny
co wieczór w bursztynowe piwo
przemieniane bure wody Weltawy

Na ulicy Dwóch Józefów w Pradze
w otwarte karty nie grają
połączone błoną gotyk barok secesja
wmieszane w tłum nienaturalność
gra wcieleni mauzoleum odkrywka
przeszłości
trzymany na uwięzi hałas skądinąd
nieodparty

Na ulicy Dwóch Józefów w Pradze
jakby pokryte kurzem przetrwania maskary
katarynki kute latarnie sklepiki mętne
knajpy za niewielką opłatą certyfikaty
nienazywania rzeczy po imieniu mimikry
człowieka niby bez własnego zdania

Na ulicy Dwóch Józefów w Pradze

Szarża ambulansu

alt syreny
riff silnika
wizg opon
benzynowy wiatr

Tunezja

Z otwartego pieca pełne pyłu
które wszędzie to powietrze zamkniętego
wydmami.

Suche parowy
skal i plaże od stóp do głów
znaczone palmami jakby zasłonięte.
Nadciąga oraz miesza z zapachami ziół
pistacji
korkowych gromad wzdłuż nadbrzeży.
Nargile kuskusu rybami tysiąca i jednej
z papryką różną nadziewanej na ruszcie
bakłażana brik żółte melony jako słodkie
wyroby.
Wątle kozy z nastroszonymi pośród śmieci
sterczą w niebo żelazne chmary ścian ze
śladami
a obok mrówkowce jak zanieczyszczone
w spekulacjach obcym kapitałem.
Ruiny dla napiwków o ciężkiej historii
to czego nie mówią bogate w kolorze światówki
nad kieliszkiem wody palmowej
z potrzeby i ciekawości porzuconych
urwisk jak również czerwonej ziemi
ale bez cyprysów.

Autonota

Dariusz Jacek Bednarczyk – urodzony w Jeleniej Górze. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Po uzyskaniu tytułu magistra administracji podjął naukę drugiego kierunku, jakim była historia, na Wydziale Filozoficzno – Historycznym tegoż uniwersytetu, porzucając ją jednak w połowie, ponieważ dalsze studio-
wanie uznał za zbędne.

Parokrotnie wyróżniony na ogólnopolskich konkursach literackich. Próby publikacji zarówno w sferze poetyckiej jak i prozatorskiej podjął zasadniczo od 2010 roku.

Dotychczasowe publikacje w: „Migotania”, „Kultura Connect Magazine” (Australia), „Inter”, „Znaj”, „Dworzec Wschodni”, „Akant”, „Nestor”, „Kozirynek”.

Dariusz Jacek Bednarczyk

Ireneusz Korpyś

WIERSE

prośba o słodycz

rozkrusz mnie
 palcem przeciętnej wielkości
 opuszki gniotą mą strukturę
 w bólu odnajduję namiętność

ja brązowa słońcu poświęcona
 teraz bez boga w twych rękach
 czekam aż na pył mnie przemielisz
 i rozrzuć
 ale nie na wiatr
 który zetrze ze mnie ostatnie
 a już nieliczne ślady wstydu i przyzwoitości

słodyczą zastygam na twych palcach
 żona zliże z nich resztki mojej obecności
 nie zostawi tropów opalonego naskórka

rozkruszysz mnie i zapomnisz że miałeś
 ja smakiem dla każdego
 i oddasz mnie
 głodnym na języki
 po pierwszym kęsie
 również oni zliżą mą słodycz z ust
 bo ja cukrem brązowym na cieście
 zostając na noc jedną i odchodzę z życia
 zapachem jablecznika

przepis na kruche ciasto

nie!
 nie miłości zabrakło
 jej było zbyt wiele
 cała się starłam
 z tobą
 na kuchennym blacie
 aż ciała nie czuję
 tylko odgniecione dłonie
 którymi przytrzymywałeś mnie
 bym z bólu nie uciekła

a jednak coś nam nie wyszło
 choć miłość całą we mnie włożyłeś
 tak głęboko jak żaden inny
 tylko o szczypcie soli
 smak doprawiającej
 zapomniałeś
 dlatego nam nie wyszło
 przesłodziłeś mnie
 ja niesmaczna na talerzu

nie teologiczny traktat
o współczesnym Chrystusie

ustami lekkimi chwalisz me imię
 lecz chwały mi nie przybywa

jedyna wyznawczyni
 do stóp pada staremu bogu
 niepamięć jest śmiercią
 tylko ty sprawiasz że żyję
 i rodzę się
 w żłobie twych ud
 w ust kolebce

mam 30 lat
 pora umrzeć z obowiązku
 jak przykładowy obywatel
 a ty mnie trzymasz
 modłami żarliwymi
 i wilgotną ofiarą
 w której się nurzam gdy ochota najdzie
 gdybyś zwiastowała Chrystusowi
 wszyscy pomarli by w grzechu

nie dbam o ludzkość
 jeśli umrzeć to głęboko w tobie

traktat o geometrii języka

rozbilem głowę o kant filozoficznej książki
 po co mi słowa których nigdy nie wypowiem
 publicznie
 nawet raz nogi nie uwiodły mnie do
 publicznych domów

na granicy wzroku zawisasz i spadasz nisko
aż do bioder
ty mistrzyni geometrii kreślisz językiem
figury doskonałe
kolem wilgoci naznaczasz mnie
trzeszczą deski starej podłogi
a łóżko w milczeniu czeka na sen dwojga
czy musimy posługiwać się językiem
nie docierając do autentycznej rozkoszy
tylko mielemy ufając słowom
jęzor kołowacieje w ustach wyrafinowanymi
wyrazami
ani świętości ani miłości nim nie wyznam
mogę tylko jednoczyć się z tobą śliną
ona jedyna niesie prawdę o figurach
które kreślimy na nagich ciałach

* * *

Marlenie

popatrz
poniżej linii pasa
upuszczona
klęczysz
post jest dobry
dla mnichów
żegnających się z życiem
a ja żegnam się
ręką prawą
którą rozdzierasz mi plecy
mario magdaleno
zostaw stopy
nauczyciela
ja cię uniosę
do lekcji hedonizmu

na początku było słowo

przyjmujesz słowa
którymi na tać twego brzucha
tryskam z nadmiaru rozkoszy

drżysz z każdym bluźnierczym wyrazem

wargi spracowane
język napuchł

chleb i ryby na stole

karmisz mnie
a ja w winie rozsmakowany

winny każdego ruchu narządów artykulacji

choć kulawo rozwija się język
czas nie zawsze sprzyja mowie
starych słów nie rozumiesz
a wskrzeszam je w żłobie twych ud
tam owoc świętości
ale dzieciątka nie będzie

ja bluźnierca
język krzywe koła kreśli

esej o małżeńskich usługach dobroczynnych

nic nie zapowiadało tragedii
 być może tragedii nie było
 cisza
 nawet wyzwisk zabrakło
 i dzieci w milczeniu
 dojadają zupę
 żeby choć rozbić głowę
 o kant łyżki
 pełnej niedzielnego obiadu

usługi dobrotoczne na stole
obrus nie został wymięty
i pies milczy
zaszczuty zapachem rosolu
kuchnia nie została nagich ciał
poza rozebrany z piór kurczakiem

Ireneusz Korpyś

Paulina Surma

WIERSE

Przyjaźń

*Utwór dedykowany Annie Kosińskiej-Gębali
i Katarzynie Marciniak*

Przed ilością lat niemałą,
na ziemi igłami szumiącej,
trzy dusze złączyły się siłą herkulesową,
płonącą
i w dobie chłodu ciał gasnącą.

Dziś po wiatrach i burzach wielu,
trzy dusze wciąż razem brną do celu,
spraw Panie, aby płonęły jeszcze długo trzy
świece
i przetrwały plany typowo kobiece.

Rada

Wzgardź tym afektem choć raz przyjaciółko
moja miła,
Nie pozwól, aby w sercu twoim codziennie
rozpacz gościła.
Na podium życia stoisz, a projekt twój aż
mizerny,
Tyś kwiatem na pustyni, a on od stada
odmienny.

Niech się napoi goryczą lucyfer w płaszczu
białym,
Niech wie, że nie jest różowym liściem na
drzewie całym.
Strzepnij piasek ze swych stóp, wejdź do
czystego jeziora,
Może lzy otrzesz labędziowi pewnego
wieczora.

Dla Diany

Utwór dedykowany Dianie Walawender

Wielką mi uczyniłaś radość w sercu moim,
Moja droga Diano, tym trudem swoim!
Pełno wszystkich, a jakby nikogo nie było,
Z jednym Niezwykłym Człowiekiem tak
wiele przybyło.
Tyś za innych wspomagała, za innych lzy
ocierała,
Zawsze w kłopotcie rozwiązywanie wskazy-
wałaś.
Nie dopuściłaś nigdy do mego frasunku,
Co dzień prowadziłaś mnie we właściwym
kierunku,
To tego, to tamtego słusznie zabraniając
I swym niepowtarzalnym humorem zaba-
wiając.
Teraz wszystko ustало, tylko uciecha mi
została.
Nie masz nagrody, nie masz pochwalić się
komu.
Ze wszystkich stron troska mnie ogarnęła,
Nic Ci nie mogę dać, prócz tego dzieła.

Wspomnienie

Siedzę sama na grobie natury
smutnymi oczami patrzę w chmury
nikt nie podaje mi ręki
podobno sama tworzę męki.

Owinięto mnie łańcuchem
szczyć się już nawet najmniejszym ruchem
nawet we śnie słyszę twoje słowa
rozrywa mnie, pęka mi głowa.

Minęło sześć miesięcy
lecz nie minie twój tryb życia zwierzęcy.

19. 05. 09

Ziarnko piasku pośród erudytyw

*Utwór dedykowany Judycie Morawiec
i Dianie Walawender*

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Czy pozostanie na plaży życia?
Przetrwa sztormy, słone deszcze nocne?
Czy ogrzeje je w końcu blask sławy?

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Gdzie go te wichry przyprowadziły?
Czyżby chciały jakie dzieło stworzyć?
A może krąg naukowców pomnożyć?

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Dwa dni przed dniem Pana narodzone
i feralną liczbą opatrzone.
Jak jakaś niezwykła osobistość.

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Jak musi śmieszyć króla Hadesu,
Co pomaga złym dojść do sukcesu.
Jak musi zdumiewać społeczeństwo.

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Wyśmiane niesłuchanie jak dziecko,
Co raczkuje na posadzkach z gumy.
A jego wygląd jak denat jaki.

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Z nienawiści, złości obnażone.
Wciąż woła: serce moje pomnożone!
Ale to za mało do wygranej.

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Dwie dobre dusze pośród niezdary.
Dobrym sercem aż grzeszą bez miary.
Więc muszą dostać przecudne dary.

Już pozostaną nieśmiertelnymi.
Ich imiona przetrwają wiele lat.
Uczyliłam ich bohaterami,
Opatrzyłam pięknymi słowami.

Ziarnko piasku pośród erudytyw.
Oddało cześć jak tylko umiało.
Dało tyle ile dać zdołało.
Utwór pochwalny skomponowało.

Rozmowa z Bogiem

Wrzuciłeś mnie do gorącej wody,
Patrzą na mnie wysokie aspiracje, tonę.
Instruktorzy pływania odrzucają mnie,
Wolą lżejszą pracę, trudno...

Nie proszę o latający dywan,
O czarodziejską różdżkę,
Ani o niecodzienną podróż.
Błagam o surowce do produkcji.

Już nie będę deptać Twoich kwiatów,
Zadbam nawet o chwasty.
Umyję się ciężkim mydłem,
Nie zapomnę o Tobie.

Daj mi szansę jeszcze raz,
Podaj choć małą dawkę witamin.
Zmień kształt moich ust
I podnieś mnie!

Poreba, 05. 02. 09

Paulina Surma

Maciej Skalik

CAMERA OBSCURA

Rysuję za pomocą różnic między światłem a ciemnością, szukając w sobie pierwotnych cząstek życia, imperatyw odrealności.

Odrzucam rozum, by rozumem odczytywać zakodowaną tajemnicę podświadomości.

Raz mocniej widzisz światło, innym razem stoisz w mroku. Drogi czytelniku, jedyna uciecho, jedyny odbiorco szaleństwa.

Tolle lege! Weź to czytaj! Rozwiązuj jak zagadkę, szukaj światła!

Wejdziesz do ciemnej komnaty...

II-1

[W ustach niekiedy
pod językami spróchniałych powiedzeń
wypowiadają się za nas
inne horyzonty
których my sami
nigdy jeszcze nie dostrzegaliśmy]

VII-2

[Kosmiczne parafrazy
czasami przeistaczają się
w motyle
a czasami
pod wpływem chwili
rzucają się na nas
by nas rozszarpać
i zostawić po nas
tylko niepoukładany proch]

XII-3

[Niezwykłych rozmiarów obraz
z którego wypłynęło
niebo lez
potargał się
o parę rozmów
o przypadkowości]

XV-4

[Przebaczanie swoim
winowajcom
jest jak szmer
w koronach drzew
ponad życiową wizją
wschodzących
i zstępujących
archaniołów]

XIX-5

[Dwadzieścia małych igieł
wbija się w wilczy grzbiet
układają się w gwiazdozbiór oriona
gdybyś stał naprzeciw temu
i spojrzał w jego oczy
błagające o litość
jak byś ją okazał?]

XXX-6

[Specjalnie użyty
kicz
może wypełnić
swoją
opasłą
linią odrazy
niejedną
cykliczną piękność]

XXXII-7

[Światło dociera
przez zamglone
przestrzenie
odbija się od
gałęzi
żywych drzew
ląduje
niekiedy na sercu
niekiedy tam
gdzie znajdzie
sвій dom]

XLVI-10

[Pociąga mnie
delikatna nitka
wrażliwość
motyla
mrugnięcie powieki
to wszystko
tak
układa
moje wnętrze
od nowa]

Maciej Skalik

XXXIII-8

[Zaskocz mnie
mądrością
uczynkami
które
chcesz uczynić
zanim
nadłamana słoma
zmieni swoje
miejsce]

XXXV-9

[Osobisty wszechświat
potrafi być
zachwiany
przez
niezaspokojenie
jaki to
porządek
godny
robaka]

Igor Mitoraj, *Studium Zwiastowania*,
Maryja Panna (fot. B. Gorska)



Robert Jabłoński

Z CYKLU – SERCE*

Serce jak

...jak płócienny latawiec wirował na wietrze
 konstrukcja wytoczyła formę
 i służyła jako serce
 a przepływ krwi odczuwalny dla tego, kto go
 puszczał
 sznurki jego były jak zastawki
 które stymulowały przepływ powietrza
 raz w lewo, więc jedna zastawka się zwinęła
 za chwilę znowu w drugą, więc i druga się
 otwierała
 cyklów zdarzeń wywoływała emocje
 tętno, puls-wzlatuje do góry i opada
 czas w to wszystko uwikłany
 i siła wiatru porównana do siły przeżyć
 to takie piękne wirować z wiatrem
 krążyć z głową w chmurach
 te doznania, te uczucia
 najwyższe z możliwych rozkoszy życia
 ta krew w sercu, która krąży i przyspiesza
 przepływa z lewej do prawej
 I ten latawiec jak nabiera powietrza w swój
 żagiel...
 przelatuje z lewej do prawej...

...czy wiesz o tym narzeczono?

że nie mogę napisać do ciebie bo...
 złamane pióro
 kleks zalany na papierze
 jak rana w sercu
 skrwawiona przez uczucia
 może być tak głęboka, że
 funkcje życiowe nie są osiągalne
 chodzi o te podstawowe
 o jeju, jaki jestem słaby
 w każdej chwili mogę się załamać
 stalówka...
 a kleks rozleje się na czerwono
 bezterminowo

czy ty wiesz w ogóle o tym moja kochana
 narzeczono?
 że nie mogę napisać do ciebie bo...

*...bo Cię kocham
 i zranić nie mogę*

Rybka

...ślady jej osoby czuję na swej wewnętrznej
 przestrzeni mej osoby
 rozbijają się we mnie po katach i wszystkich
 zakamarkach jej zdjęcia
 a słowa okalają moje organy próbując
 pobudzić je
 myślę, że to dotyk
 czuję, że to znaki od osoby, która siedzi mi
 w głowie
 ona biega, lata, i szybuje, pokazuje, że jest,
 że jest
 zakochana
 może, dlatego jej ulubione miejsce od jakiegoś
 czasu to serce?
 dostała się tam prawdopodobnie przez
 żołądek,
 bo zaprosiłem ją na pyszną kolację kilka
 miesięcy wcześniej, do taniej restauracji
 czasem szumi mi od tego w głowie i myślę,
 że jestem skolowany
 ale tłumaczę sobie, że właśnie pływa w moich
 żyłach a ja upoiłem się jej urodą
 natomiast są chwile i takie
 kiedy kaszle a wtedy boję się, żeby jej nie
 stracił

bo gdybym umarł to razem byśmy umarli
 jak mogłaby wtedy sama żyć
 samotna... nieszcześliwa
 zakochana...
 szaleję za nią
 jest moim całym życiem
 jest moja rybka, która pływa w moim sercu
 póki żyję...

Robert Jabłoński

*Wyboru dokonała Agnieszka Złota

EPIGRAMATY Z ANTOLOGII „UMARLI ZE SPOON RIVER” EGDARA LEE MASTERSA

Wybór i tłumaczenie – Wioletta Grzegorzewska

Sarah Brown

Nie płacz, Maurice, nie ma mnie pod tą sosną.
Słodki zapach traw wypełnia powietrze.
Gwiazdy świecą, lelek śpiewa.
Umartwiasz się, gdy ja doznaję
Błogosławionego stanu Nirwany.
Idź do mojego pocziwego męża,
Który rozpamiętuje naszą grzeszną miłość
I powiedz mu, że kochałam go
Tak samo jak ciebie.
A opuszczając ten świat, pozbyłam się ciała
I osiągnęłam spokój ducha.
W niebie nie paktuje się małżeństw,
Tylko miłość.

Nellie Clark

Miałam zaledwie osiem lat,
Gdy dorosłam przedwcześnie.
Chociaż trudno to opisać,
Przerażona wyznałam wszystko
Matce. Wtedy Ojciec złapał pistolet
I zabiłby Charliego, wyrośniętego
Piętnastolatka, gdyby nie jego Matka.
Chociaż ta sprawa wlokła się za mną,
Ożenił się ze mną wdowiec po trzydziestce.
Był przyjezdnym i niczego się nie domyślał,
Ale w dwa lata po ślubie zaczął coś
podejrzewać.
Na wsi wygadali się, że nie byłam dziewczą,
Więc porzucił mnie i nie dożyłam
Kolejnej zimy.

Amanda Barker

Henry zrobił mi dziecko,
Wiedząc, że nie mogłam dać życia,
Nie oddawszy w zamian własnego.
Dlatego umarłam młodo.
Przechodniu, w mojej wsi chodzą słuchy,
Że Henry kochał jak na męża przystało,
Lecz powstałam z grobu, aby głosić,
Że mnie zabił, aby dać upust swej nienawiści.

Philip Larkin

Wysokie okna

Gdy widzę parę tych dzieciaków,
Zgaduję, ona ma spirale,
A on ją rucha bez trzymanki,
Ich życie może nazwać rajem

Każdy stary, który marzył wiele,
Że tak jak oni się pobawi,
Spychając na bok ceregiele
Jak dźwig nieczynny na skraj drogi.

A każdy młody w swym slalomie
Planuje szczęściem żyć bez końca.
Gdyby ktoś odjął mi czterdzieć,
Myślałby: „Rany, kawał dzwońca,

Bez Boga żyje, a nocami
Nie drży, że kiedyś będzie w piekle,
Jak wolne ptaszki w swym slalomie
O księdzu ćwierka, ile zechce”.

Nagle me słowa myśl przerywa:
W wysokich oknach odbłask słońca,
Za nim powietrza ciemna smuga
Wskazuje nigdzie, nic, bez końca.

Ollie McGee

Czy widzieliście blakającego się po wiosce
Człowieka o błędnym spojrzeniu i mizernej
twarzy?

To mąż mój, sekretny ciemiężca.
Nigdy nie wyszło na jaw,
Że zrabował moją młodość i urodę.
Ostatecznie, pomarszczona z pośliskami
zębami,

Upokorzona i sponiewierana
Spoczęłam w grobie.
Czy myślicie, że rusza go sumienie?
Świadomość tego, kim byłam i kim się przez
niego stałam
Zaprowadzi go tam, gdzie leżę
Nieżywa. Tak dokona się zemsta.

Hare Drummer

Czy pod koniec września chłopcy i dziewczęta
wciąż chodzą po szkole na piwo jabłkowe
do Sievera,

W pierwsze przymrozki zbierają orzechy
W leszczynach na farmie Aarona Hatfielda?
Tyle razy z tymi roześmianymi dzieciakami
Bawilem się przy drodze, na wzgórzach,
Gdy słońce było nisko, powiewało chłodem,
Stawaliśmy, aby otrząsać włoski orzech
Bezlistny na tle płonącego zachodu.
Teraz zapach jesiennych palenisk,
Spadające żołędzie,
Echa doliny
Przywracają obrazy życia.
One stają przed oczami
Prowokują pytania:
Gdzie są twoi rozbawieni kompani?
Ilu z tobą pozostało, ilu
W starych sadach przy drodze do Sievera,
W lasach spowitych
Cichą wodą?

Margaret Fuller Slack

Byłabym tak znana jak George Eliot,
Ale przewrotny los chciał inaczej
Na fotografii w ujęciu Penniwita
Podpieram dłonią brodę, w szarych
Głęboko osadzonych oczach
Czai się odwieczny problem:
Zostać mężatką, zakonnicą czy dziwką?
Potem John Slack, bogaty aptekarz,
omamił mnie,
Że znajdę przy nim czas na pisanie powieści.
Wyszłam za niego i urodziłam ośmioro dzieci.
Nie miałam czasu na nic.
Teraz wszystko poza mną, na zawsze.
Podczas prania dziecięcych ciuszków
Ukułam się igłą w rękę
I zakaziłam tężcem. Ironiczna śmierć.
Posłuchajcie mnie, ambitne duszyczki,
Pleć jest przekleństwem życia.

Theodore, Poeta

Jako dziecko, Theodore, godzinami siedziałeś
Nad brzegiem zamulonej Spoon River,
Obserwując podkrążonymi oczami
Siedlisko rzeczno-raka;
Czekałeś aż się pojawi:
Najpierw falujące czułki jak żdźbła siana,
Potem pancierz w kolorze saponitu,
Z ruchliwymi szpilkami oczu.
Lubiłeś się zastanawiać,
Skąd się wzięło to stworzenie i po co żyje.
Potem ujrzałeś mężczyzn i kobiety,
W norach wielkich miast,
Którym los nie dał szansy wyboru.
Gdybyś mógł zrozumieć,
Dlaczego żyją i po co
Krzążą się tak uparcie
Wzdłuż piaszczystej drogi,
Gdzie wszystko w pył się obraca
przed upływem lata.



W Galerii Tretiakowskiej, (foto: Janusz Mielczarek)

Wojciech Kajtoch

LISTY Z MOSKWY

(powieść epistolarna¹)

(fragment szósty – luty/czerwiec 1987)

Luty-kwiecień

23.02.1987

I znów tak się stało, że pełny tydzień minął od mojego przyjazdu, a dopiero teraz znalazł się czas na korespondencję. Co robiłem? Przede wszystkim załatwiłem część interesów. Niestety „mongolską” kurtkę przyjdzie chyba wieść z powrotem, ale cała reszta raczej pójdzie. Po drugie byłem u Cybienków, byłem u Orłowa i byłem u Maćka Ch. Ta ostatnia wizyta może da konkretne rezultaty, bo coś tam Maciuś wspominał o możliwości zrobienia tłumaczenia do „Literatury” i dostania tam ćwierci etatu, ale skończyła się nie najlepiej, bo gospodarz postanowił upić się jak najsukuteczniej. Wypiliśmy dwa litry na trzech w czasie trzech godzin, po czym Maciuś padł w rygowinach, a nas z Antolkiem wyrzuciła wściekła żona. Więcej z Maciejem pić nie mam zamiaru. Byliśmy jeszcze w ambasadzie, na przyjęciu i w interesach. Forsy znowu nie dostaliśmy.

Najprzykreszszym przeżyciem ostatnich dni była jednak podróż. Po prostu wysiadło mi serce. Przyjechałem błąd jak ściana i na granicy utraty przytomności. Nie dla mnie już takie sztose. Jeśliby nie zdrowie, to byłoby nieźle. Na lotnisku złapał mnie R. i podpisałem umowę. Powinnaś od razu dostać 42 000 z Warszawy. Może tak byś kupiła za nie maszynę do szycia? Znowu podróżują i co wtedy?

Do pisania książki jeszcze się nie wziąłem. Jeszcze mam dzień roboty kancelaryjnej i mogę wziąć się za robotę konkretną. Chy-

ba że jednak zdecyduję się przetłumaczyć powieść dla „Literatury”, co oznaczałoby szybkie pieniądze. Ale na razie to nic o tym dokładnie nie wiadomo.

Pamiętaj poprosić Ojca, żeby kupował mi te rosyjskie książki z serii „Biblioteka Fantastyki”. Znowu wyszedł następny tom, a zaoszczędziłem na wymianach bardzo dużo rubli. I chciałbym zaoszczędzić jeszcze.

No cóż. Zmęczony jestem bardzo, a list chciałbym jutro wysłać. Aha! Weź i daj naszą polską maszynę do pisania do naprawy, bo Erikę wezmę pewno w maju do Moskwy. Swoją maszynę zmieniam na taką z rosyjską czcionką, żeby mieć na czym robić przypisy. Dwie maszyny polskie nam starczą, rosyjska będzie trzecia. Choćby do celów korespondencyjnych i innych tego rodzaju.

04.03.1987

Minęło już dwa tygodnie mojego kolejnego pobytu. Co zrobiłem? Wiesz już, że załatwiłem wizyty, nie wiem tylko, czy pisałem Ci, że „Literatura Radziecka” zaproponowała mi nowy szkic, a Maciek Ch. proponuje przekład powieści. Na wszystko w zasadzie się zgadzam. No bo przekład życia mi nie skomplikuje - zamierzam tłumaczyć stronę dziennie, a następnych 100 rubli piechotą nie chodzi. Niestety kosztować mnie one będą jakieś 2 tygodnie przerwy w pisaniu.

O właśnie, jak z nim stoję. Zrobiłem niezbędny porządek w materiałach, obmyślałem plany - ale okazuje się koniecznym przeczytanie 2 podręczników. Historii tutejszej naukowej fantastyki (co już zrobiłem) i książki o realizmie socjalistycznym, czego dokonuję. Chcę bowiem zrozumieć już ostatecznie tutejszy sposób myślenia o literaturze. Ten podręcznik czytałem będę do końca tygodnia. Potem 2 dni w bibliotece i mogę brać się za pierwszy rozdział. Będzie pisany do końca marca. Może - do połowy kwietnia, ale to wyłączyłoby mnie z roboty na maj, bo szkic o pocie musiałbym pisać do „Literatury Radzieckiej” w maju, po przyjeździe.

¹ Wszelkie podobieństwo wydarzeń i osób opisywanych w tekście do wydarzeń i osób realnych jest przypadkowe.

Coś tak czuję, że ten pierwszy rozdział będzie ostatnim napisanym w ZSRR, no bo posłuchaj. Wyjeżdżam do domu w maju na pewno na jakieś 2 tygodnie. Potem pół miesiąca. Sesja będzie od początku czerwca do dziewiętnastego, dwudziestego. Czasu więc pozostaje w zasadzie niewiele. A tu jeszcze interesy! Zebranie w bibliotece ostatecznego materiału! Chyba na tym się skończy, że w maju materiały o Strugackich wezmę do domu i w domu coś o nich popiszę.

Sytuację komplikuje jeszcze to, że ciągną nas na te zajęcia w instytucie. Nina Awierianowna wykrzykuje itd., itp. W zasadzie mógłbym się uprzeć i nie robić absolutnie nic – ale to tak jakoś nie wypada.

Ten tydzień będzie ciekawy? W piątek idę do Strugackich. Wśród spotykam się z Maciejem Ch. Prócz tego zamierzam wypuścić się na zakupy.

Ze zdrowiem średnio. Przewyciężyłem osłabienie związane z pobytem w domu i podróżą. Odespałem się, odpocząłem. No ale oczywiście zdążyłem się już zatruć (kuracja zbliża się ku końcowi), rozpalic, ciężko przeżywam zmiany ciśnienia. Na szczęście nie mam kataru, bo w Moskwie temperatura -15 do -20, czyli to, co mi odpowiada.

Z drobniejszych, nowin: rozdarły mi się spodnie. Niestety ale na każdej nogawce trzeba będzie przyczepić jeszcze po lacie (tj. między dwie już przyszyte).

Na koniec mam prośby: Otóż kupilem sobie w Warszawie tom drugi antologii Jamesa Gunna „Droga do Science Fiction”. Tom ma tytuł „Od Wellsa do Henleina”. Powiedz Tacie, żeby się spytał w księgarni o tom pierwszy „Od Gilgamesza do Wellsa” i go kupił. Rzecz ma dla mnie wartość, a nakład chyba się nie rozszedł. Prócz tego poproś go, aby mi kupił w rosyjskiej księgarni nie tylko nowe tomy radzieckiej „Biblioteki Fantastyki”, ale i po parę egzemplarzy tego, co już mam. Bardzo dobrze się wymieniają, a jak przyjadę w maju, to już ich nie będzie.

Prócz tego powiedz mu, że za dyktafon japoński trzeba dać ok. 300 rubli. Nie za bardzo się to opłaca. Niech sprawdzi w Pewexie, ile trzeba dać dolarów. Powiedz mu także, że dyktafon – to po prostu mała magnetofon kasetowy, który można trzymać przy ustach, spokojnie odtwarzać i nagrywać. Natomiast raczej nie ma możliwości odtworzyć w zwolnionym tempie.

Przed nami jeszcze ok. 3,5 miesiąca rozłąki. To bardzo mało.

11.03.1987

Ostatni tydzień był bardzo ciężki. Przyszło rzucić czytanie książki o socjalistycznym realizmie, która miała mi pomóc w pierwszym rozdziale pracy o Strugackich. Parę razy byliśmy w ambasadzie, Pan Radca oczywiście pieniędzy nie załatwił, za to zażyczył sobie opinii o paru wydanych ostatnio powieściach, które przyjdzie więc nam czytać. W ogóle z pieniędzmi krucho. Kupilem zaplanowany towar z nadstatkiem (trzy kalinki i 4 grzejniki), no i zostałem bez grosza. Na sprawy naukowe łącznie z przeróbką maszyny do pisania wydałem jeszcze ok. 100 rubli... i kłops. Winna mi jest ambasada, winni jeszcze inni towarzysze – w sumie 300 rb. Ale na razie ciężko mi będzie dożyć do stypendium. Muszę także wziąć się energicznie za artykuł do „Literatury Radzieckiej”. Przyda się słówka.

Uradziliśmy z Antolkiem wypuścić się dodatkowo do kraju w kwietniu. Ale wyjazd zależy od tego, czy będę miał na bilet. Jeszcze należy wspomnieć o dwóch wydarzeniach: wizycie u Strugackiego, której ci dokładnie opisywać nie będę, bo właśnie zakończyłem pisać potężną o niej notatkę i o raucie w ambasadzie, na którym przyjmował sam ambasador i po którym pomyślałem sobie, że w życiu już takich befsztyków nie będę jadł.

A tak, w ogóle, to bardzo źle czuję się psychicznie. Kiedy tak myślę sobie, że po tym moim wyjeździe możemy zacząć nareszcie żyć spokojnie i szczęśliwie, to zaczynają głębić mi minie strachy... żeby coś w ostatniej chwili nie

zaszło takiego, co zmarnowałoby wszystko, także te nasze dwuletnie – no co tu dużo mówić – cierpienia. Wpadam na ciągłe nowe pomysły, przybierają one czasami kształty formalnych obsesji.

Najpierw wydumałem sobie, że na pewno skonfiskują mi na granicy moje materiały do książki. Uspokoilem się dopiero po zapewnieniu Pana Radcy, że wyślę je dyplomatycznym kurierem. Potem wydarzyła mi się następująca historia:

Wspominałem Ci pewno w którymś liście o mieszkającym w pobliżu mnie kombatancie z Afganistanu. Złapali go kiedyś duszmani, sprali łańcuchami. Odbito go, ale od tej pory lekko zwariował. W ostatnich czasach „afgan” zaczął tak chlać, że już nawet załatwiać się zaczął w pokoju. A że ten pokój wynajmował u Siergiejewa (też ci pisałem o tej syberyjskiej świni) to ów od razu, gdy tylko się dowiedział, odebrał klucz i stwierdził „żegnaj, bratku!”.

Wyobraź sobie zatem taki obrazek. Wychożę ze swojego pokoju, a tu podchodzi do mnie lekko tylko podpity ów kombatant, niski, ale nieźle umięśniony były komandos i najzupełniej spokojnie mówi mi, że jego zdaniem ja na niego naskarżyłem i jeśli naprawdę to zrobiłem, to on mnie zabije. Ja również najspokojniej powiedziałem mu, że nie zajmuję się donosami. Ale zacząłem się cholernie bać. Wariat, kombatant i członek Związku Pisarzy rzeczywiście mógłby mnie zarżnąć zupełnie bezkarnie, a obronić się to by mi raczej się nie udało.

Oczywiście od razu poszedłem do sybiraków, wyprasząc sobie takie pogróżki, uspokojono mnie, że u nich nie ma zwyczaju uprzedzać i jeżeli ów typas zaczął od rozmowy, zamiast wyciągnąć nóż, to zapewne nie mówił poważnie - ale zostało uczucie upokorzenia, twarde postanowienie nauki, po powrocie do kraju, karate i jakieś cholera zupełnie nieusprawiedliwione strachy, przypominające moje domowe zwidy sprzed paru lat, skutkiem których miałem trudności z wychodzeniem z pokoju.

Zresztą minęły szybko, bo rozpoczęła się epoka AIDS. Otóż choroba ta dotarła do Moskwy. Zanotowano ponad 20 przypadków, w większości u Murzynów z Uniwersytetu Lumumby, ale też i zachorował jakiś Rosjanin. Strach pomyśleć, co tutaj będzie za jakiś czas, jako że Rosjanie czystości obyczajów nie hołdują. Na razie władze ograniczyły się do otwarcia ambulatoriów, aby można było „sprawdzać się” i na tym fantazja im się skończyła. No ale za to u mnie zaczęła działać sprawnie, bo wiadomo, że AIDS można się zarazić i od źle wysterylizowanej igły, a mnie w tamtym roku kilkakrotnie dawano zastrzyki (skądinąd wiadomo, że z czystością w tutejszej służbie zdrowia kiepskawo). No i już z tydzień tkwi mi w głowie myśl, czy nie jestem chory. Co prawda jedni twierdzą, że inkubacja wirusa trwa parę miesięcy, więc w ciągu roku, to już się powinno okazać. Ale inni twierdzą, że parę lat. No i chodzę smętny.

No i widzisz, że nerwy mi już nie wytrzymują. W ogóle mam wrażenie, że po tak długim przebywaniu w kraju przyszło mi od początku aklimatyzować się tutaj. Zresztą nie tylko ja mam tego rodzaju kłopoty. Antolek pije ze zdwojoną mocą, Walerek nagrywa na kasetach magnetofonowych testament dla żony i twierdzi, że jest bliski wariacji.

Oczywiście rozsądek mówi mi, że wszystko powinno być OK., ale cóż rozsądek może w takiej sytuacji. Już nawet myślałem, czy by wcześniej nie zdać egzaminów i nie olać, nie wyjechać - ale szkoda mi pieniędzy. Zresztą nie za bardzo miałbym z czego żyć po przyjeździe.

7.05.1987 (Notatka z rozmowy z Arkadijem Strugackim)

Arkadij Natanowicz Strugacki mieszka pod następującym adresem: ZSRR 117571 Moskwa, Prospekt Wiernadskiego...

Spotkanie naznaczone zostało na szesnastą. Orłow uprzedził mnie, że bym nie siedział dłużej niż półtorej godziny, jako że to najdłuższy możliwy czas wizyty. Przy czym wyjść należy samemu. Arkadij Natanowicz źle

się czuje, a jemu – człowiekowi uprzejmemu – wypraszać mnie będzie niezręcznie.

Niestety, spóźniłem się. Szukałem domu około 20 minut. Pomyliłem wieżowce, źle zresztą poinstruowany przez Orłowa.

Arkadij Strugacki okazał się dwumetrowym, potężnym, siwym mężczyzną w okularach. Otworzył drzwi sam. Powiedziałem swoje nazwisko. Po chwili wahania przypomniał sobie, o co chodzi i zaprosił do środka. Rozebrałem się i poprowadzono mnie do pokoju, gabinetu wypełnionego jak należy książkami, gdzie bokiem do okna stało potężne biurko. Arkadij Strugacki kazał mi postawić koło niego drugie krzesło (miał złamaną rękę), a gdy siadłem naprzeciw niego niczym petent przed urzędnikiem, wskazując na popielniczkę i „stolicznyje” – pozwolił palić i zapytał, jaką mam sprawę.

Przed wszystkim przedstawiłem się, powiedziałem, kim jestem i co robię. Pochwaliłem się kartoteką zbiorów – tu spytał się, czego nie mam, a ja odpowiedziałem, że mam prawie wszystko, poza drobnymi utworami, które mam nadzieję znaleźć. Pokazałem również polskie przekłady ich książek, które zresztą miał. Wkrótce wstępna część rozmowy zakończyła się i zapytał, czego konkretnie sobie od niego życzę (mówił mi po imieniu, zachowując formę „wy”).

Poprosiłem go najpierw, aby mi powiedział, czy przekład „Gadkich liebiediej” można zrobić nie na podstawie druku z „Daugawy”, a z samizdatu. Odpowiedział, że wersje są zgodne „słowo w słowo”. Po drugie, „wystąpiłem w roli posła”, prosząc o podanie tytułu którejś z Jego i Brata najnowszych rzeczy, aby „Współpraca” mogła wystąpić do WAPP o pozwolenie na druk, przy okazji opowiadając, jak to wydawnictwa rozbijają się w Polsce za ich książkami, podając w charakterze przykładu historię pogrzebania w ministerstwie inicjatywy wydania „Dziel zebranych” przez „Współpracę”, przeciwko której wystąpiły inne wydawnictwa zazdrosne o zyski i nie chcące w związku z tym użyć jej praw do

przekładu. Historia wywołała rozbawienie Arkadija Strugackiego, który całkiem do rzeczy zauważył, że zatem – jak widać – na razie nie będzie ich dzieł zebranych po polsku, ale to przeżyje. Co do tytułu, to wymienił „Grad obieczonej”, który w drugiej połowie roku ma być wydrukowany w „Newie”.

Po trzecie poprosiłem go – jako o rzecz dla mnie najważniejszą i już bezpośrednio z pracą związaną – o pozwolenie na prowadzenie z nim korespondencji w konkretnych sprawach związanych z ich twórczością, jeśli w toku pracy pojawiają się problemy, których sam rozstrzygnąć nie będę w stanie. I dałem przykłady:

Pierwszym była sprawa zakończenia opowiadania „Ispytanie SKIBR”. W tomie „Sześć Spiczek” rzecz kończy się optymistycznie. Byków pozwala cybernetykowi zabrać w podróż swoją żonę. Natomiast w wersji drukowanej w zbiorze, ostatnio wydanym w Rydze – zakończenie jest inne. Problem odpowiedzialności dowódcy, któremu potrzebny jest cybernetyk i może wziąć tylko tego jednego (równocześnie łamiąc mu życie) oraz problem wyboru między życiem osobistym a pracą, który musi podjąć ów cybernetyk – pozostają nierozstrzygnięte. I teraz powstaje pytanie: czy jest to wersja pierwotna? Jeśli tak, świadczyłoby to o łączności twórczości Strugackich z końca lat pięćdziesiątych z literaturą światową, o pewnym egzystencjalistycznym posmaku w ich twórczości. Powiedziałem Strugackiemu, że ja osobiście sędzę tak właśnie.

W tym momencie Strugacki się zadumał. Długo przypominał sobie, co to było za opowiadanie i w końcu powiedział, że dla tego opowiadania nie było ważne, jakie ma ono zakończenie. Bo już wcześniej powiedzieli w nim to, o co im chodziło. A chodziło im o przedstawienie przede wszystkim wizji technologicznej. Co było potem – to się już nie liczyło. Przy czym o naśladownictwie nie ma mowy. Byli wówczas odcięci od literatury światowej, a głównym wzorcem były dla nich w tych czasach opowiadania Bielajewa.

Ja w tym miejscu – żartując, że „prawdziwy krytyk zna lepiej pisarzy, niż oni samych siebie” – zacząłem bronić swojego punktu widzenia, zaznaczając, że nie mam na myśli żadnych naśladownictw z francuskiego, bo kategoria „wpływów” nie jest naukowa. Podkreśliłem, że myślałem raczej o pewnym „duchu czasu”. Więc jednak przyznał mi rację, mówiąc, że rzeczywiście starali się jakoś „uczłowieczyć to wszystko”, to znaczy, nie poprzestawać na technologii.

W tym kontekście wspominał o opowiadaniu „Czastnyje priedpoloženijja”, relacjonując, jak to starali się przyjąć trzy punkty widzenia, aby nie tyle opowiedzieć o możliwości przyspieszenia bezwzględnego i ziemskiego czasu przy locie z szybkością przyświełną, ale też odpowiedzieć o jej skutkach „dla ludzi”. Ot, wraca człowiek, z którym pożegnano się na zawsze i co z tego wynika. (UWAGA: skoro tak było, to można przeprowadzić prostą linię od wczesnych opowiadań, poprzez „fantastykę jako chwyt”, służący wyjawianiu różnych ludzkich i społecznych cech za pomocą postawienia człowieka w fantastycznej sytuacji, aż ku „bajkom współczesnym”, gdzie takie „eksperymentowanie” dotyczy już współczesnego Strugackiego „przeciętnego, rosyjskiego inteligenta”).

Drugie moje pytanie dotyczyło „Siemiejnych diel Gajurowych”. Wyraziłem wątpliwość co do autorstwa. Stwierdziłem, że jest to rzecz tak odmienna i tak pozbawiona śladów jego ręki, że nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Arkadij Strugackij odpowiedział, że jest to rzecz napisana wyłącznie dla pieniędzy, o rzeczach, których w ogóle nie widział. Niżaziemu wytwórnia zaproponowała napisanie scenariusza - i zwrócił się do Strugackiego, aby pomógł mu gotowy materiał ułożyć w ciąg obrazów, bo sam nie miał o scenariuszopisarstwie pojęcia. W sumie AS tłumaczył napisanie tej rzeczy ciężką sytuacją finansową. W momencie jednak, gdy zaproponowałem, żeby tego utworu nie traktować jako jego dzieła, ale jako redakcję literacką – odpowiedział, że to jednak: „toż soczinienie”.

Następnie, w trakcie omawiania szczegółów technicznych, dotyczących ewentualnej korespondencji, Strugacki zaczął opowiadać, że „wielu się do niego zwraca, z ZSRR, Ameryki, od was”. Zdziwilem się, kto by to mógł być... że, owszem, wiem o jednej pracy doktorskiej, ale jak na razie, to tylko Lem napisał „u nas” większy szkic o nich... A.S. wówczas zauważył, że mówiąc „od was” miał na myśli Europę... Rozmowa zeszła na temat Lema.

Przed wszystkim nie podobało się Arkadijowi Strugackiemu posłowie Lema do „Pikniku na skraju drogi”. Zauważyłem, że główną tezę Lema brzmi: wartość powieści kryje się w otoczeniu miejsca lądowania, „strefy” złożoną siatką społecznych stosunków. A.S. zgodził się, że tu Lem ma rację (powiedział to chyba w tym sensie, że o to im z Bratem chodziło), ale zaznaczył, że zawiódł się na Lemie z powodu czynienia przez niego uwag co do natury przybyszów: „Jak można mieć pretensje z powodu technologii – i to fantastycznej”.

Tutaj wtrąciłem się, mówiąc, że Lem wysuwa tezę, że główną cechą istot pozaziemskich będzie ich całkowita dla nas niezrozumiałość. A.S. odpowiedział, że na pewno. Dodalem, że Lem zapewne dlatego w ten sposób spojrzał na ich powieść, bo od dłuższego czasu mało go już interesuje literatura, bardziej pewne prawdy filozoficzno-futurologiczne, które stara się ilustrować tym, co pisze. Na tym zresztą polega, moim zdaniem, główna różnica, między nim, a nimi, że – choć do pewnego czasu twórczość ich i pisarstwo Lema rozwijały się równolegle, to potem Lem stał się przede wszystkim filozofem, podczas gdy oni pozostali pisarzami.

Arkadij Strugacki zareagował moją tezę następująco: Otóż, wedle niego Lem jest jednak wielkim pisarzem, co by tu nie powiedzieć. Za jego wielką, jedną z najważniejszych w światowej literaturze powieść uważa „Głos Pana”, który swego czasu czytał po angielsku, A tak w ogóle, to uwaga o podobieństwach jest słuszna. Raz oni go wyprzedzali, innym

razem on ich. I na pewno „Krainie purpurowych obłoków” odpowiadają „Astronauty”, „Powrotowi” – „Obłok Magellana”, a „Drapieżności rzeczy wieku” – „Powrót z gwiazd”.

W wymienionych na końcu powieściach, tu i tu, ukazane jest społeczeństwo „mli, mli” (tak nowy świat na Ziemi nazywa jeden z bohaterów „Powrotu z gwiazd”). Ale jest też między nimi ta różnica, że (nie cytuję dokładnie) „my wprowadzamy fantastyczne zjawisko, żeby sprawdzić, jak wobec niego zachowają się ludzie, natomiast Lema interesuje ono samo przez się”. (Jeśli dobrze zapisałem, to te słowa potwierdzają moją teorię o głównej różnicy między Strugackimi a Lemem.) Wtrąciłem, że istnieje też analogia między „Drapieżnością rzeczy wieku”, a „Katarem” – że wpadli na ten sam pomysł – tj. pomysł przypadkowego powstawania niebezpieczeństw z wielu rozsianych przejawów nie niebezpiecznych same przez się. Zgodził się ze mną, dodając, że u Lema o wiele bardziej przekonujące niż u nich są realia, zresztą fantastyczne, jako że Lem, lekarz, bardziej przekonująco rzecz całą uzasadnił.

Rozmowa zaczęła zbliżać się ku końcowi. Interesowały A.S. jeszcze szczegóły z życia Lema. Czy wydaje w Polsce, gdzie jest teraz i czy to prawda, że przeszedł ciężką operację opuchlizny na mózgu (z trepanacją czaszki)? Ponoć właśnie dlatego miałby być w Wiedniu, że tylko ten klimat mu odpowiada, jako że podobny do Krakowa – a w samym Krakowie przebywać nie chce. Pytał się także o ostatnie wywiady Lema.

[Notatkę sporządziłem po powrocie do akademika.]

15.03.1987

Mija miesiąc, odkąd przyjechałem i pora sobie powiedzieć otwarcie, że siedzenie tutaj jest w tej chwili najoczywistszą stratą czasu. Sytuacja psychologiczna jest nie do zniesienia. Wszyscy snują się, nikomu nic się nie chce. Człowiek zaczyna zachowywać się surrealistycznie, wpadają mu do głowy

jakieś dziwne myśli, organizm również zachowuje się dziwacznie. Wymyśliłem wobec tego coś takiego:

Otóż trzeba by zmienić proporcję, większość pozostałego pobytu spędzić w domu. Myślę, żeby wyjechać stąd ok. 1 kwietnia, wrócić do Moskwy dwudziestego, pobyc 10 dni, następnie pojechać, jak wszyscy, na przerwę majową, spóźnić się znowu i wrócić znowu ok. dwudziestego. Ostatni miesiąc trzeba będzie niestety przesiedzieć w Moskwie, ponieważ jednak obowiązuje konieczność zdawania egzaminów. No, chyba, że załatwię wcześniejsze zdawanie. W ten sposób zyskałbym 6 tygodni normalnego życia.

Mógłbym i wyjechać wcześniej, ale trzymam mnie brak pieniędzy. Może wyciągniemy je z ambasady? Może w końcu zwrócą mi dług? Praktycznie nie mam już w Moskwie nic do roboty poza zmikrofilmowaniem 5 książek i zrobieniem niewielkich zakupów. Szkic, który zamówiła u mnie „Literatura Radziecka” mogę zrobić w domu. Także i zamówienie dla ambasady. Także i książka pisać się będzie lepiej w domu.

Co tam jeszcze:

Przyszło do mnie „Życie Literackie”. Ucieszyłem się trochę, bo dawno mnie nie drukowano. Dobrze jest o sobie publice przypomnieć, że żyję, że piszę. Tym bardziej artykułem, który zapewne nie przemknie bez echa, chociaż Machejek wyciął w nim to, co najważniejsze.

Liczę, że przyjadę gdzieś za 2 tygodnie. W związku z tym mam już prośby przyjazdowe.

Przed wszystkim Ojciec znowu będzie musiał po mnie przyjechać, bo będę miał bardzo ciężkie bagaże. Trzeba zwieźć książki, zimową odzież, zakupy. Dobrze by było, aby wziął ze sobą dużą, pustą, walizkę z wózekiem. Wpakuję do niej książki, których do „Krakusa” nie wpakuję w kartonach, w których wieźć je będę z Moskwy.

Po drugie być może w najbliższych dniach odprawię kurierem dyplomatycznym najważniejsze materiały. Jeżeli zajdzie konieczność

ich wcześniejszego odebrania, to zawiadomię telegramem, jak i gdzie, i kiedy trzeba je będzie wziąć.

20.03.1987

Siedzę sobie i mam nieszczęśliwy humor po kolejnym pobycie w ambasadzie. Znowu nie ma pieniędzy i w ogóle okazało się, że będzie ich nie 400 a 280 rb. I to nie wiadomo kiedy. Nie mam na podróż — przyjdzie więc ją o parę dni odłożyć. Może to będzie miało i ten dobry skutek, że wcześniej napiszę ten szkic o Kuprianowie? Po drugie znowu się strulem. A po trzecie przekazałem materiały o Strugackich do wysyłki pocztą dyplomatyczną, co jest nowym powodem do niepokoju. No bo jeżeli mi zgubią... A wysłać muszę, bo nie będę ryzykował natknięcia się na jakiegoś młodego, chcącego się zasłużyć celnika.

Teraz słuchaj! Materiały powinny wylądować w czwartek w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w Departamencie współpracy z ZSRR u pani Małgorzaty Sz. Prosiłem ją w dołączonym do nich liście o przechowanie u siebie w pokoju, póki nie odbiorę ich ja, albo Ojciec. Są w walizeczce. Mam do Ojca prośbę, aby od razu, po otrzymaniu tego listu (za Twoim pośrednictwem) do pani Sz. zadzwonił /tel. 26-33-59/ do Warszawy i — w zależności od tego, jaki to będzie dzień - albo uprzedził ją, lub osobę z jej pokoju o tym, że przyjdzie ode mnie przesyłka, albo dowiedział się, czy przyszła. Niech natychmiast zatelegrafuje do mnie z wiadomością, czy jest przesyłka u Sz., czy nie ma. Póki telegramu nie otrzymam, będę się niepokoził. To bardzo ważna sprawa.

Może się tak zdarzyć, że Ojciec będzie w Warszawie przed moim przyjazdem do kraju, niechże wtedy materiały z ministerstwa sam weźmie.

I to by była część główna listu. Jakie jeszcze nowiny? Ano, że otrzymałem od Ciebie list. Nareszcie. Byłem prócz tego na tutejszym „wieczorze autorskim” (tegoż Kuprianowa). No i sporo czytam.

31.03.1987

Nie pisałem parę dni. Nazbierało się więc nowin. Przede wszystkim nie udało się uzyskać pozwolenia na wyjazd, ku mojemu wielkiemu zgrzytaniu zębami Rosjanie się nie zgodzili. Trzeba więc czekać jeszcze prawie 4 tygodnie. Za ten czas akurat zdążą materiały dojść do Warszawy. Daj Bóg, żeby się nie zawieruszyły. No nie powinny się zawieruszyć. Prócz tego zacząłem pisać. Napisałem strony dwie — a teraz siedzę w bibliotece, bo żeby napisać następne 3 muszę przypomnieć sobie całą książkę. Taki los krytyka.

Także nie ma nic złego, co by na dobre nie wyszło. Przez 3 tygodnie powinienem napisać w sumie ze 20 stron. A dzięki temu, że zdążą dojść materiały — siedząc w domu, będę mógł pracować dalej. Więc o prawda w sumie planu nie wykonam, ale przed moim wyjazdem z 50 stron książki powinno powstać. Potem, w maju i czerwcu zajmował się będę wyłącznie ostatnimi zakupami, zebraniem ostatnich materiałów itd.

Co tam jeszcze? Ano nareszcie temperatura osiągnęła ok. 7 stopni Celsjusza. Płaszcz bardzo się przydaje. W naszym małym, akademikowym świątku znowu wydarzył się skandalik. Otóż wyobraź sobie, że pojawiła się kurwa-Kazaszka, która — będąc na I roku i mając lat 17 — zdążyła zaliczyć już pół akademika (nie przesadzam, z tym że mam na myśli tylko męską populację).

Doszło do bardzo interesującej historii, dużo mówiącej o tutejszych obyczajach. Otóż Alma (tak ma na imię) napomknęła w liście do mamusi — a pochodzi z wielce bogatej i „dobrej” rodziny — że poznała Polaków. Reakcja była natychmiastowa. Telefon do rektora, rozmowy prowadzącego seminarium z dziewczyną, rozmowy w rektoracie, jednym słowem szum. Wcale nie speszona opowiadała nam później, jak to przestrzegano ją, że z Zachodu rozprzestrzeniają się choroby weneryczne, wykazywano, jak spanie z cudzoziemcami ma się do honoru komsomolca itd.

Ja osobiście wylem ze śmiechu, a Walek z Antolkiem, między którymi latała i od których domagała się prezentów wzdychali nad dyskryminacją cudzoziemców w ZSRR.

I słusznie. Z połową akademika mogła się puszczać bezpiecznie. Ale nie z Polakami!

Prócz tego zrobiliśmy robotę dla Pana Radcy. Przeczytaliśmy za niego parę powieści i napisaliśmy opinie, które on wykorzysta w jakimś swoim doniesieniu. Uroczyście wypił z nami po kieliszku i obiecał w końcu załatwić z naszymi pieniędzmi. Może nareszcie dostaniemy tych parę groszy. No i może przerzut moich materiałów do Warszawy w końcu wypali.

01.04.1987

Dostałem Twój list o pianinie, na którym nas oszukali i - jak łatwo się domyślać - wściekłem się trochę. Myczkowski w istocie ewidentnie zrobił mnie w konia, wiedział, że sprzedaje złom, a jego informacja o stroicielu obliczona raczej była na to, żeby śpieszący się człowiek zrezygnował z jego usług. Wnioski: jest zatrudnienie dla 150 tys., które przywożę. Trudno... frycowe się płaci i jeszcze razy parę je zapłacimy. Zresztą strata 40 000 zł nie jest ostatecznie taka duża.

Zrób tak: dowiedz się u tego stroiciela, ile by kosztował remont i ile pianino byłoby warte po remoncie, jak również, kto by ten remont miał robić i czy ów, kto by miał robić, ma czas. Także, czy pianino wyremontowane nie ustępowałoby nowemu jakością. Zresztą ponieważ z kupnem nowych pianin jest źle, to chyba skończy się na remoncie.

Teraz słuchaj: bardzo cię proszę, abyś dowiedziała się tego wszystkiego przed moim przyjazdem, który nastąpi na pewno 25 kwietnia. Zacząłem pisać książkę, i nie mam najmniejszej ochoty na załatwianie tego wszystkiego w kraju, gdzie również chcę pracować, o ile poczta dyplomatyczna nie zagubi mi materiałów do książki o Strugackich.

To byłoby nieszczęściem nieodwracalnym. A głupie pianino? Nie pierwsza to strata,

jaką poniosłem. Na maszynie dziewiarskiej straciłem tyle samo (40 000), na kurtce mongolskiej 28. Raz na wozie, raz pod wozem. Takie są prawa handlu,

Analizując sytuację w której popełniłem błąd stwierdzam, że:

- a) nie popełniłbym go, to znaczy nie kupiłbym tego nieszczęsnego pianina bez sprawdzenia jego jakości, gdybym nie był przemęczony i miał czas i myśleć, jak i działać w spokoju;
- b/ nie popełniłbym, go, gdybym nie chciał zaoszczędzić i nie zdecydował się na ofertę najtańszą - „biedny dwa razy traci”.

Wnioski: nie będę już latał jak pies z wywieszonym ozorem, ani się łakomił. I jest to moja myśl ostateczna. Po prostu moja psychika nie wytrzymuje przeciążenia i w takiej sytuacji zaczynam się zachowywać jak dławiąca się maszynka. Szkoda tylko, że trzeba za to płacić (prawidłowe ekonomiczne wyliczenie: cena pianina zapłacona: 80, cena rzeczywista: 40, transport... i tak trzeba to obliczać).

P.S.: Pamiętaj, że sprawa szybkiego znalezienia faceta, który pianino wyremontuje jest bardzo istotna. Niedługo można spodziewać się podwyżki cen, więc i ceny za takie usługi wzrosną. Z tym, że jeśliś zauważyła ogłoszenie „pianino do remontu kupię”, to sprzedaj. Liczy się kapitał, nie rzecz. I jeszcze jedna prośba. Natychmiast jak się dowiesz dokładnie, ile miałby kosztować remont tego naszego pianina, to mi zatelegrafuj. Ze zdania w liście można wnioskować, że 100, można, że i 150. Czekam więc na telegram. Sądzę, że moje nerwy warte są te trzy stówki.

10.04.1987

Najpierw co do pianina: otóż jestem przeciw prowizorycznemu remon-towi. Nie wiadomo, jakie będą w przyszłości ceny i jak będzie z produkcją pianin w Polsce. Więc istnieje niebezpieczeństwo, że nie sprzedamy wtedy tego grata. W takiej sytuacji trzeba zdecydować, czy go sprzedajemy za 50,

czy też remontujemy go już porządnie. Zależy to od 2 rzeczy: ewentualnej wartości pianina po takim generalnym remoncie i od realnych możliwości zakupu nowego. Jeżeli np. remont miałby wynieść ok. 100 tys., to sądzę, że by się opłacało. Jeżeli natomiast więcej, to nie. Bo do zakupu nowego pianina – o ile dobrze pamiętam ceny – sprzedawszy trupa będziemy musieli dopłacić jeszcze 90. No oczywiście absolutna niedostępność pianin na rynku może zmienić kalkulację. Ostatecznie zdecyduję, jak przyjadę.

Co jeszcze. Dotarłem do 15 strony książki, ale niestety w związku ze sprawami musiałem sobie zafundować trzydniową przerwę, która wybiła mnie z rytmu. Cholerni Rosjanie nie chcą się z tym pogodzić, że olewam ich zajęcia, grożą obcięciem stypendium, ale to raczej ciche pogroźki. Trzeba było jeszcze pójść do ambasady, no i tak zrobiła się przerwa. Niemniej mam nadzieję jeszcze ok. 10 stron napisać. Oprócz tego równolegle pracuję nad tłumaczeniem. Tak po 1-2 strony dziennie. Przynajmniej na etapie brudnopisu absorbuje to mój umysł minimalnie, a i tak nawet przy maksymalnym wysiłku woli nie jestem w stanie napisać więcej niż 4 strony dziennie. Idzie mi jak po grudzie.

Ze zdrowiem średnio. Tzn. nic mi szczególnie nie jest, ale jak młody bóg też się nie czuję. Na przykład nie mogę spać. Najbardziej jednak męczy mnie nostalgia. Jeżeli pracuję, to pół biedy. Bo nie zauważam nawet, jak dzień za dniem mija. Ale gdy jest takie intermedium, to zaczynam się zastanawiać nad swoją sytuacją, zdawać sobie sprawę, że jestem tu obcy i bardzo samotny (tj. otoczony ludźmi, którzy mają moje sprawy za nic i nic ich nie obchodzi). Po drugie, myślę sobie że za tydzień kończę 30 lat i że to już koniec młodości. Myślę także dużo o Was. Wszystko to stanowi mieszaninę wybuchową.

14.04.1987

Do wyjazdu tylko 12 dni. Za 2 dni kupujemy bilety i zacznie bić wy-

jazdowy zegar. Pakowanie, ostatnie zakupy, załatwianie ostatnich spraw – wszystko to zajmie mi dużo czasu. Nie wiem więc, czy uda mi się jeszcze coś napisać. Zrobiła się przerwa, trzeba było przeczytać następną książkę. Dzisiaj ją skończę, ale ochoty do pisania żadnej.

No żeby tylko coś dodać, parę stroniczek – już będzie dobrze. Chociaż te strony nie są takie, jak pisane w domu. Za bardzo źle się czuję psychicznie, żeby pisać tak, jak jest to w moich normalnych możliwościach. Prócz tego ciągnę po stroniczce dziennie tłumaczenia, co zajmuje mi po godzinie i nie ma znaczenia w ogólnym bilansie. Pracując w takim tempie można przełożyć powieść w rok. I postaram się zrobić z tego stale źródło zarobku.

Zresztą na pewno jeszcze w czasie tych 12 dni zdarzą się niespodzianki. Np. taka, jak była wczoraj. Antolek po pijaku kupił zamiast zamrażarki lodówkę, nie chcieli jej przyjąć z powrotem, Antolek w ogóle niezdolny był do czynu – cały więc dzień ratowałem jego 60 tys. – ale jakoś, po wsunięciu w łapę odpowiedniego papierka, wyszło.

Innym wydarzeniem w naszym małym światku była decyzja żony Walerka, która znużona sytuacją ni żony, ni panny znalazła sobie chłopca i zapowiedziała Walerkowi, że jak przyjedzie, to żeby się nie dziwił, że nie nocuje w domu. Walerek nie za bardzo wiedział, jak się zachować; z początku wybrał wariant histeryczny, z bólami serca i seansem psychoterapeutycznym u mnie, ale na drugi dzień już w pełni zadowolony pocieszył się z jakąś sybiraczką i – jak wnioskuję z jego planów wyjazdowych dotyczących pobytu w Warszawie – chyba w ogóle o sprawie zapomniał. Ale model! Nie?

I tak obserwuję moich koleżków i to życie, które wokoło mnie się toczy, prawie że mnie nie dotykając.

A więc przypuszczam, że niespodzianki i przed wyjazdem, i niedługo później jeszcze będą. Jest czas siania i czas zbierania. Teraz powinien zbliżać się ten drugi.

Dużo znaków zapytania przede mną. Przede wszystkim - jak pójdzie pisanie książki! Do końca roku trzeba ją oddać. A tu, cholera, przecież trzeba do pracy iść. A od książki zależeć będzie bardzo dużo, tj. poziom naszego życia przez najbliższe lata. Czy kiedyś przestanę się czuć jak z nożem na gardle?

Drugi znak zapytania, to miejsce pracy. Liczę, że wypali IBL, no ale jeszcze umowy nie podpisałem. Trzeba też zobaczyć, jakie propozycje miałby Wasilewski. Wszystko to zdecyduje się w ciągu wakacyjnych miesięcy. A potem znowu czeka mnie wysiłek, żeby zdobyć w tej przyszłej pracy pozycję.

Jednym słowem czeka nas życie nielekkie.

Maj-czerwiec

22.05.1987

Niestety, jak zwykle piszę po tygodniu. Jak zwykle po przyjeździe porwał mnie wir wydarzeń. Zalaatwiłem interesy w połowie i zacząłem biegać za zakupami – ale na razie bez powodzenia. To zajęło połowę czasu. Natomiast drugą połowę – szalona rosyjska balanga. W sobotę mianowicie Batu, Gruzin, chcąc zmiękczyć moją stanowczość w interesach zaprosił mnie na czacze – tamtejszy samogon o mocy 70%. Będąc podobno co nieco „chorym” spotkałem dziwną parę: cyrkową artystkę i znanego tutejszego publicystę-odnowiciela. Ci wprosił się do mnie w gości, po czym przewinięło się przez mój pokój ze 20 najrozmaitszych typów w stanie większego lub mniejszego zapijaczania, zdradzając najświętsze tajemnice swoich nacji.

Najciekawsza była para dwóch azjatów: znany dramaturg i student-zaocznik, przy czym dramaturg z uniżeniem nadskakiwał studentowi, bo ów drugi był potomkiem Czingiz-Chana a dramaturg tylko synem mully.

Poza tym odbyłem jak zwykle parę długich rozmów z Baszyrowem. Zrobiono mu – wyobraź sobie – niezwykle kawał. Otóż na adres zjazdu Komsomołu wysłano podpisany „Baszyrow” telegram, zawierają-

cy nieprzyjemne uwagi pod adresem szefa Wydziału Kultury tejże organizacji. Była cholerna awantura – na szczęście telegram wysłano 16 z Moskwy, a wtedy Baszyrow był w Kazaniu. Wszystko to wiązałyśmy ze wzrostem antysemitycznych nastrojów, które ostatnio zaowocowały nawet otwarciem: powstała tam organizacja podobna do naszego „Grunwaldu” – nazwana „Patriotyczeskije objedinenie «Pamiat»”, co prawda nielegalne, ale do tego stopnia tolerowane, że gazety podały ostatnio wiadomość o spotkaniu przedstawicieli tejże organizacji z Jelcynem, a to jest członek CK.

Aha, przekaz Ojcu, że bodaj w 3 numery „Nowych Dróg” jest przegląd książek krytyków marksistowskich pióra Skuzy, w którym jest atak pod jego adresem. Od razu skojarzyłem sobie ten artykuł z wyeliminowaniem mnie z „PL-A”. Według mnie nie jest to zbieżność przypadkowa.

I tyle na razie nowin. Niewiele. Tak ogólnie – bardzo jestem niezadowolony z tego ostatniego przyjazdu do Moskwy. Nie wiem, czy stałem się przesądny, ale mam wrażenie, że skończy się to jakimś nieszczęściem. I z tym moim wrażeniem ciężko mi się żyje.

31.05.1987

Dawno nie pisałem, bo wpadłem w tak czarny nastrój, że w ogóle nic mi się nie chciało. Nie tylko przez 10 dni nie mogłem listu napisać, ale i garnków pomyć, czy jeść ugotować. Żywili mnie koledzy. Trzydniowe szaleństwo, o którym pisałem, przyplaciłem więc takim atakiem chandry, jak jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Widocznie po dwóch latach tego dziwnego bytowania moje siły mocno się wyczerpały. Przede mną jeszcze 4 tygodnie pobytu, bo realnie należy liczyć się – biorąc pod uwagę wszystkie finansowe i biletowe kłopoty (ambasada zalega z wypłatą na 300 rubli) – że przyjadę do Polski pod sam koniec miesiąca. Jakiś dzień, dwa zajmie mi sprawdzenie samochodu i zalaatwienie spraw w Warszawie, po tym od razu przyjadę do Was i ładnych parę dni posiedzę, żeby

przed przystąpieniem do pracy nad książką się Wami nacieszyć.

Tylko jeszcze to pytanie: jak ja wytrzymam te cztery tygodnie. Czy zawsze każdy okres w moim życiu trzeba kończyć na czworakach? Na czworakach kończyłem studia, na czworakach kończyłem wojsko, teraz – cholera – na czworakach kończę pobyt w Moskwie. To jest taka specyfika końca, że wszystko co robisz – nie ma sensu, wszystkie mordy wokół są odpychające, nic się nie chce i od tej ogólnej beznadziei gdzieś z głębi podświadomości rodzą się strachy zupełnie lub w 99,9 procentach idiotyczne z punktu widzenia logiki. Te strachy wczepiają się w umysł, wbijają jak gwoździe i bardzo trudno je zwalczać.

02.06.1987

Na szczęście przeszło mi już na tyle, że chcę nawet brać się za napisanie recenzji do „Literatury Radzieckiej”. Tym bardziej, że kupiłem kolorowy telewizor za 400 rb., a następnie z pozostałych pieniędzy mnie okradziono. No i straciłem 40 rubli, za które miałem zamiar żyć. Skutek taki, że gryzę jak niedźwiedź łapę i muszę szybko poprawić swoje finanse. Ambasada dalej nie przysyła pieniędzy.

Teraz o przyjeździe. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spotkamy się dopiero około pierwszego, drugiego lipca. Pieniądze z instytutu dostaniemy późno, trzeba będzie je jeszcze wydać. Do tego trzeba się liczyć z kłopotami biletowymi. Jak przyjadę, szybko będę musiał sprawdzić samochód, żeby mi się nie rozkraczył, zgłosić się do Żółkiewskiego, rozliczyć z ministerstwem, itd. Także przyjadę do Was właśnie pierwszego, drugiego i będę siedział z tydzień czy dłużej, potem wracam do Krakowa.

Oprócz tego, com wyżej napisał, dużo się nie zdarzyło. Ciekawą przygodą była projekcja „The day after” w telewizji radzieckiej. Interesująca była reakcja sali. W czasie pierwszej części, opisującej początek wojny (wywołanej – wiadomo – atakiem ZSRR na RFN)

pochwalne uśmieszki i szepciki dowodziły wielce imperialnych, tutejszych nastrojów. Dalsze wydarzenia na ekranie wywarły tym większe wrażenie. Ruscy nacjonaści opuścili świetlicę milcząc.

Był też ciekawy skandal z samolotem. Wyobraź sobie, że z RFN, przez Bałtyk, kilkaset kilometrów przeleciał nieuzbrojony, sportowy samolot, który w końcu wylądował na moście, w pobliżu Placu Czerwonego. Od razu zdjęto szefa wojsk lotniczych. Od Rygi nie mogli go oni stracić, ani zmusić do lądowania. Najdziwszy skandal. A jeśli tak, przez przypadek, wioził małą bombkę? Na szczęście pilot, który wysiadł z samolotu oświadczył tylko, że postanowił pomóc w pierestrojce, dał kilkadziesiąt autografów zdumionym ludziom i spokojnie poszedł z milicją się tłumaczyć, co pewnie zajmie mu dużo czasu.

Prócz tego dowiedziałem się ciekawej rzeczy. Mianowicie najprawdopodobniej doszło tu ostatnio do morderstwa w świecie literackim. Dramaturg wyrzucił przez okno redaktora naczelnego młodzieżowego, literackiego miesięcznika. Oczywiście od razu zrobiono z tego (czy próbowano zrobić, bo jeszcze nie wiadomo, czy się uda) nieszczęśliwy wypadek. Potwierdziło to poniekąd, że moje obawy dotyczące Afgańca nie były tchórzostwem, a dowodziły rozsądku. Jak stwierdził wykładowca prawa, w ZSRR prawo przestrzegane jest w 0,09%. W rzeczy samej to Dziki Zachód.

No cóż. Teraz już będzie lepiej, pozostały 3-4 tygodnie. Jeszcze raz się okazało, że wyjazd z kraju jest dla mnie po prostu psychiczną tragedią. Z byle powodu załamuję się i potem długo dochodzę do równowagi. Jako takiej równowagi. Jestem człowiekiem rodzinnym i nie nadaję się do podróży. Sądzę, że gdybym miał tu mieszkać jeszcze rok, wylądowałbym w wariatkowie.

P.S. Wysłuchałem niesamowitej historii. Wyobraź sobie. Leżę sobie w łóżku gdzieś o trzeciej w nocy. Obok mnie chrapie na fotelu

pijany litewski prozaik Leonidas Jasieniawiczius, który zgubił klucz od swojego pokoju. A tu nagle ktoś ciałem atakuje moje drzwi. Nie otworzyłem i na szczęście.

Obok mnie w pokoju mieszkają Baszyrowowie. O tej samej godzinie żona (Sława poszedł do ustępu) usłyszała szereg takich odgłosów, z kilkunastominutowymi odstępami między jednym a drugim. I przyszła jej kolej. Drzwi się otwierają, wchodzi zupełnie pijana baba z rozwichrzonymi włosami i grubym, przepitym głosem mówi: „Następny!”.

Jak żyję lat trzydzieści nie słyszałem podobnej historii, a przynajmniej, żeby coś takiego zaszło w akademiku w Polsce.

14.06.1987

No i piszę ostatni list. Mam nadzieję, że ostatni na długie lata, bo zdecydowanie mam dość podróży. Nie dla mnie to wszystko. Nie nadaję się do samotności, nostalgia nie jest dla mnie uczuciem, które pomaga.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni zdarzyło się niewiele: po pierwsze udało nam się kupić po gazowym piecu do centralnego ogrzewania. Trzeba było pojechać pod Moskwę. No ale w kieszeni albo 120 tys. złotych, albo – jeśli zdecydujemy się na spory wydatek – możemy załatwić problem węgla, to znaczy zrobić sobie centralne ogrzewanie w mieszkaniu. Byłby to koniec zimowych mąk. Prócz tego udało nam się doprowadzić do tego, że problemem naszych pieniędzy zajął się sam ambasador. Pięć dni siedzieliśmy w ambasadzie od rana do wieczora, wywołując współczucie personelu, w końcu ambasador wysłał ostry list do MSZ-tu. Chyba pomoże.

A tak to dni mijają w pełnej nudzie. Tak że nawet nie ma o czym pisać. Egzaminy i zaliczenia mijają bez żadnych niespodzianek, oglądamy TV, pożegnałem się z C. Wypiliśmy też wszystkie nasze przydziały alkoholu, przy czym odznaczyłem się niesłuchanie mocną głową, natomiast Antolek wymieszał wodę z jakimś lekarstwem i mało nie kipnął.

Z ciekawostek: wpadła mi w ręce antysemicka książeczka rosyjskich emigrantów, gdzie wypisywano, jak podczas swojej podróży do USA Papież w nocy odwiedził główną, żydowską świątynię, modlił się tam do prochów mistrza zakonu Templariuszy, Jakuba, zostawił swoją tiarę (nosi teraz duplikat) i na sam koniec został obrzezany. O tempora, o mores! A propos: czy wiesz, że w pierwszym dniu wizyty Papieża w Polsce nie pracowały nawet ministerstwa?

Co do powrotu: nie mając pieniędzy z ambasady nie możemy kupić biletów, bez biletu nie sposób zamówić kontener. Wszystko się opóźnia. A tu jeszcze będą sprawy w Warszawie. W sumie data mojego przyjazdu wciąż się opóźnia. Ale tak czy owak za najpóźniej 3 tygodnie się zobaczymy i zaszalejemy. W planie mam katharsis po rosyjsku. Przyznam się, że przez ostatnie dwa lata, mimo gorączkowej samoobrony, nabrałem sporo tutejszych przyzwyczajeń.

A tak w ogóle to dużo ostatnio myślę, czy był sens wyjeżdżać. Plusy następujące: zysk materialny, znajomość języka, zebrany materiał do książki, którą napiszę z chęcią, zdobycie miejsca pracy. Minusy: dużo cierpień, utrata poprzedniej pozycji, zły stan zdrowia: wysiadły wątroba, serce, psychika – i być może nie wiadomo jeszcze co. Najbliższy rok chyba zdecyduje, bo minus ostatni jest tego rodzaju, że może przekreślić wszystko inne.

Ja jednak jestem optymistą i liczę, że dalej będzie nam się dobrze żyło, że ten wyjazd okaże się szansą, nie nieszczęściem. Ale na drugi podobny już bym się nie zdecydował. I gdybym cofnął się czas i raz jeszcze stanął przed wyborem – też nie zdecydowałbym się. Takie przygody są dla ludzi silniejszych ode mnie. Albo dla całkiem słabych, którym wszystko jedno gdzie są i co robią.

Koniec

Wojciech Kajtoch



Pejzaż pokutny. (foto: Janusz Mielczarek)

Wojciech Pestka

PSIE GŁOSY¹

*Powiedzcie tym swoim Radomianom, że ja mam
ich wszystkich w dupie i te ich wszystkie działania też
mam w dupie.*

*Zrobiliście taką rozróbę i chcecie, by to łagodnie
potraktować?*

To warchoby, ja im tego nie zapomnę².

Edward Gierek (26 czerwca 1976 roku)

„Pątnicy-78”

– To będzie na dobry początek. Zachęta dla czytelników.

– Ustalmy reguły. Zasada numer jeden: nie pytaj. Departament IV, zajmujący się Kościołem, Komórka „D”, czyli dezinformacja. To powinno ci wystarczyć. Nie wiem, co było przed i po, mogę opowiedzieć o tej jednej, dwieście sześćdziesiątej siódmej pieszej pielgrzymce warszawskiej. Rok 1978, dwa lata po Czerwcu, w tle Radom. Oczywiście wszystko to możesz sprawdzić, nie we wszystko musisz wierzyć.

W słowach, które wypowiadał Mistrzo, pobrzmiwała rzeczowość i pewność siebie. Jasne było, czego chcę ja, wiedział, że chodzi o wspomnienia z czasów jego pracy w Służbie Bezpieczeństwa; martwiło mnie, że nie znam ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić, ani celu, do którego zmierza. Na pewno nie popularność była powodem, dla którego łamał swoje zasady i zdradzał tajemnice, prędzej beczynność i nuda. Jedno było pewne: że ma w tym jakiś ukryty cel i wykorzystuje mnie, by go osiągnąć; byłem jak marionetka tańcząca przed

oczami widzów, poruszana raz w lewo, raz w prawo, która nie wie, w jakiej grze uczestniczy ani komu służy.

– Akcja pod kryptonimem „Pątnicy-78”, w archiwum IPN powinien być dokument z lipca mniej więcej takiej treści, że w porozumieniu z Wydziałem VI Departamentu IV MSW i Komendą Wojewódzką Milicji Obywatelskiej w czasie przemarszu grup pielgrzymkowych przez teren województwa radomskiego zostaną przeprowadzone działania dezintegracyjne siłami własnymi Wydziału IV KWMO w Radomiu. Organizacyjnie zabezpieczaliśmy tylko dwa etapy pielgrzymki: drugi z Tarczyna do Mogielnicy, liczący mniej więcej trzydzieści sześć kilometrów, i trzeci, trochę krótszy, bo trzydziestokilometrowy – do Studzianny.

– Jaki był mój udział w tym pielgrzymkowym cyrku? Serio? Do moich zadań należała ocena skuteczności działań operacyjnych wśród pielgrzymów. Ograniczam zatem swoją relację do grup radomskich: złotej i fioletowej. Grupy radomskie wyruszały 6 sierpnia, liczyły łącznie około dwóch tysięcy trzystu osób – to szacunek według stanu z ostatniego etapu – w tym dwanaścioro dzieci poniżej lat trzech. Fioletowa wychodziła z kościoła pod wezwaniem św. Jana; złotą organizowali filipini, miała wyruszać z kaplicy przy ulicy Siennej. Trasa wiodła przez Zakrzów, Przytyk, Wrzeszczów, Potworów, Klwów, Odrzywół, Ossę, Brudzewice. Cztery kilometry przed Studzianną, około godziny siedemnastej, przewidziane było połączenie z „grupą główną 15” idącą z Warszawy. Rzecz miała cholernie drażliwy charakter. Zatwierdzałem rozliczenia wydatków operacyjnych z tak zwanego funduszu „O”. Nie spytasz, jakie to były wydatki? Zestaw był mniej więcej taki: trzy kostki smalcu, siedem butelek wina, trzy paczki podpasek, cztery rolki papieru śniadaniowego, powiedzmy dwie butelki oleju jadalnego, cztery paczki ligniny, dwieście paczek przerwatyw (po trzy sztuki w paczce), to razem tworzy oryginalną całość. Dodaj do tego, powiedzmy, czterdzieści pustych butelek po tanim winie i taką samą liczbę białych plastikowych kor-

¹ Fragment powieści *Powiedzcie swoim* Wojciecha Pestki, która ukazała się we wrześniu 2013 roku w krakowskim wydawnictwie „Wysoki Zamek”.

² Słowa wypowiedziane przez **Edwarda Gierka** w rozmowie telefonicznej z Januszem Prokopiakiem w dniu 26 czerwca 1976 roku (J. Prokopiak, *Radomski czerwiec '76. Wspomnienia partyjnego sekretarza*, Warszawa–Radom 2001).

ków, dwa kilogramy petów z papierosów, litr krwi zwierzęcej, resztki jedzenia, w tym duże ilości zeschłego chleba, kości kurczaków, odpadki z ryb, skorupki z jajek, puszki po konserwach... Zapomniałem o farbie nitro; farby mieli używać do pisania obraźliwych słów, obscenicznych haseł na płotach, ścianach budynków; podaję przykład czysto teoretyczny, powiedzmy: „wsiowe chuje”, „jebane świętoszki”... – Machnął ręką, jakby oganiał się od osy. – Wszyscy się na to nabierali!!! Bogu ducha winni dobrzy ludzie, którzy przyjmowali pielgrzymów, znajdowali w ogródkach, na polach namiotowych, wokół kościoła butelki po winie, niedopalki, puszki po konserwach, podpaski umazane krwią, prezerwatywy, resztki jedzenia. Jaki krzyk się we wsi podnosił, wyobrażasz to sobie? Komórka „W”, zajmująca się kontrolowaniem korespondencji, dostarczała nam zdjęcia listów z miejscowości, przez które szła pielgrzymka. Jakiś proboszcz groził nawet kurii, że do kardynała Wyszyńskiego napisze! To wszystko później szło do teczki ewidencji operacyjnej „na parafię” albo teczki operacyjnej „na księdza”.

– Przechodzę do konkretów: drugi nocleg radoskich grup pielgrzymkowych wypadł w Odrzywole. W każdej grupie mieliśmy dwóch albo trzech tajnych współpracowników. Na wieczór przewidziana była konferencja i ognisko nad rzeką. Niestety, deszcz zepsuł zabawę, dlatego około dwudziestej drugiej wszystko się zakończyło, chłopcy mieli czas, by popracować. Posłuchaj, notatka służbowa posterunkowego z Odrzywołu:

„W dniu 8 sierpnia 1978 roku udałem się na miejsce ogniska – w tym celu, aby sprawdzić porządek, jaki zostawili pątnicy. Stwierdziłem ogólny bałagan. Było bardzo dużo rozrzuconych papierów oraz leżało tam osiem butelek po winie. Miejsce to sfotografowałem. Kilkadzieści metrów od ogniska w krzakach natpotałem leżące prezerwatywy. Jak wspominałem, fakty te sfotografowałem. Błonną fotograficzną przesłałem pracownikowi Wydziału IV KWMO w Radomiu”.

– A tu mam coś ekstra, analizę materiałów sprawy obiektywnej:

„W związku z wytycznymi Dyrektora Departamentu IV MSW, pracownicy Wydziału IV siłami własnymi przeprowadzili działania „D”, które polegały na zaśmiecaniu wybranych miejsc (miejsc odpoczynków i noclegów) odpadami, resztkami artykułów spożywczych, niedopalkami papierosów i butelkami po alkoholu. Celem tych działań było:

a) ugruntowanie przekonania wśród osób nie biorących udziału w pielgrzymce o jej niereligijnym charakterze i spowodowanie dyskusji o jej dalszej celowości, a także ośmieszenie organizatorów i uczestników tej imprezy;

b) spowodowanie odruchu niechęci tak u księży – administratorów parafii, przez teren których przechodziła pielgrzymka, a także osób udostępniających pątnikom swe tereny pod pola namiotowe, udzielających im noclegów i wyżywienia”.

– Tak zupełnie na marginesie: wiesz, jak wejść w gówno, to od razu wiem, kiedy trafia mi się gówno księdza albo ubeka: podobnie pachną.

Mapa drogowa (jeśli mamy serio rozmawiać)

– Te, kolego, jeśli mamy rozmawiać serio, to musimy coś uzgodnić, opracować sobie mapę, taki kodeks poruszania się po wspólnych drogach, określić zasady ruchu.

– Po pierwsze: żadnych imion, nazwisk, stopni i innych informacji pozwalających na identyfikację na podstawie przebiegu służby i przywołanych z tego okresu zdarzeń w cytowanych materiałach.

– Po drugie: żadnych szczegółów anatomicznych typu wiek, kolor oczu, włosów, opisów sylwetki, szczegółów garderoby, sposobu poruszania się, przyzwyczajzeń, nawyków, skłonności i upodobań, niczego, co by pozwoliło na odszukanie rozmówcy.

– Po trzecie: zero informacji na temat rodzinnych powiązań, miejsca zamieszkania czy

pobytu, otoczenia, szczegółów tła takich jak krajobraz, usytuowanie.

– Po czwarte i bezwzględnie przestrzegane: autoryzacja każdego fragmentu z osobna i tekstu jako całości przed publikacją z jednostronnym prawem do wykreśleń bez potrzeby podawania powodów i uciekania się do wyjaśnień. Nie interesuje mnie tekst, mam twoje pisanie w dupie. Interesuje mnie moje bezpieczeństwo.

– Po piąte: całkowita poufność, anonimowość w odniesieniu do miejsca spotkań. – Z jego słów leciało arktycznym chłodem i jakąś kodeksową, właściwą prawnikom obojętnością. – Takie są moje warunki. Inaczej *goodbye*, kochanie, nie spotkamy się więcej. Ja nie wybaczam.

Tak w mojej pamięci zapisała się nasza pierwsza poważna rozmowa.

– Czy coś zostanie po takim czyszczeniu? – Byłem bardzo ciekaw, co odpowie. – Bo w to wchodzi.

– To, kurwa, twoja sprawa, coś wymyślisz.

Owoc róży (czepne włoski)

Radom, dnia 10.08.1978 r.

Tajne – Egz. pojed.

Notatka służbowa

W związku z prowadzonymi działaniami „D” w czasie przebiegu pielgrzymki warszawskiej nasunął mi się następujący pomysł.

W czasie tegorocznej jesieni należałoby zebrać znaczące ilości owoców róży /szczególnie dzikiej/, których ziarna po wysuszeniu dość łatwo unoszą się w powietrze, a mając charakterystyczne włoski czepne, w zetknięciu z ciałem powodują dokuczliwe swędzenie, potęgujące się z działaniem potu.

Plutonowy Lucjan Koczorowski

Uwagi: Nasiona te można by rozrzucić na trasie między Nowym Miastem a Różaną, kiedy pielgrzymka pokonuje odcinek drogi szutrowej.

Tajemnica spowiedzi

– Zamienił strzyk siekierkę na kij i już ra-

chunek do wyrównania, żeby bilans wyszedł na poziom zbliżony do zera – Mistrzo zaczął tak jakoś dziwacznie. – Życie zmusza człowieka do robienia różnych rzeczy, nawet bez złych intencji, czasami tak się samo pierdoli, wali na leb, na szyję.

– Jak to mówią, chwila nieuwagi – zmarszczył czoło, palce prawej dłoni zatańczyły po kolanach – fiku miku i lis w kurniku.

– Wspomniałem, że byłem w grupie operacyjnie zabezpieczającej wejście pielgrzymki do Częstochowy. Nie mam sobie nic do zarzucenia, niech każdy robi swoje, na tym to polega. Typowa konkurencja sportowa w nietypowym stylu. Kiedy już jesteś w grze, musisz wszystko odrzucić: wszelkie zasady. Nie ma znaczenia, jak zostałeś wychowany, kim był ojciec, matka, jakie miałeś stopnie w szkole, co myślisz o sobie, w co wierzysz. Pełny profesjonalizm, jesteś bez uczuć, jak maszyna: precyzyjny ruch, pociągnięcie skalpelem, oszacowanie. Jeśli coś wraca, to dopiero nocą, kiedy gasną światła. By dopowiedzieć historię do końca: nie mam złudzeń, w tej sprawie nie ma żadnych okoliczności łagodzących, ani za, ani przeciw. Zależy w co, zależy, jak się wierzy. I teraz, kiedy czas pogania, kiedy robi się krótki, ale i o to mniejsza... Poza tym mnożą się niepotrzebne sprawy.

Wydalo mi się to dziwne, ale żeby nie pogarszać sytuacji, nawet nie spytałem, jakie sprawy może mieć człowiek skazany na odosobnienie i pozbawiony przynajmniej w teorii kontaktów z zewnętrznym światem. Dzień był chłodny, we wrześniu takie dni zdarzają się dość rzadko. Siedzieliśmy na spaceru i mimo ponawianych prób rozmowa nie chciała się kleić. Liście lipy rosnącej za ogrodzeniem w nieregularny sposób zmieniały kolor, wszystko zdawało się zmierzać do jakiegoś nieokreślonego końca. Planowałem wyjazd, szykowały mi się dwa tygodnie na Ukrainie. Zastanawiałem się, w jakiej kondycji będzie Mistrzo po powrocie, czy jeszcze będzie chciał ze mną rozmawiać; jego nastroje zmieniały się w sposób nieprzewidywalny, amplituda wychyleń rosła, stąd moja niepewność.

– Obiektywnie można to uznać za wypadek przy pracy. Jest wiele punktów widzenia, zależy, jak na to patrzeć. Robiłem za księdza. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi, niby tłum, małe prawdopodobieństwo dekonspiracji. Ale takiej sytuacji nie da się nigdy wykluczyć..., więc dla tamtych częstochowskich księży byłem wikarym z prowincji, przed tymi z prowincji udawałem miejscowego, niezbyt rozgarniętego diecezjalnego klechę. Miałem na to papiery, konkretnie dwa zestawy na różne okazje, jedne w lewej, drugie w prawej kieszeni, na górze, na dole, bałem się, że jakby co, to mi się w końcu coś popieprzy, ale nikt nigdy nie zechciał ich sprawdzić. Człowiek w sutannie dla pątników jest święty jak krowa w Indiach. Ludzie wierzą swoim oczom i wyobrażeniom, przez pokolenia utrwały się stereotypy myślenia. Rzeczą wstydliwą jest rzeczowość, ostrożność jest traktowana na równi z nietaktem, poza Służbą nikt nikogo nie pyta o dokumenty. Można powiedzieć, że historia nas niczego nie nauczyła. Rozbiory, następujące po sobie okupacje, a my nabieramy się ciągle na te same, stare, zgrane numery. „Legende” robił mi, nieświadomy niczego, wspomniany już „Kutafon”, czyli tajny współpracownik o pseudonimie „Ksenofont”. Czulem się jak aktor na scenie. Mówiąc w sposób pozbawiony przesady: w wypożyczonej z naszej rekwizytorni sutannie wyglądałem jak sam archanioł Gabriel. Poruszałem się w tym tłumie ruchem konika szachowego, starając się nie pominąć żadnego obiektu wyznaczonego do rozpoznania. Przysłuchiwałem się rozmowom, wypytywałem o różne sprawy: dużo was tu przytupało? z której grupy jesteście? a skąd idziecie? jak było na trasie? co tam u was ciekawego? dociera do was „Robotnik”?..., zachęcając do wspólnej wieczornej modlitwy, odpowiadając na pozdrowienia sztandarowym: „Szczęść Boże”, robiąc zdjęcia hasel wnoszonych przez pielgrzymkowe grupy na teren jasnogórskiego sanktuarium, fotografując pątników umieszczających transparenty na ogrodzeniu. Jednym słowem: zamiast poezji proza i kurz, lista priorytetów

i obiektów do rozpoznania w głowie, żądnych wzlotów. Czy dobrze czulem się w tej roli? To pytanie nie na temat. Jako dziecko chciałem zostać strażakiem Wojtkiem, jak już trochę podrosłem i chwyciłem orientację w subtelnościach tego świata – księdzem. – Mistrzo teatralnym gestem ulokował prawą dłoń w okolicach serca, jakby szykował się do przysięgi. – *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti...* Przyznam się, że byłem w pewnym okresie mojego życia, nazwijmy ten rozdział czasem dojrzewania, ministrantem. Zazdrościłem proboszczowi tych bliskich kontaktów z mocami spoza tego świata, ukrytymi gdzieś poza granicą śmierci, tej nieomyślności w sprawach wiary i wiedzy, czego chce od nas Bóg, tego poważania, tych westchnień, tej sięgającej aż spraw bardzo wstydliwych i intymnych wiedzy o ludziach. Zawsze wzrusza mnie ta niezwykła mądrość Ojców Kościoła, którzy, świadomi skłonności człowieka do czynienia zła, by zapewnić Kościołowi pozycję w przyszłości, informację uznali za rzecz kluczową do budowania potęgi. Nie rezygnując z innych dóbr. Ze spowiedzi, z konieczności wyznania grzechów uczynili sakrament. Strzał w dziesiątkę, jeśli to można tak określić, genialna dalekowzroczność. Nie ma na świecie organizacji z takimi możliwościami, jeśli idzie o zasoby informacji. Trzeba podkreślić: dobrowolnie przekazywanej.

– Puszczamy w ruch wyobraźnię: Częstochowa, jasnogórski klasztor górujący nad miastem. Tłumy pielgrzymów napływających nieprzerwanym strumieniem od strony alei, śpiewy, modlitwy, nawoływania, uniesienie, kurz. Kurz na wszystko! Rozległa łąka wokół klasztornych murów, czyli blonia, zapelniona przez wiernych: dziesiątki prowizorycznych konfesjonatów, oczekujący w długich kolejkach, spaleni słońcem, wychłostani wiatrem, zmęczeni, ale szczęśliwi pątnicy.

– Palec przeznaczenia, wypróbowania. – Mistrzo jakby się zmieszał, jakby jeszcze nie był gotowy na to, co nastąpi, i wciąż ważył decyzję. – Teraz czas na opcje, pora sądu.

– Możesz uznać, że zrobiłem to z czystej cie-

kawości; zawsze chciałem sprawdzić, jak to jest, kiedy jeden człowiek drugiemu, zastępującemu Boga, tak jakby Boga dało się zastąpić, z własnej nieprzymuszonej woli wyznaje wszystkie swoje złe uczynki. – Uśmiechnął się z zadumą.

– Możesz uznać, że wypełniałem polecenia, które wynikały z moich obowiązków służbowych – taka odpowiedź też jest możliwa, byłaby całkiem do przyjęcia.

– Jest i trzecia możliwość: sędziwy ksiądz emeryt, który niecierpliwymi gestami przywołał mnie do prowizorycznego konfesjonału ustawionego pod klasztornymi murami i zarzucił na szyję stulę, rzeczywiście miał problemy z żołądkiem. Wyszeptał jedynie: „Bóg mi ciebie zsyła” i już go nie było.

– Przeznaczenie? Rozwolnienie, pospolita sraczka jako narzędzie w rękach ironicznego losu?

– Oczywiście, okazja nie czyni złodzieja, w każdej sytuacji można zachować godność, podjąć właściwą decyzję, narzucić sobie dyscyplinę i zakazać podobnych zachowań. Nawet bez ryzyka konsekwencji służbowych i ewentualnej dekonspiracji.

– Powody są jednak bez znaczenia, liczą się fakty i adrenalina, przyspieszone pulsowanie krwi to też ważny element tej sytuacji, bez ryzyka nie ma gry. Więc spowiadam, ile razy, z kim, wchodzę z coraz większą śmiałością w szczegóły, ciągnę za język, tak naprawdę, po ludzku, rzecz podła, nużąca, żadnych spodziewanych emocji, obijanie mordy, żaluj za grzechy, zadaję pokutę, kobiety skrupulatnie zatrzymują się na drobiazgach, szukają zrozumienia, mężczyźni z grubsza, hurtem, na całość, chcą mieć to z głowy, z coraz większą sprawnością wysłuchuję, rozgrzeszam, jakbym urodził się na spowiednika. – *Ego te absolvo a peccatis tuis...* znaczy i ja odpuszczam tobie grzechy?

– I nagle trach, bach, trafiony, zatopiony: sen na jawie, Afrodyta, blondynka, marzenie, niezemskie zjawisko. „Chyba nie zasługuję na rozgrzeszenie. Jestem w związku z katechetą, chciałabym, żeby się ze mną ożenił”, „Co ty,

dziecko, wygadujesz?”, „Spotykamy się od roku, ale na poważne od wiosny”, „Co to znaczy: na poważne?”, „No, ze sobą śpimy, zaczęło się, jak drukowaliśmy ulotki”, osiemnastolatnia dziewczyna, „Skąd?” – pytam, „Z Częstochowy”, „Jak masz na imię?”, „Ewa”, „Co robisz?”, „Uczę się w średniej szkole, ostatnia klasa”, „Do której szkoły chodzisz?”, „Do Słowackiego na Kościuszki”.

– Bez specjalnych wywiadowczych podchodów wiem o niej wystarczająco wiele, cała reszta do ustalenia w sposób rutynowy, ale to już prywatnie.

– Taka robota, trzeba odrzucić wszystko jak maszyna, na pohybel „czarnym” i „czerwonym”. Można spytać: co się dzieje z tymi, co łamią zasady? Nie śpią po nocach, płaczą w poduszkę?– Jego zgnoić, męska zazdrość, jej darować, nic nie mówiąc, puścić wolno, dać spokój?

– Można więcej szczegółów: jej rodzice robili w branży dewocjonaliów, kręcili łańcuszki, różańce, przez ich ręce przechodziły te wszystkie kościane, migdałowe, plastikowe, sandałowe, fluorescencyjne... nawet nie masz pojęcia, ile pracy to kosztuje, częstochowskie różańce znajdziesz na straganach od Rzymu po Krym.

– Psie głosy nie idą pod niebiosa, do zrobienia, kurwa, masz raport służbowy. Zadaj pracę domową czytelnikom, niech napiszą.

– Można jeszcze małe pytanie: czy obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi?

– I jak powinienem się zachować w kwestii rozgrzeszenia?

– To może być pouczający eksperyment, przecież nikt nigdy się nie dowie, jak naprawdę było.

Trzy klucze – inne znaczenie słowa „wolność”

– Mów mi, kurwa, Ferdynand. – Z niezrozumiałych powodów podczas dzisiejszej rozmowy Mistrzo zażądał, bym używał pełnego imienia.

– Sroce spod ogona nie wypadłem. – Trwał przy swoim, chociaż z imieniem tym, jak po-

wiedział w jednej z poprzednich rozmów, wiązały mu się tylko złe wspomnienia. – Kurwa, jeszcze w szkole podstawowej zamierzałem z tego powodu zabić matkę, tak ją powoli ciąć na kawałki i solić, z mojego życia zrobiła pośmiewisko. Takie nic niewarte wywłoki, czarne jak noc brzydule, słysząc moje imię, histerycznie zanosily się śmiechem. Cała ubecja pokazywała mnie palcami: kurwa Ferdynand, kurwa Wspaniały. – Niby z jednej strony silil się, by zachować filozoficzny spokój, niby z trudem akceptował swoje imię, ale z drugiej strony w tej swojej inności znajdował powód do zadowolenia z siebie, wręcz dumy. Był w nim dziwny upór, który może i wzruszał psychologów albo innych szarlatanów, ale czynił go śmiesznym w prozaicznych relacjach.

– Czym jest wolność? – spytał mnie Ferdynand; na jego miejscu pomyślałbym: a to chimeryczny kutas, będzie mnie przepitywał niczym pani w szkole poprawiającego się przed wywiadówką ucznia, filozoficznych debat mu się zachciewa, sam niech sobie szuka odpowiedzi.

– Zważ, jak bardzo przywiązujemy się do swoich wyobrażeń – parł do przodu jak radziecki traktor.

– Czy wolność jest możliwością wyboru, stanem duszy, przywilejem bogatych – kontynuował w sceptycznym tonie swoje rozważania – atrybutem przypisanym do posiadanej władzy, zgodą na poniesienie kary?

– Nic podobnego. – Woryginalne: „Ni chuja”; czasami Mistrzo z widoczną gołym okiem satysfakcją potrafił ni z tego, ni z owego zmienić charakter całkiem poprawnej wypowiedzi, wtrącając przekleństwo, które miało pobudzić uwagę słuchacza. – Wolność to są te trzy jebane klucze, które widzisz w mojej dłoni.

Prawie przebiegał nogami z tej wypełniającej go od stóp do czubka głowy radości, jakby szykował się do biegu na czterysta metrów; nie wiedziałem, czy chodzi o symboliczne znaczenie tego słowa, czy jego fizyczne odpowiedniki.

– O czym mówisz? – spytałem, czując, że tracę wątek.

– Pierwszy, ten największy, jest oficjalnie nazywany „trójką”, ale tu mówią na niego „bramka”. – Podetknął mi pod nos wypielegnowaną dłoń z dużym, noszącym ślady częstego używania kluczem, który siłą przyzwyczajenia kojarzył się ze średniowieczem i zakonnym furtianem z pękiem podobnych rekwizytów za pasem. – Otwiera drzwi wejściowe do pawilonów i oddziałów oraz furtki spaceriaków.

– Ten skromniejszy to „czwórka”, sięga o całe niebo wyżej, otwiera przejścia między oddziałami, kratowane bramki w korytarzach, dyżurki pielęgniarek, drzwi do oddziałowej kuchni. – Ten najmniejszy, złoty, pochwała skromności, hymn pod niebiosą, to już prawie siódmy cud świata, taki sam ma tylko ordynator i Pan Bóg, daje mi pełną kontrolę nad najważniejszymi sprawami wokół: pozwala na odwiedziny w pokojach lekarzy, umożliwia wgląd w karty pacjentów, daje dostęp do różnego rodzaju dóbr przechowywanych w gabinecie naczelnego; to, musisz wiedzieć, nie tylko starannie wyselekcjonowane alkohole, ale i środki łączności – *sic!* Co można dzięki temu? Można wszystko. A co jest najważniejsze? Wgląd w bieżącą sytuację. Jeszcze raz spytam: czym jest zatem wolność?

– Zapamiętaj, dobrze to sobie zapamiętaj. Nie będziesz mógł się wycofać. Inni może ci odpuszczają, ich sprawa, pies im jaja wylizal. Zawsze zostanę jeszcze ja. To, co usłyszysz, nie będzie ci się podobało, tego jestem pewien. Jesteś gotów zapłacić taką cenę?

– Nie spytałeś, skąd mam klucze – rzucił przez ramię, kiedy się rozstawaliśmy – przecież mogłem to przedstawienie zaaranżować specjalnie dla ciebie, taki kukielkowy teatr jednego widza, a ty od razu w to uwierzyłeś; powinieneś wiedzieć, że potrafię oszukiwać.

– Mniejsza o to. Dobrze się zastanów, czy potrzebne ci to wszystko.

Wojciech Pestka

Bogdan Knop

POWIĄZANIA

Wpatrzony w mapę, co prawie mapą mojego życia była, snulem niewczesne rozważania o różnych możliwościach, owych – co by było gdyby i takich tam. Trzeba dodać, że okolicznościami byłem przymuszony i nijak się od nich uwolnić nie mogłem. Wpatrywałem się w mapę z nadzieją na lepsze jutro i w beznadziei zarazem. Rozstajne drogi, skrzyżowania, zaułki i ślepe uliczki napawały mnie lękiem i otuchą mi były.

Mapa wisiała na ścianie, tuż przy stoliku, tak że musiałem przechylić nieco głowę, aby dobrze widzieć ów gąszcz kresek przypominający dawno zapomniane projekty spódnic i bluzek dodawane do kobiecych czasopism. A na wprost stolika wisiało ogromne lustro. Byłem rozdarty.

Ile to się człowiek napatrzy w te dni marnotrawione w naszej knajpie, co już się „Rzym” nie nazywa, bo nowe czasy przyszły i należało naprawić wreszcie to, co zaczynało być zaledwie wspomnieniem dawnej świetności. Innymi słowy – lokal poszedł do remontu. Co by nie gadać – na miesiąc przyszło mi zrezygnować z pilznerka, udać się w odleglejszą dzielnicę, gdzie inne marki panowały i obyczaje też inne. Żeby zaś sobie życia nie zatruwać zbędnym zlorzeceniem na spraw kulawe obroty, pomyślałem, że cóż, podróże kształcą, nawet gdy niosą nas cztery zaledwie przecznicie dalej. Bo zawsze to: nowi ludzie, nowe miejsca i doznania też nowe. Zanim więc opowiem o tym, na co się napatrzyłem po powrocie na stare-nowe miejsce, wrócić muszę do okoliczności czasowej przeprowadzki.

Zatem, jak tylko znalazłem sobie nową knajpę, co się nazywała „U Roga na rogu”, a w niej stolik pod oknem... jak tylko drogą organoleptyczną i metodą prób i błędów

wybrałem, na ten czas emigracji mojej od pilznerka, nową markę piwa, zaraz się rozjeżdżałem wokół siebie, odetchnąłem szerzej i nad obrotami losu się zadumałem.

Od dawna mnie nurtowała pewna myśl natrętna, że ludzie wiążą się ze sobą, choć nie muszą, a czasem nie wiążą, choć chcą i mogą. Jak w tej historii, która się jeszcze w „Rzymie” zaczęła, a miała się skończyć w „Małej Europie”, bo tak miał się nazywać nasz „Rzym” po remoncie.

Na niego mówili „Niemiec” – właściwie nie wiadomo czemu. Ani z urody, ani z usposobienia Germanina on nie przypominał – średniego wzrostu, ciemne włosy, do tego wąsik. A mówił szybko i nerwowo, jaskając się od czasu do czasu. Choć trzeba przyznać – w robocie był dokładny, słowny i raczej się nie spóźniał, to i może kawalek Niemca w nim było. Naprawdę nazywał się Jan Nitecki i był z zawodu księgowym.

Ona miała na imię Anda – w każdym razie tak na nią mówili. A czy był to skrót jakiś od Wandy, czy Amandy – tego nie wiem i nie mnie o tym sądzić. W każdym razie była drobną blondynką z nieco smutnym uśmiechem, a w naszej starej knajpie pracowała jako kelnerka.

„Niemiec” był stałym gościem w knajpie, więc i znać się z Andą z konieczności musieli, ale ta znajomość chyba nie z konieczności wynikała, w każdym razie nie u „Niemca”.

Jakżeż on się w tę Andę wpatrywał tęsknym, a ukradkowym wzrokiem, oczami strzelał, robił niewinną minę i w jakąś nieobecność chwilowo popadał z tej ciemnej tęsknoty. A ona, popatrzenie tylko – nic! Uprzejmie uśmiechnięta; i owszem – „Panie Janku” miłym głosem rzuciła, włosy poprawiła szybkim ruchem, ale nic – nic ponadto. Choć przecież męki „Niemca” dostrzec musiała, bo nie dostrzec ich nie było sposobu. Więc nie o to pewnie chodziło.

Trwało to tak całymi tygodniami w tej naszej knajpie, co „Rzym” się nazywała, ale już się nie nazywa. I nie, żebym jakoś specjalnie obserwował tych dwojga, po prostu raz czy drugi człowiek spojrzał zaskoczony, a już automatycznie jął obserwować ciąg dalszy. Bo sami powiedzcie, co robić z nudów w naszych czasach niekończących się seriali, powtórek i wciąż tych samych, nowych sezonów.

A potem przez zamieszanie z remontem naszej knajpy, poszukiwaniami innej, aklimatyzacją na nowym miejscu, film mi się chwilowo urwał i losy tych dwojga z rąk mi się wymknęły. Do czasu jednak, bo sprawy nowy obrót przybrać miały.

Było to tak. Siedzę ja sobie u „Roga na rogu” i stoucika popijam (bo pilznerka tu nie mają), w lustro popatruję i co widzę – przy stoliku w kącie siedzą sobie Anda z „Niemcem” jak dwa gołąbeczki. Za rączki się trzymają i wino popijają z wysokich kieliszków. W oczy sobie patrzą i wargami ruszają, ale co tam mówią, nie wiadomo, bo raz, że za daleko, a dwa, że muzyka się sączy lekko, mechanicznym głosem chrapliwym doprawiana.

Wtedy, przy tym stoliku, w tej scenie nie-mej i statycznej dopadła mnie myśl drażliwa i przenikająca, że oto siedzę i myślę, a jeśli myślę, to jako kto? Kim właściwie jestem – jakimś obserwatorem, poszukiwaczem prawdy, lustrem przechadzającym się po gościńcu? Czy może szpiclem albo podglądaczem – porno-piwošem, czy innym maniakiem wydanym na pastwę swych słabości? A może wcale nie siedzę, tylko myślany jestem jak sen nieskończony nieskończonej śmierci?

W piwo jak w ciemny przestwór, w mroczną przejrzystość się wpatrzyłem, a kiedy odwróciłem głowę, stolik w kącie był już pusty. A za chwilę rozsiedli się tam inni ludzie – rozluźnieni, hałaśliwi i młodzi.

I tak, zdaje się, parę razy przemknęła mi ta dwójka przed oczami. Ale zawsze tylko w rozbłysku jakimś widzianym kątem oka, gdym głowę właśnie odchylił, by smakować piwo wlewane do gardła drobnymi łykami albo

by powitać któregoś z kompanów od kufła, gdy wchodził, podpierając się głośno żartem grubym, czy odwrotnie – cienkim.

A tych dwoje - ku sobie pochyleni, rękami splątani, milczący lub szepczący niemo. Tak samo statyczni, odbici w lustrze, poza czasem i poza tym miejscem. I ja w głębi przejrzystej ciemności, gdy wyrwany na chwilę do realiów tego świata, powtórnie odwracałem głowę, czy to w celu sprawdzenia, czy przypomnienia sobie czegoś, widziałem już tylko pusty stolik, a czasem zajęty przez inne, mało ciekawe fenomeny rzeczywistości.

Przyszłi wreszcie kres mojej emigracji z naszego „Rzymu”. I choć wracałem już do „Małej Europy”, to przecież zawsze na stare śmieci, do starego, dobrego, jasnego pilznerka, bo po prawdzie ten ciemny stout, o smaku przypalanego karmelu, do reszty mi obrzydł.

Lokal po remoncie – niczego sobie, choć ciemnawy się trochę zrobił i jakiś kanciasty taki, że człowiek wygodnie nie mógł usiąść na krześle, tylko wiercił się jak na mękach. Ale co tam, zanim skończyłem rytuał osławiania się: tych drobnych ruchów podobnych do napadu natręctw, zanim zdążyłem się zastanowić nad ogólną sytuacją, już stał przede mną uśmiechnięty młody człowiek z kartą dań w rękę i pytaniem na ustach:

- Co podać?

„Dobre sobie – pomyślałem, choć z myśli wyrwany właśnie zostałem – człowiek lata tu strawił, jednego gatunku piwa się trzymając, a tu proszę: co podać?” I może bym nawet co obraźliwego powiedział, ale jakoś mnie złość odeszła, a ciekawość naszła.

Węc mówię:

- A co to się z panią Andą stało, że to pan mnie pyta?

- Aaa – on na to – pani Andzia już się raczej pana nie będzie pytać o nic?

- Jezus, Maria – ja wtedy – a co się takiego stało?

- Stać, to się może jeszcze nie stało – on rzecze – ale się rychło stanie, bo pani Andzia za mąż idzie!

- Co pan nie powie – ja już odprężony – a kto jest tym szczęśliwym wybrańcem? – Choć przecież dobrze wiedziałem, że nikt inny na świecie nie mógł to być, tylko nasz „Niemiec”.

- A, taki Niemiec – mówi i ręką przecząco macha – nie będzie pan znal.

- Co? – Tu mnie rozsierdził nie na żarty. – Ja nie znam „Niemca”? Panie...

„Co tu się dzieje, po tym remoncie – myślę sobie – głupie pytania, głupie komentarze, poza tym ciemno tu jakoś, duszno i kanciasto.”

A ten dalej wyjeżdża ze swoim:

- Może pan i zna, choć mi się nie wydaje, bo ja tego Niemca nigdy tu wcześniej nie widziałem, ani nic.

No i nerwy mnie w końcu wzięły na tego jego androny, a już szczególnie na to: „ani nic”.

- Dobra, widziały, nie widziały, nic czy rydz, podaj pan pilznerka, bo gadamy Bóg wie o czym, a czas płynie.

Zrazu mruknął coś pod nosem najwyraźniej niezadowolony, ale zaraz natura kelnerska wzięła w nim górę, więc uklonił się z lekkim uśmiechem, a odchodząc, rzucił lekko:

- Się robi, panie szanowny.

Za chwilę wrócił z pełnym kufelkiem, złościstością wypełnionym, zwieńczonym białą chmurką jak jakaś radosna nowina. O jakże pragnąłem tej chwili. Co mnie świat cały mógł obchodzić w tym momencie, jakieś Niemcy, Czechy czy Polska, gdy z emigracji na ojczyzny łono wracał. Już miałem wykrzyknąć – „chwilo trwaj!”, gdy oto kelner już odchodząc, odwrócił się na pięcie i rzekł:

- Ale tego Niemca, to pan nie może znać ... Po czym podrapał się po głowie i odszedł zakłopotany, bo ja już nic się nie odezwałem, a tylko popatrzyłem na niego z pogardliwym wyrzutem, że śmie tę jedyną chwilę zbliżenia

ust do brzegu pucharu z goryczkową ambrosją oddalić i zniweczyć.

Parę wieczorów upłynęło mi w „Małej Europie” w błogiej nudzie i bezmyślnej kontemplacji. Jakże drobne są nasze radości – zielona butelka z białym napisem „Pilsner Urquell” wyeksponowana na półce za barem, odbita w lustrze wielokrotnie i wiecznie pełna. Czymże są okoliczności wobec smaku życia i jego kolorytu.

I przecież, szczęśliwie jeszcze rzeczy mogły się z mych rąk wyslizgnąć, i mogłem o problemie zapomnieć na zawsze, bo prawdę mówiąc – co mi tam „Niemiec” razem z Andą i ich małżeństwem. Swoje sprawy miałem i w kieracie trosk swoich się kręciłem od rana do wieczora, żeby nie musieć się w cudze wdawać. A „do wieczora” oznacza tak naprawdę do osiemnastej, bo po osiemnastej, jak wszelki protokół przewiduje, można się piwa napić, a nawet – jakby kto chciał – to i kielicha.

Zatem, może bym i o sprawie zapomniał, ale sprawa o mnie jakoś zapomnieć nie miała zamiaru.

Godzina nie była jeszcze późna, ale i nie wczesna. Knapa się wypełniała, ciemniało. Gwar i starająca się go przeniknąć muzyka – jakaś stara, francuska piosenka, może Brel. W półmroku czy może lepiej – w półjasności, szczegóły nabierały znaczenia, choć kontury ich zamazywały się nieodwołalnie. Byłem w towarzystwie, lecz samotność przenikała mnie do szpiku kości. Nad salaterką czyjes ...

Niespodziewanie czyjś głos rozdarł polyskliwą materię wieczoru, jakby kto pruł, starą szmatę.

- O Jezu, Jezu, Jezusieńku, Jezu!

I wraz z narastającym tembrem głosu, falą kolistą milkła wrzawa, poczynając od miejsca

skąd jęk się wydobywał, aż po najdalsze zakątki sali. A wydobywał się on od strony drzwi wejściowych, i choć przesadą byłoby stwierdzić, że zawodzący jęk wszedł do knajpy, to przecież oczy obecnych zwróciły się w stronę jęku – precyzyjnie mówiąc.

„Niemiec” stał we drzwiach. Ale czy stał? Jedną ręką oparty o framugę, drugą wspierając czoło, chwiały się, usiłując utrzymać równowagę ciała, bo równowagę ducha dawno już był utracił, jęcząc i zawodząc niemiłosiernie.

Ale wieczór, nawet taki jak ten – dość szmatławcy – nie dawał się tak łatwo rozedrzeć na kawałki. Gdy tylko pierwsza ciekawość zwróconych w jedno miejsce oczu zaspokoila się, gdy okazało się, że „Niemiec” jest po prostu pijany i wycie jego jest pijackie, a ponadto nic mu najwyraźniej nie dolega, wrócił stopniowo dawny gwar i półmrok pokrył salę. Każdy zajął się swoimi strasznymi sprawami, niedopitymi kuflami, kieliszkami, szklaneczkami – ogólnie rzecz biorąc, owym szkłem bolesnym, we wnętrzu którego mieniły się niedokończone rozmowy, niedomyślane prawdy, niedopowiedziane sensy.

Wtedy młody kelner (a musiał być nowy, bo go pierwszy raz widziałem), szybkim krokiem podszedł do „Niemca” i najwyraźniej począł mu coś perswadować, a z powodu gwaru bardzo sobie przy tym pomagał, gestykulując rękami. „Niemiec” patrzył na niego tępo, w swej równowadze wciąż zachwiany, mamrotał już teraz tylko swoje skargi, wyjaśnienia czy żale. W pewnej chwili machnął ręką, odwrócił się i z pewnym trudem wyszedł.

Traf chciał, że w tym samym mniej więcej czasie mój kufelek okazał się pusty. Niewiele myśląc, wzniosłem go znacząco do góry, co było sygnałem dla kelnera, że pora kolejny napelnić. I gest mój nie pozostał próżny. Zaraz też kelner podszedł z miną uprzejmą i lekko się pochylając spytał:

- Jeszcze raz pilzner dla pana?

- Jeszcze raz – potwierdziłem, w czasie gdy on zręcznie zbierał puste naczynia – i kieliszek

żubrówki – dodałem, przyglądając mu się ciekawie, bo pierwszy raz go tu widziałem.

Kelner zauważył pewnie moje spojrzenie, bo nie odchodził.

- Podać coś jeszcze? – spytał niepewnie.

- Nie, nie – zaprzeczyłem, ale zanim zdołał się odwrócić, dodałem – a co tam z tym „Niemcem”?

- Z Niemcem? Z jakim Niemcem? – zmarszczył brwi.

- No, z tym przy drzwiach – nie ustępowałem – przed chwilą. No, z tym, co tak jęczał.

- A to był Niemiec? – Spytał z sarkazmem. – Nie pomyślałbym, jęczał po polsku.

Po czym odwrócił się i odszedł do swoich spraw.

Informacja o odejściu Andy nadeszła niespodziewanie. W knajpie panowało pewne poruszenie, zarówno wśród obsługi jak i bywalców. Jakieś szepty, niedopowiedziane zdania, urwane wpół gesty: „Nie chciała Niemca? Którego Niemca? Tamtego? Nie? A coś wiadomo? Tego co tak wyl? Innego? Co pan nie powie? A to ci...”. Wezbrana fala komentarzy opadała powoli, z każdym dniem mniejsza i cichsza, aż rozmyła się w troskach dnia codziennego.

Co do „Niemca”... Właśnie – co do Niemca, sprawy przybrały obrót dość niespodziewany. Patrząc w lustro, widziałem całą przeszłość jak na dłoni, lecz gdzie się podziła teraźniejszość, gdzie przyszłość, o mój Boże.

Bogdan Knop, Roku Pańskiego 2013

„NIECH PANI PYTA. INACZEJ NICZEGO SIĘ PANI NIE DOWIE” – ROZMOWA Z DR. MIECZYŚŁAWEM WYGLĘDOWSKIM

Brama wejściowa do tej kamienicy jest dość szara, by utwierdzić mnie w łatwym przekonaniu, że wszystkie kamienice nadają się wyłącznie do rozbiórki na poczet mieszkalnej architektury w ascetycznym stylu wyluskanej ze wszystkiego, co ludzkie i ludzkiemu nieulegającej ponowocześnieści. Duże, dwuskrzydłowe drzwi wejściowe, w których okrągła galka klamki tradycyjnie już pozycjonuje się gdzieś na wysokości mojej twarzy i przypomina mi o parabolicznym całowaniu wrót, sprawiają wrażenie nieprzekraczalnych, choć od światła bramy prowadzącej wprost na ruchliwą o tej porze główną arterię miasta dzieli je najwyżej kilka kroków. W płócienną torbie smakowicie odbija się od zielookiego szkła francuskie wino – z Bordeaux, więc czerwone, średnio ciężkie, z rocznika 2007, na chybił traf. Nie jestem ekspertem w dziedzinie enologii – lekcje u Marka Bieńczyka z tej dziedziny sztuki przewagarowałam gdzieś indziej, kto to wie, gdzie – nie znam apelacji, dlatego przekonuje mnie cena. Wystarczająco zawrotna, by podjąć ostateczną decyzję. Tym samym niosę w płócienną torbę mój grzech ignoranckiej pychy i zbędnej nadgorliwości. Jeszcze niczego nie wiem. Lista pytań przedstawia się nieprzyzwoicie skromnie, by nie rzec wprost, że jest zatrważająco pustawa i trąci banałem. Jestem nieprzygotowana do rozmowy, z zaledwie zarysem wiedzy o człowieku, z którym za chwilę przyjdzie mi stanąć twarzą w twarz, skonfrontować krążące mity i kontrowersje – moje ciało jeszcze dość młode, nie poddane skalpelowi we wprawnych dłoniach chirurga. Wszystko przez to wino i sączący się przed arsenałem butelek czas. Jestem spóźniona o dobry kwadrans. Wspinaczka schodami z przedwojenną balustradą na pierwsze piętro, na półpiętrze poprawiam włosy, które nie chcą podporządkować się rygorom szyku – liczę na słabości mojego rozmówcy spowite legendą, która nawet nie stara się być tajemnicą Poliszynela. Drzwi stoją otworem i czekają na moje wejście...

W przedsionku otrzymuję preludium tego, co znajduje się dalej, w głębi mieszkania. I jeśli wewnątrz naszych domów odzwierciedla naszą osobowość – stoi przede mną człowiek, dla którego życie istnieje w skali totalnej. Mieczysław Wyględowski. Lekarz. Naturalnie elegancki i pogodny, o łagodnych rysach twarzy, w której próbuję doszukać się tych przeżytych 80 lat... to trudne. Uścisk jego dłoni jest delikatny, ale zdecydowany – tak podają rękę ludzie otwarci i bez uprzedzeń. Odbiera mój płaszcz i otwiera kolejne drzwi. Do labiryntu... Milczę. Po prostu nie wiem, co powiedzieć, choć właściwie powinienam westchnąć wbrew trzeciemu przykazaniu: „O mój Boże!”. Doktor odpowiada mi życzliwym uśmiechem i gestem dodaje odwagi, bym przekroczyła próg.

Przechadzamy się w ciszy przez amfiladę pokoi, których nie potrafię objąć jednym spojrzeniem. Uwagę zwracają zaledwie drobne wycinki, te na pierwszym planie, niemal podręczne – fotografie w starych, pokrytych śniedzią ramkach, zegary tak stare jak sam świat, sekretarzyk, serwantka, kaflowy piec, regały wypełnione książkami i obrazami. Wszędzie! Setki oczu, postaci, scen, pejzaży, wedut, martwych natur i kobiecych aktów... wydaje się, że w każdym pomieszczeniu powinienam spędzić długie godziny na studiowaniu, by zrozumieć jego przeznaczenie. Tego mieszkania potrzeba się uczyć latami. Musi wystarczyć mi kilka minut. Milczę i patrzę. A doktor uśmiecha się, jakby wiedział już o mnie wszystko. I kiedy wreszcie bezsilnie opadam na stylowy fotel z epoki Ludwików pochwycona w pułapkę moich słabości, doktor częstuje mnie zieloną herbatą w rokokowej filiżance. Obok na talerzyku pachnie drożdżowe ciasto. I zdaje mi się, że wszystko staje się pejzażem ze Stanisławskiego i Corota...

Mieczysław Wyględowski: Jak pani na imię?

Olga Wiewióra: Olga...

M.W.: Olga? (*śmiech*)... moja druga żona miała tak na imię.

O.W.: Rogate dusze...

M.W.: ...ale piękne kobiety.

O.W.: Dziękuję, ale wracając do spotkania, chciałabym prosić na samym początku o pozwolenie na lekką prowokację – rozmowę z ignorantką, którą chciałabym zacząć od słów „Przychodzi baba do lekarza...”

M.W.: ...a lekarz też baba.

O.W.: Muszę się jednak przyznać, że zanim tutaj przyszedłam, czegoś się jednak o panu dowiedziałam. Uzyskałam kilka skrajnie różnych informacji, które złożyły się na trudny do uchwycenia obraz. Ale teraz jestem tutaj i właściwie ten obraz traci na znaczeniu.

M.W.: No i świetnie.

O.W.: Napisał Pan wiele książek, które choć ważne z punktu widzenia historii tego miasta, są jednak czytelne dla wąskiego grona odbiorców, badaczy tematu, bo są to książki medyczne, odnoszące się do historii medycyny w Częstochowie. Lecz ich ilość każe mi postrzegać pana jako człowieka szalenie zapracowanego. Na okładce pańskiej ostatniej książki pt. „Apteki i aptekarze Częstochowy” widnieje fotografia, na której trzyma pan przy uchu słuchawkę telefonu, a w drugiej dłoni długopis. Tak wyglądają ludzie zajęci, organizatorzy, którzy wykonują swoją pracę z powołaniem i niezbędną dozą pasji. Praca ich cieszy? Jak jest naprawdę?

M.W.: Przede wszystkim cieszę się życiem. A praca jest dla mnie czymś, co obok życia nie przeszkadza mi w niczym. Kierowałem szpitalem [Szpital Chirurgiczny im. Ludwika Rydygiera w Częstochowie – przyp. O.W.] kilkadziesiąt lat i nigdy nie odczuwałem ciężaru z tego powodu. Pełnienie funkcji dyrektorskiej było obok mojej pracy zawodowej. Bo gdyby mi przeszkadzało w operacjach, to przestałbym być dyrektorem. Przez całe życie zawodowe nie miałem większych kłopotów zawodowych. Tak się złożyło, że chyba cały mój zespół składał się z dobrych diagnostów, przez tyle dziesiątków lat. Wychowałem

trzy pokolenia lekarzy w Częstochowie, więc gdybym miał kłopoty z pracą, nie umiał pogodzić ze sobą obowiązków, to prawdopodobnie miałbym i kłopoty prawne, takie czy inne. Mogę powiedzieć, że pracowało mi się dobrze. Lubilem moją pracę i nie odczuwałem nigdy zmęczenia. Odwrotnie – teraz moi młodszy koledzy narzekają, choć pracują o wiele mniej, mają do dyspozycji wspaniałe urządzenia do diagnostyki, a chodzą przemęczeni. Ta praca męczy ich chyba z innych powodów. Brak satysfakcji, brak zadowolenia, dobrych wyników i to jest główny powód.

Dawniej po kilkudziesięciu latach pracy zawodowej każdy lekarz był autorytetem. Jeżeli trzeba było operować, to trzeba było operować. Decyzja musiała być podejmowana błyskawicznie. Gdybym się pomylił raz, dwa, trzy – to oczywiście opinia publiczna natychmiast podchwyciłaby te błędy, przyjaciele by to podnieśli w rozmowach i wtedy laurka o chirurgu Wyględowskim byłaby nieco gorsza. Dzisiaj co drugi lekarz ma kłopoty prawne i jest rozliczany na miliony. Ludzie się skarżą, sądzą. Zresztą, trudno im się dziwić, bo to, co się dzieje w dzisiejszej medycynie, jest nie do przyjęcia. Jest to błąd, za który odpowiadają lekarze, nie administracja, bo ta może sobie życzyć takiego czy innego układu. Ale jeżeli lekarz jest rozsądny, to zaproponowanych mu przez administrację warunków pracy nie przyjmie. Po prostu. Nie kto inny jak lekarz właśnie musi bronić interesów chorego. Nie urzędnik, NFOZ, minister zdrowia. To wszystko doprowadzi to strasznych sytuacji, niebawem. Tyle pomyłek, tyle zgonów niepotrzebnych, niewykonanych transportów musi skończyć się klęską dobrej opinii środowiska lekarskiego.

O.W.: Ale to się dzieje właściwie w każdej z dziedzin, bo dotyczy i edukacji, rodziny, kościoła. Nie ma już takiego środowiska, które swoim autorytetem zapewniałoby ludziom pouczenie bezpieczeństwa.

M.W.: To jest sprawa systemu. Przecież systemów społecznych zmieniało się w historii wiele, świat opiera się na przewrotach. I każdy z nich był zły. Ale najgorszy system to system kapitalistyczny. Polega to na tym, że idzie produkcja, jest zatrudnienie – krach i wszystko spada. Bezrobocie, ludzie biedni, chorzy, bez opieki medycznej.

Po jakimś czasie wszystko się normuje, ale... to społeczeństwo chciało zmiany, więc system zadziałał prawidłowo: są ludzie bogaci, są jeszcze bogatsi i są coraz biedniejsi. To zawsze prowadziło i prowadzi do napięć społecznych, do rewolucji socjalnej, nie politycznej, która nie jest tak brutalna. I to będzie czekało Polskę w niedługim czasie.

O.W.: Mój pradziadek, którego nigdy nie poznałam, zwykł mawiać, że każde pokolenie musi przeżyć swoją wojnę... nawet jeśli to będzie na mniejszą skalę, być może kryje się pod tym także społeczna rewolucja?

M.W.: My już tego tak nie odczuwamy, bo przecież jeśli ostatnia wojna w Europie, w Polsce to był przelew krwi, utrata najlepszych, młodych, wykształconych ludzi – mówię o powstaniu warszawskim, mówię o roku '39 – to Niemcy jako naród inteligentnych ludzi wiedzą, że dzisiaj samolotami nie przylecą nad Polskę, bo to już nie ma sensu. Natomiast zdobyli rynki. Pierwszym kierunkiem była Polska. I w ten sposób bez rozlewu krwi rośnie ich hegemonia w Europie, o czym zresztą zawsze marzyli i marzą. W każdym z nas jest tyle dobrego, ile złego. Niemcy w całej historii zawsze myśleli o podboju, a już szczególną atencją darzyli Polskę. Ta polska miłość do Niemców jest źle ułożona. I ta nienawiść z kolei do Rosji... to jest choroba polska, za którą zapłacimy.

O.W.: Czechow, Bulhakow, Boy-Żeleński, August Comte, Aldous Huxley, ich wszystkich coś łączy – byli lekarzami. Co takiego jest w tym zawodzie, że lekarz potrafi tak przenikliwie pisać o ludziach?

M.W.: Aby być lekarzem, trzeba mieć wyostrzone zmysły. Przez całe lata obserwuje się ludzi, zjawiska, upadki i wzloty chorych. I w pewnym okresie życia, kiedy odchodzi się od zawodu, chce się swoimi spostrzeżeniami, uwagami podzielić ze środowiskiem, nie tylko lekarskim, z tymi, którzy chcą to czytać. Te uwagi są czasem prawdziwe, czasem nieprawdziwe, ale wynikają z ostrości widzenia i rozumienia.

O.W.: Nie wiem, czy mogę panu zadać kolejne pytanie?

M.W.: Może pani zadać każde pytanie.

O.W.: Słyszałam przy okazji okrągłego jubileuszu innego jubilata, że 80 lat to trudny wiek dla mężczyzny. I chciałam pana zapytać, czy dla pana też taki jest?

M.W.: (*śmiech*)... pytanie jest dobre, bo sam sobie zadaję to pytanie. Przez wiele lat miałem kontakt z ludźmi starymi, starszymi, chorymi. Nie przypuszczałem nigdy, że w tym wieku można tego wieku nie odczuwać. Żyję tak, jakbym miał 50 lat. Nawet lepiej żyję, bo wtedy byłem zapracowany. A dzisiaj jestem wolny, mam czas na wszystko. Uprawiam wszystkie sporty, które uprawiałem niegdyś. Jestem lekarzem wszystkich moich kolegów. Nie czytam gazet. Raczej wolę posłuchać radia. Na gazetach oszczędzam, dlatego mogę sobie kupić obrazki.

O.W.: Całe pańskie życie jest związane z tym miejscem. Nigdy nie myślał pan, aby stąd wyjechać?

M.W.: Nie. Miałem propozycję. W latach 60. odbywałem służbę wojskową w Kielcach. Byłem tam lekarzem pulku i miałem kontakty ze Szpitalem MSW. Dostałem stamtąd propozycję pracy, ale odmówiłem, ponieważ byłem związany ze szpitalem na Zawodziu, miałem tutaj przyjaciół i Jasną Górę. Na jednej z promocji moich książek poseł Lewandowski przytoczył taką anegdotę, że codziennie można spotkać Wyględowskiego idącego na Jasną Górę. Wszyscy popatrzyli wtedy zdziwieni. Po czym poseł spuentował – „... ale nie dochodził, bo po drodze wstępował do kawiarni”. Zresztą to prawda, bo mam tam ulubioną kawiarnię.

O.W.: Słodczyce poprawiają humor... a czy są takie zachowania, które panu ten humor psują?

M.W.: Tak. Rzecz dotyczy młodego pokolenia. I nie chodzi tutaj o to, czy się uczą, czy nie uczą. Chodzi mi o zachowania na ulicy, w pociągu. Zachowania, które nie powinny i nie mogą być akceptowane społecznie. Jeżeli dziewczyna w okresie szkolnym prowadzi dialog z kolegą i w jej wypowiedzi nie ma niczego więcej poza wulgaryzmami, to jest to niedopuszczalne. Drażnią mnie jeansy. I dziwią, bo jak to możliwe, aby od stu lat wszyscy chodzili w brudnych, wytartych jeansach. Nawet w teatrze – i to dotyczy także

szanowanych profesorów, którzy przychodzą w takim stroju do telewizji. Dlaczego tak jest? To mnie bardzo dziwi – na czym polega ta wielkość? No i mam jeszcze jedno dość przykre spostrzeżenie. Kilka tygodni temu podróżowałem do Warszawy. Pociągiem. Wchodzę do przedziału, w którym siedzi pięć-sześć młodych osób. Na „dzień dobry” podnieśli głowy, ale już nie wszyscy odpowiedzieli. Mieli po prostu pozatykane uszy. Do samej Warszawy Centralnej ani słowa – jedynie te słuchawki, telefon, tablet i klawiatura. Wysiadłem przerażony. Ja nie wiem, co czego to prowadzi, ale w mojej ocenie bardzo zły kierunek. Nie ma pomiędzy młodym pokoleniem rozmowy. Są esemesy, kilka słów zapisanych w skrócie. Bez dialogu. Ale to są także skutki nowoczesnego wychowania w domu.

O.W.: Świat staje się jednowymiarowy. Młodzi uciekają w jednakowość, bo są nieodporni na porażki, negatywne oceny, presję. W rzeczywistości wirtualnej mogą być poza tym wszystkim... a pan już za kilka dni, 11 października, będzie promował w Ratuszu swoją kolejną książkę – „Alfabet Wyglądowskiego”. Dlaczego właśnie taka książka?

M.W.: „Alfabet...” powstał przez przypadek. Skończyłem pisanie ostatniej książki związanej z zawodem, a dotyczącej aptek, i byłem przerażony, że nie mam już o czym pisać. Ktoś z przyjaciół podpowiedział mi – „napisz alfabet, tytuł ludzi znasz, bywałeś z nimi”. Usiadłem i napisałem. Cała rzecz trwała około dwóch tygodni. Zawiera sto trzynaście nazwisk osób, z którymi spotkałem się na niwie osobistej, zawodowej, społecznej, samorządowej i politycznej. Byłem człowiekiem łagodnym i nie chciałem się w politykę angażować, ponieważ byłem lekarzem. Wybrano mnie, ale wiedziałem, że to nie jest moja droga, ponieważ przystąpiłem do wyborów wskazany przez środowisko lewicowe, nie z własnej inicjatywy. Byłem pewny z góry, że nie mogę tych wyborów wygrać. Ale wygrałem – przez przypadek. Nie miałem jednak zamiaru być czynnym parlamentarzystą. Ale zachowania strony prawej i kościoła, zmusiły mnie to tego, że musiałem wykazać absolutnie aktywną postawę.

O.W.: Chciałabym powrócić do tych „obrazków”. Czym dla pana są?

M.W.: Malarstwo uzupełnia mi dobre samopoczucie. Wiele osób z mojego otoczenia od lat pytali mnie, dlaczego zbieram obrazy i zegary. Przecież mógłbym oszczędzać w inny sposób, na koncie w banku. A tak na ścianie wiszą obrazki. I właśnie w tym rzecz, na tym polega ta różnica, że kiedy wstaję, codziennie oglądam jakiś inny obrazek, sam sobie organizuję wystawy. To frajda. Bo dziś mieszkania wyglądają jak hotele. Tak też można żyć, ale każdy jakoś inaczej, po swojemu ustawia sobie życie. Nie mam pieniędzy, ale mam przyjemność.

O.W.: ... ze wskazaniem na szczególnego artystę?

W.M.: Nie, nie mam żadnego. Mnie każdy z tych obrazów cieszy i podoba się. Czasem oceniam jakiś obraz gorzej, ale nie sprzedawam żadnego z nich, choć powinienem. Jestem z nimi związany uczuciowo. Wśród nich sporo należy do malarstwa częstochowskich mistrzów.

O.W.: Co musi być w obrazie takiego, żeby ten obraz chcieć mieć?

M.W.: Widziała pani obraz Żeromskiej... [Monika Żeromska – polska malarka, pisarka, córka Stefana Żeromskiego i Anny Zawadzkiej – przyp. O.W.]. Chciałoby się wyciągnąć rękę po ten namalowany przecież chleb, ukroić pajdę, napić się z kubka. A czy to jest malarz z górnej półki, czy zupełnie nieznaną – to nie ma znaczenia. Obraz musi cieszyć. O, na przeciw pani obraz Wasilewskiego [Czesław Wasilewski, używający też pseudonimu Zygmuntowicz – popularny w okresie międzywojennym malarz warszawski, autor obrazów o tematyce rodzajowej inspirowanych płótnami Kossaka, Brandta, Chelmońskiego, Wierusza-Kowalskiego czy Fałata – przyp. O.W.]. Przecież ten obraz się czyta – jak w książce. Jest i Żyd z furmanką, jest i polski pan w powozie, stangret na koźle, myśliwskie psy. Pan zatrzymał powóz i przywołał do siebie Żyda, by móc omówić z nim jakieś interesy. I tylko stangret przygląda się temu wszystkiemu z wysokości swojego kozła i kiwa głową. A wszystko rozgrywa się na tle pięknej architektury. Te budynki, których już nie ma, bo buduje się już inaczej, przysadziste kamienice ze ściętymi dachami. Albo piękna dziewczyna Weissa [Wojciech Weiss – malarz polski I pol. XX wieku, malował m.in. pejzaże mało-

polskich okolic, portrety, akty – przyp. O.W]. Miałem pewną przygodę. Mam akt Bergmana [Stanisław Wojciech Bergman – malarz zamieszkały w Krośnie na przełomie XIX i XX wieku, którego twórczość pozostaje pod wpływem jego mistrza – Jana Matejki, pod kierunkiem którego studiował – przyp. O.W]. Był własnością mojego przyjaciela, nieżyjącego już inżyniera Adama Wojtana. Przez 15 lat prosiłem go, aby mi ten obraz sprzedał. Podwajałem, potrajałem stawki. Adam za każdym razem stanowczo odmawiał. Aż któregoś dnia przychodzę do niego, jemy kolację, Adam w pewnym momencie znika, po czym wraca i podając mi obraz, mówi – „bierz”. Zgodził się na pierwszą zaproponowaną przeze mnie stawkę. Ale nurtowało mnie, dlaczego po tylu odmowach zgodził się odstąpić mi obraz za tak niewiele. Spytałem go o to. „Wisi u mnie już dwadzieścia lat – wyznał mi przyjaciel – i ani raz do mnie nie zeszła”. U mnie wisi trochę dłużej. I też nie chce zejść. Ale powiesiłem ją nad sekretarzykiem, a nie w sypialni.

O.W.: Wróćmy jeszcze do jednej ważnej kwestii pańskiej działalności. Był pan organizatorem i pomysłodawcą I Światowego Kongresu Polonii Medycznej, który odbył się w Częstochowie w 1991 roku. To było przecież ogromne przedsięwzięcie.

M.W.: Tak. To było wielkie wydarzenie, które niestety zostało zniszczone z powodów politycznych. Był to w ogóle pierwszy taki kongres na tyle dziesiątek lat medycyny polskiej. Proszę pamiętać, że 1991 rok to jednak jeszcze okres pomimo wszystko peerelowski i stąd mieliśmy wielkie trudności przy organizacji kongresu. Ale odbył się. Do miasta przybyło 1230 osób z całego świata, więc na owe czasu to było oszalałająca liczba. Choć uczestnicy wyjechali dość zadowoleni, to podczas trwania kongresu pojawiły się już pierwsze niesnaski, bo zaczęło się od ówczesnych władz miasta, które na rok przed imprezą zostały poinformowane o takiej intencji, lecz nie wyraziły zainteresowania i nie przyjęły komitetu organizacyjnego w urzędzie oraz nie odpowiadały na pisma, choć zwracaliśmy się do władz trzykrotnie na piśmie. Lecz w trakcie samego kongresu ówczesny prezydent miasta był dość czynny, bo okazało się, że do

Częstochowy ściągnęło mnóstwo ludzi z Zachodu, profesorów, osób uznanych w światowym środowisku medycznym. Poza tym dochodziły nas także krytyczne głosy od uczestników, m.in. i taki, że kongres robią komuniści. Z perspektywy Londynu jednak polska rzeczywistość wygląda nieco inaczej, może zbyt chorobliwie? Potem z kongresem działy się dziwne rzeczy, bardzo różne oceny. Najpierw chciały tę ideę przejąć władze miasta, później inni dziwni ludzie z Zachodu. Z sobie znanych powodów i z różnym skutkiem. Zresztą, według nie tylko mojej oceny właśnie ten I Kongres był wyjątkowy i więcej na ten temat można przeczytać w mojej książce – „I Światowy Kongres Polonii Medycznej w Częstochowie” [wydanej w Częstochowie, w 2000 roku – przyp. O.W]. Dzisiaj nieszczęściem jest, że ludzi się od siebie oddalają, nic ich nie scala albo scala coraz mniej. Te różnice wystrzegają się głównie na fundamencie ekonomii. Społeczeństwo podupada, ludzie młodzi się kształcą, a nie mają pracy. I to jest wina państwa, nikogo więcej. Kolebka „Solidarności” – pada, Huta „Katowice” Huta „Sendzimira”, Huta „Częstochowa – to nie jest przypadek, że te przedsiębiorstwa padają. Jest to celowe działanie. Po co nam tyle wielkich sklepów zagranicznych sieci? My będziemy tam siedzieć, wydawać, ale zyski będą wypływać do centrali, za granicę. Krok po kroku pozwalamy na wypieranie tego, co nasze, polskie i zastępowanie tego obcym. To nie jest przypadek. Obudzimy się jako niewolnicy na zagranicznych licencjach, ale bez własności...

Na fajansowym talerzyku z drożdżowego ciasta zostały tylko okruszki. Doktor odprowadził mnie do wyjścia, lecz nim się pożegnaliśmy, na „do widzenia” podarował mi jeszcze jedną myśl:

- Chcąc być czynnym w życiu społecznym czy politycznym, trzeba prowadzić dialog, pytać albo i odpowiadać. Pójście na zebranie, spotkanie i spędzenia tam godziny jako niemy odbiorca jest stratą czasu. Dlaczego niech pani pyta. Inaczej niczego się pani nie dowie.

Opr. red.

Andrzej Kalinin

DR MIECZYŚLAW WYGLĘDOWSKI

Urodził się w 1933 roku w Juliopolu. Dyplom lekarza uzyskał w 1956 r. na Wydziale Lekarskim Łódzkiej Akademii Medycznej. Znany jest od lat jako znakomity lekarz i zasłużony dyrektor (niestety już na emeryturze) szpitala chirurgicznego na częstochowskim Zawodziu. Musiał dobrze zasłużyć się miastu, skoro wolą jego mieszkańców już w Polsce niepodległej został senatorem Rzeczypospolitej i pełnił potem szereg bardzo odpowiedzialnych funkcji, zarówno w Senackiej Komisji Zdrowia, której był przewodniczącym, jak również w Sejmiku Śląskim czy dwukrotnie jako radny miasta Częstochowy.

Wcześniej jednak zorganizował i był dobrym duchem I Światowego Kongresu Polonii Medycznej, jaki odbył się w Częstochowie w czerwcu 1991 roku, a zakończył uroczystościami na za Zamku Królewskim w Warszawie. Kongres ten był wielkim wyzwaniem zarówno dla środowiska lekarskiego w Częstochowie, jak i polskich lekarzy rozrzuconych po całym świecie. Poza licznymi sesjami naukowymi kongres miał również udokumentować wkład polskiej nauki w dorobek światowej medycyny. Przebieg tego Kongresu został ze znawstwem i bardzo wnikliwie omówiony przez dr. M. Wyględowskiego w bardzo pięknie napisanej i wydanej książce, poświęconej temu właśnie wydarzeniu.

Takich książek, związanych ze swoją ukochaną medycyną, stworzył dr Wyględowski już ponad 12, w tym takie ważne jak: „Pamiętniki lekarzy”, „Almanach częstochowskich lekarzy” czy „Ochrona zdrowia w Częstochowie”. W 2013 roku ukazały się dwie kolejne książki: „Apteki i aptekarze w Częstochowie” i „Alfabet Wyględowskiego”.



Foto: net

Zainteresowania senatora Wyględowskiego nie ograniczają się jednak tylko do spraw medycznych. Jest też wielkim kolekcjonerem i znawcą sztuk pięknych, zaś jego częstochowskie mieszkanie to wspaniałe muzeum z wieloma unikalnymi dziełami sztuki. Dodać do tego należy również, że to znawstwo odnosi się również do dobrych trunków i pięknych kobiet.

Dr Wyględowski jest już na emeryturze. To stan tylko pozorny, bo energią i chęcią życia imponuje nawet młodym. Po przeszło 40 latach lekarskiej służby w Częstochowie zostawił miastu na pamiątkę odbudowany i świetnie wyposażony szpital im. Rydygiera na Zawodziu.

Andrzej Kalinin

* Źródło: <http://www.wczestochowie.pl/kategoria/11447,senator-dr-mieczyslaw-wyględowski>

Antonín Pelíšek (Czechy)

WSIE, KTÓRE MUSIAŁY UMRZEĆ*

W roku 1980 władze Czechosłowacji zdecydowały o podjęciu budowy elektrowni jądrowej w okolicach Temelína na południu Czech. Narodowy program rozwoju energetyki, pod dyktando Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej skierowany na rozwój przemysłu ciężkiego, przewidywał pierwotnie budowę czterech siłowni nuklearnych z reaktorami konstrukcji radzieckiej. Trzy fabryki atomowej energii miały stanąć w części czeskiej ówczesnej Federacji Czechosłowackiej, jedna w części słowackiej. Jako pierwsza (i jak się okazało jedyna) zaczęła w 1986 roku wyrastać z ziemi elektrownia w Temelíně. Z założonych początkowo czterech bloków energetycznych, o łącznej mocy 4000 MW, powstały po „aksamitnej rewolucji” rząd postanowił w roku 1990 ukończyć jedynie dwa.

Projekty pierwszego i drugiego bloku ujrzały światło dzienne w roku 1984 a w dwa lata później urzędnicy wydali zezwolenie na rozpoczęcie budowy¹. W lutym 1987 roku,



JE Temelín (JETE). Fot. L. L. Przychodzki

¹ Pierwsza elektrownia jądrowa na terenie Czech – Jaderná elektrárna (JE) *Dukovany* powstawała pomiędzy rokiem 1974 a 1987. Dzisiejsza Słowacja dysponuje 2 *N-plantami*. Są to - *Atómové elektrárne* (AE) *Bohunice* (1972-85) i *Atómové elektrárne* *Mochovce* (1981-2012).

po 7 latach prac przygotowawczych i rozpoznania geologicznego, zaczęło się wznoszenie pierwszych budynków zaplecza. Począwszy od tego etapu, w południowej części Czech powstawał z wolna zespół gigantycznych budowli, który nieodwracalnie zmienił wygląd ponad 400 ha ziemi. Pod same reaktory przeznaczono ponad 140 ha, położonych średnio 510 m n.p.m.

Ponieważ w strefie ochronnej (od 1 do 2 km od reaktorów) wymogi budowy wymusiły likwidację osad i pięciu wsi, około 500 mieszkających tam ludzi musiało opuścić swoje domy. Najbliższym miastem jest oddalony o 5 km od Temelína 8,5-tysięczny Týn nad Vltavou. 25 km od elektrowni położone są České Budějovice, zaś 45 km dzieli Temelín od granicy z Austrią.

Prócz faktu, że budowa już od 20 lat polyka miliardy państwowych pieniędzy, największą daninę za wprowadzanie postępu zapłacić musieli mieszkańcy wyburzonych wsi. Były to: Temelínec, Březí, Křtšov, Podhájí, Knín i Jaroslavice, które musiały ustąpić z drogi tworzonemu na potrzeby elektrowni jądrowej zbiornikowi wodnemu Hněvkovice. Przymusowe wykwaterowywanie setek obywateli regionu trwało około 15 lat. Tylko oni mogą opowiedzieć, co wymuszona migracja zmieniła w nich samych i w funkcjonowaniu ich rodzin oraz jak zmiana miejsca wpłynęła na najstarszych mieszkańców, osadzonych – jak nikt – w szacunku do ziemi i tradycji.

I aczkolwiek nieustającym argumentem pracowników czeskiej energetyki, polityków i kolejnych rad ministrów, które kontynuowały budowę i rozbudowę JE Temelín, są frazesy o sprawiedliwych odszkodowaniach, wypłacanych przez praskie rządy wygnanym obywatelom – to jednak nikt z decydentów ani na chwilę nie zastanowił się nad wpływem wysiedlenia na psychikę starszego pokolenia. O ile rzeczoznawcy państwowi byli w stanie ustalić ceny zabudowań na niszczonych obszarach z oficjalnych tabel, mnożąc je przez równie oficjalne współczynniki, by dojść do

genialnego wniosku, że np. najstarsze domy muszą być najtańsze, o ile dało się policzyć i przeliczyć wartość krzewów i drzew owocowych, czy nawet wartość ręcznego wykopania studni, to z budynkami gospodarczymi były już kłopoty, nie mówiąc o inwentarzu żywym rolników spod Temelína. A już zupełnie nie dało się określić odszkodowania za zniszczenie trwającego tu od stuleci fragmentu życia społecznego regionu - za zerwane więzi sąsiedzkie czy rodzinne. Jak wyliczyć, ile kosztuje przekonanie emerytów, iż muszą umierać nie w domach swoich ojców i dziadków, tylko w blokach z wielkiej płyty? Umierać z nostalgii i braku aktywności...

Z szoku i chwilowej pustki najszybciej otrząsnęli się ludzie młodzi. Niektórzy postavili nowe domy i zaczęli wpisywać się w historię innych już miejscowości południowych Czech.

W przeciwieństwie do nich, większość emerytów siedzi w kuchniach swoich bloków i rozmyśla nad przeszłością. Ich obecne mieszkania podobne są do siebie. Na ścianach, za głowami wciąż żywych, wiszą powiększone fotografie rodzinnych chałup.

Pytani o wysiedlenia, nie mogą powstrzymać się od płaczu. Jeśli prawdą jest, iż dla powstania elektrowni, która przez kilka dziesięcioleci produkować będzie tanią – jak mówią – energię w interesie spółki², musieliśmy nieuchronnie poświęcić ich ziemię i stojące na niej od stuleci domy – to mamy teraz ogromny dług do spłacenia wobec tych wszystkich ludzi, którzy z dawien dawna zasiedlali okolice Temelína. Jeśli jest też prawdą, że choć jedno z wyburzonych gospodarstw zniszczono niepotrzebnie, to mamy do czynienia z niewybaczalnym grzechem, opatrzonym pieczęcią hańby na pamiątkę przyszłym pokoleniom.

W wyburzanej wsi jeszcze przez pięć lat żyli ludzie

Kiedy w 1979 roku geologowie zaczęli badać teren dokoła Březí, nikomu z jej mieszkańców nie śniło się nawet, iż jest to początek końca wsi. Nowy dom kultury, postawiony przez wolontariuszy w czynie społecznym funkcjonował już trzeci rok, zbliżało się otwarcie nowego centrum handlowego...

Geologowie dokonywali odwiertów także wokół Temelínce i Křtěnova. Przy czym publicznie rozpowiadano, że elektrownia jądrowa stanąć na gdzie indziej - w pobliżu Malovic (niedaleko Budějovic). Ale już w rok później ludzie z okolic Temelína dowiedzieli się podczas wiejskiego zebrania rzeczy wstrząsającej. Urzędnicy Rady Narodowej poinformowali oficjalnie, iż jako miejsce budowy gigantycznej elektrowni wybrano właśnie ich miejsce na ziemi! Dano im tylko jedną możliwość: ustąpić – w interesie publicznym – tym samym wspomagając rozwój krajowej energetyki.

Przez całe pięć lat obywatele Březí mieszkali we wsi, skazanej na zagładę. Z coraz cięższym sercem witali kwitnące każdej wiosny drzewa, obserwując krzątanie pracowników budowy, która powoli, ale z żelazną konsekwencją, nieubłaganie pochłaniała ich pola i ogrody. Jeszcze przez pięć lat przyglądali się okolicy, której wygląd coraz bardziej przypominał stan agonii.

František Kureš, lat 49, mieszkaniec bloku w Týně nad Vltavou:

- Oczywiście przez te ostatnie lata każdy z nas przeprowadzał w swoich domach tylko najpotrzebniejsze prace konserwacyjne. Byle nic się na głowy nie sypało.

Czy możesz wyobrazić sobie nasze odczucia? Że żyjesz we wsi, skąd w każdej chwili mogą cię wygonić? Miało to tragiczne konsekwencje przede wszystkim dla ludzi w podeszłym wieku. Na to właśnie zwróciła

² JE Temelín (JETE) jest własnością energetycznego giganta – spółki (*skupiny*) ČEZ.

uwagę doktor Hájícková, internistka z Březi.

Mam dwu żonatych braci – w naszej chalupie w Březi zostałem z rodzicami sam. Kiedy przyszło wysiedlenie, przeprowadziłem się razem z nimi do mieszkania w bloku. Ojciec zmarł przed dwoma laty. Mama mieszka wciąż ze mną – ma 76 lat i nogi przestały jej służyć. Bezustannie wspomina nasz dom. Jestem głęboko przeświadczony, iż tato żyłby jeszcze, gdybyśmy zostali w Březi. Nawet po przejściu na emeryturę chodził do pracy na pół etatu i dawał sobie radę – palił w kotłowni i stróżował. Co możesz robić w bloku?

Przy domu mieliśmy ogród i niewielką zagrodę. Bywaliśmy też w gospodzie na spotkaniach strażackich – póki się jeszcze w wiosce coś działo, starsi ludzie mieli wciąż co robić.

Z zawodu ojciec był kowalem, mieliśmy własną kuźnię. Kawalki pól tylko dzierżawiliśmy. Po przystąpieniu do spółdzielni tato kuźnię zamknął i razem z mamą udawali rolników. Ja z kolei jeździłem do pracy do Týna. Aż tu w 1979 roku dokoła wsi zaczęły się wiercenia geologiczne. Rok później zaczęły już krążyć pogłoski, że kto wie, czy to właśnie u nas nie zaczął budowy elektrowni atomowej. Przy czym niektórzy mieszkańcy decydowali się na wznoszenie potrzebnych im, nowych domostw.

Niektórzy wkrótce dali sobie spokój, ale znam też takich, którzy budowy pokończyli. Sam nie wiem, po co? Nas zmuszono do wykupienia mieszkania w bloku, w ramach rekompensaty za zniszczone obejście. Trzy pokoje z kuchnią kosztowały mnie 90 tys. korun. Wszyscy wiemy, iż miasto dostało te mieszkania od państwa za darmo. Ale nam je sprzedawało! Zażądaliśmy od radnych, by chociaż dali spory rabat. Dla nas, ludzi spod Temelína, którzy nie przyszli tutaj dobrowolnie, taka pomoc była wręcz moralnie wskazana.

Oświadczyliśmy, że nie chcemy niczego za darmo, ale dla większości przesiedleńców mieszkania są zbyt drogie. Wyśmiali nas, po-

wiedzieli, iż jesteśmy blaznami. Co my sobie w ogóle myślimy i na jakiej podstawie chcemy takich ułatwień? To by zachęciło i innych obywateli miasteczka!

Niekiedy myślę sobie, że to dobrze, iż ojciec tego nie doczekał. To by był kolejny gwóźdź do jego trumny. Od początku budowy elektrowni jądrowej postępowano z nami wybitnie niesprawiedliwie, choć to, co najgorsze, zaserwowano nam na samym początku. Od tamtej chwili tato czuł się tylko gorzej i gorzej... Podobnie jak inni ludzie, którzy nie dali rady postawić nowych domów, ponieważ byli samotni albo schorowani i starzy.

Kto z nich dotąd nie umarł, siedzi w bloku, nigdzie nie wychodzi i wspomina stare czasy.

Drabina z końca świata

Starą kobietę zaskoczyło, jak wiele rzeczy może skrywać dom. Wydało się jej, że gdyby wszyscy ludzie z z Křtěnova, Březi i Podhájí a także z Hrádku, jak od niepamiętnych czasów nazywano miejsce po istniejącym tam kiedyś zameczku, zwieźli wszystkie resztki starych mebli, połamane łóżka, zniszczone klatki po królikach, belki, zwoje siatki ogrodzeniowej i narzędzia rolnicze na jeden stos – to jego wierzchołek byłby widoczny aż w Purkaci.

Zaskoczona była również tym, iż tęsknota za domem, której się obawiała i oczekiwała z taką samą pewnością jak oczekuje się kwietniowego deszczu, wciąż nie przychodzi i nic nie wskazuje, by miała nadejść. I to nawet wtedy, gdy widziała obcych sobie ludzi, jak przekopują się przez stosy dóbr doczesnych, wyniesionych ze wszystkich wiejskich obejść. Czy to szok? Czy zmiana jest na tyle silna, że potrafi zdominować nawet każdy atak smutku?

Te 65 lat, przeżytych w jednym miejscu, wydawało jej się wówczas chwilą, spędzoną w jakimś ogromnym, ogarniającym wszystko

pędzie życia, którego częścią jest tak samo ona jak ludzie w roboczych kombinezonach, upychający właśnie do furgonetki dwie szafy, sofę, jakieś talerze i krzesła. Naraz świat zrobił się tak mały, iż do jednej półciężarówki dało się zapakować sąsiadów z dziećmi.

„Czego wam więcej trzeba, babciu?” – beztrasko odezwali się mężczyźni z elektrowni, jeszcze tydzień temu obchodzący kolejno gospodarstwa wysiedlanych, by sprawdzić, czy ludzie są już gotowi do przenosin. „W bloku będziecie mieć wszystko: oddzielną kuchnię, wannę do kąpieli, ciepło z kaloryferów, windę i piwnicę! („O rozmiarach niewielu centymetrów – niedobrá do przechowywania ziemniaków i jabłek, zbyt mała na upchanie tam stuletnich przedmiotów. Zbudowaną na potrzeby kilku słoików kompotów i kartonu rozsypujących się książek” – pomyślała). „Kupicie lodówkę, babciu, wpakujecie do niej salami i piwo i od rana do wieczora możecie sobie oglądać telewizję. Czy to nie wspaniałe?” – zapytał pracownik firmy przewozowej, taszcząc do samochodu obrazy na szkle z pokoju po rodzicach.

Drzwi dociązanego auta otworzyły się nagle, uderzając w szklane tabliczki, pokryte niebieskimi i czerwonymi wzorami. Obrazki popękały i upadły na podłogę wozu. Mężczyzna zaklął i podeszwą buta wymiółł odłamki szkła na drogę. „Nic, tylko śmieci! Mam nadzieję, że więcej tego nie macie! Sprawdzał to ktoś w ogóle? Mówili, że u was jest jeszcze niezły bałagan... A desek z podłogi wziąć nie chcecie?” – zwrócił się do niej z wyrzutem mężczyzna w zielonym kombinezonie. „Wiedziecie, że zdawane budynki mają lśnić jak szkło!” – mężczyzna odtworzył sobie w pamięci rząd obejść w Hrádku, czekających w kolejce, aż specjalna komisja zatwierdzi odbiór. Przed rozbiórką miały być czyste i schludne!

Zaczerwieniła się, wspominawszy urzędników z elektrowni, którzy grozili, że za budynki, gdzie zostawiony będzie bałagan, ludzie nie uzyskają pełnego zwrotu pienię-

dzy. Powtarzali wysiedlanym, iż oficjalne szacunki mogą zostać obniżone aż o 1/3. „Dla bezpieczeństwa musicie śmieci usunąć na własny koszt. Pomieszczenia muszą być wymiecione i sprzątnięte, drzwi i okna mają zostać na swoich miejscach, podłogi wymyte. I nigdzie ma nie być żadnych pajęczyn!”. Jakby ten młodzik coś podejrzewał... Nagle poczuła przed nim wstyd.

„Już porządek sprawdzali! Całą chałupę złazili. I piwniczkę, nawet kurnik!” – odrzekła szybko. „Oczyścić budynek przed rozbiórką” – to dowcip, jaki pracownicy elektrowni będą sobie opowiadać w gospodzie przy piwie, kpiąc z ludzi, którzy wioskę opuszczają. Czy to pokaz siły na takim poziomie, że czyni bezsensownym każdy protest? Umilkli w końcu wszyscy. Nawet ci, co najgłośniej krzyczeli podczas wiejskich zebrań i mówili o draństwie rodem z Temelína tak głośno, iż ich nazwiska lądowały nawet na biurkach sekretarzy w powiecie.



Kolumny chłodnicze JE Temelín widziane z cmentarza w Křténově. Fot. L. L. Przychodzki

Oni również, jak inni, pozmiatali w pozostawianych chałupach pajęczyny tylko po to, by otrzymać więcej pieniędzy. A czy to dobre? Czy naprawdę najlepsza jest cisza dokoła i spokojne statystowanie, podczas gdy czas przepływa jak strumień?

„Choćbym oczy wyplakała, niczego nie zmienię” – wracały do staruszki słowa jakiejś zapomnianej piosenki, gdy wgapiła się w

ogniska, otaczające Křtěnov. To płonęły te wszystkie rzeczy, których nie dało się zabrać na nowe miejsca a dymy nad wsią łączyły się w ogromną, czarną chmurę. Ognisty pogrzeb rzeczy. Spopielenie drewnianych kół chłopskich wozów, masywnych dębowych łóżek, pamiętających porody, miłość i śmierć, ławek z dawnych wspólnych izb, gdzie za stołem zmieniał się pięć – dziesięć pokoleń, rzeźbionych przez domorosłych twórców pólek, taboretów i siedzisk, jakich nie warto było naprawiać. Płonęły szafy i rachityczne krzesła, dobrze służące ludziom całe lata temu a potem stopniowo zmieniające miejsce z pokoi do kuchni, stąd już tylko do ciemnej, wilgotnej komory.

„Gdy spotyka człowieka coś, czego nie może zmienić, najlepiej podzielić los innych” – powtórzyła w duchu mądrość, którą wyczytała kiedyś z matczynych książek, jednolicie oprawionych, z sztywnymi wytłoczeniami na grzbietach. Dawno temu czytała je potajemnie w stajni przy świeczce i przy każdym szmerze bała się, że pojawi się ktoś z dorosłych i zacznie krzyczeć. Czas był do pracy, nie do zabawy.

Podobne rzeczy słyszała od rodziców, mając 14 i 20 lat. Głównie głos ojca kojarzyła jako prawo, którego łatwiej przestrzegać, niż je naruszać. Może to było przyczyną, iż została z rodzicami i wtedy, gdy siostra wyszła za mąż i poszła swoją drogą. To, co tak wiele razy znajdowała w opowieściach z matczynej biblioteczki – wesela i małżeństwa, romanse, zdrady - to wszystko staruszka z Hrádku przeżyła jedynie na kartach książek.

Dopiero na dzień przez przeprowadzką uświadomiła sobie, że wielu książek nie ma zwyczajnie komu dać, ale wrzucić ich do ognia się nie odważyła. Odbierała to niczym spopielenie żywych istot. Ostatniego wieczora przed przeprowadzką do bloku w Týně obeszła całą wieś i stojąc obok plebanii, wzniesionej obok kościoła, spoglądała na samochody z betonem i piaskiem, przemieszczające się z rykiem

silników przed dawne pola. W świetle silnych reflektorów wynurzały się z ziemi kanciaste budynki elektrowni i rosły tak szybko, że ani na chwilę nie uległa złudzeniom, co do przyszłości okolic kościoła w Křtěnově. To, co ludzie z jej stron wznosili przez stulecia - budynki z kamienia i gliny, drewniane szopy, stodoły do połowy pokryte wapienną zaprawą, ściany z suszonych cegieł, zbite z desek ploty dokoła ogrodów i rzędy wydobywanych przez wieki z wąskich poletek kamieni, wytyczających włości wielu rodzin – to wszystko za chwilę zamieni się w plac budowy.

Poniżej pagórka, obok pokrytej błotem drogi do Temelínci, leżały pnie przewróconych wiśni. Niektóre z nich - i po śmierci białe – wciąż kwitły. Ich konary, splecione niczym połamane przez kata kości torturowanych, fosforyzowały z daleka. Wyglądało to na śmierć zbytęzną, ale stara kobieta czuła i tutaj tę samą siłę, która przetaczała się przez okolicę jak orkan. Opierać się jej próżno. „Losowi nikt drogi nie zagrozi” – szeptało coś w jej głowie. Było to tylko echo setek dziewczęcych romansów, czytanych potajemnie w ciemnościach stodoły, ale też ostrzeżenia z biblijnych przypowieści, zapamiętane z pobożnych dzieł, dzięki którym zyskała świadomość zmiennych kolei życia.

Przez 20 lat opiekowała się schorowanymi rodzicami, nim została we Wszechświecie sam na sam z Bogiem. Bez męża i bez dzieci, wszystkie zaoszczędzone pieniądze przeznaczała na utrzymanie gospodarstwa. Był to jej obowiązek, oczywisty tak samo jak powinność ugoszczenia podróżnego, podzielenia się z głodnym swoim jadem i opatrzenia zranionego. Obowiązek, nakazujący nie klamać i nie oszukiwać. Obowiązek szacunku wobec zwierząt i ludzi.

„Babciu, jedziemy! Wszyscy na pokład!” – usłyszała z daleka wołanie. Przyjęła pomocną dłoń kierowcy, wsiadając do kabiny wozu. Mężczyzna ze zgrzytem wrzucił bieg i koła potoczyły się po błotnistej drodze. Powoli

przejechali koło ogrodzenia zabudowań, gdzie jeszcze tydzień wcześniej biegały kury, potem obok szop z drewna, które elektrownia zezwoliła pozostawić na miejscu. Minęli sad, gdzie wciąż w rzędach stały jabłonie z nabrzmiałymi pąkami, gdzie grusze i śliwy wyczekiwały na chwilę, gdy zejda z tego świata i skończą w płomieniach. Potem z hukiem motoru przetoczyli się obok szklarni z warzywami i kamiennego murku wzdłuż drogi. Kobieta patrzyła na kolejne, dobrze sobie znane fragmenty gospodarstwa, skazane na wymazanie z krajobrazu aż przy końcu sadu spostrzegła drabinę.

Leżała nieopodal górki kompostu, zamaskowana suchymi gałęziami i zeszłorocznymi liśćmi. To był jej niewielki grzech. Pierwszy a może i ostatni bunt w życiu. Nikt obcy przecież sprawdzać po niej roboty nie będzie. Zrobiła wszystko, co nakazano. Belki bez pajęczyn, podłoga bez choćby źdźbła siana. Patrząc na koniec ogrodu zmrużyła oczy i trochę nieśmiało obróciła się w stronę kierowcy. Jakby obawiała się, że odkrył jej niewielki sabotaż, protest przeciwko losowi, zgotanemu wsi przez jądrową elektrownię.

Antonín Pelíšek

**Tłumaczenie z języka czeskiego – Lech L. Przychodzki*

Antonín Pelíšek, ur. 1.03.1952 r. w Českých Budějovicích. Do „aksamitnej rewolucji” wykonywał różne profesje, głównie technika. Od roku 1990 dziennikarz – reportażysta i publicysta. Pracował m.in. w *Rádio 21*, państwowej telewizji, tygodniku *Nový život*, Czeskiej Agencji Informacyjnej (ČTA) i *Mladá fronta Dnes*. W 1999 roku jego zbiór reportaży – *Lidé od Temelína* – stał się bestsellerem rynku wydawniczego naszych południowych sąsiadów i przyniósł autorowi niekwestionowaną pozycję lidera czeskich reportażystów.

Jesienią na Pomorzu powinien ukazać się tom, złożony z 2 książek południowo-czeskiego autora. Są to właśnie *Lidé od Temelína* i jej „epilog” – ...*a po nás planina*. O edycję zadbać ma polski „artysta książki” (odpowiednik czeskiego Daniela Pošty) – Marek Amen-Popielnicki. Translacji podjął się przyjaciel autora, polski reportażysta, Lech L. Przychodzki. Prócz profesji obu łączy przekonanie o szkodliwości energetyki jądrowej – Pelíšek wspiera ekipę OIŽP (*Občanská iniciativa pro ochranu životního prostředí o. s.* – <http://www.oizp.cz>), Przychodzki w grudniu 2008 r. był współzałożycielem Inicjatywy AntyNukearnej.



*Od lewej: Lech L. Przychodzki, Antonín Pelíšek i Pavel Vlček
z OIŽP, Fot. Dana Bolewicz*

JANUSZ MIELCZAREK

Urodził się 16 czerwca 1936 roku w Częstochowie. Fotografiją zainteresował się tuż po wojnie – jako uczeń ostatnich klas Szkoły Powszechniej im. H. Sienkiewicza w Częstochowie. W 1949 roku uczęszczał na zajęcia prowadzone przez Kazimierza Maciejowskiego do Młodzieżowego Domu Kultury mieszczącego się w II Alei Najświętszej Marii Panny. Początkowo nie miał własnego aparatu, a pierwszy film wywołał w domowej łazience. Jego pierwszym sprzętem był mieszkowy, małoobrazkowy aparat „Baldina”.

W pierwszym okresie zainteresowania fotografiją ważne były dla przyszłego fotografa kontakty z Janem Maciejem Kuklińskim, który w drugiej połowie lat 50. posiadał profesjonalnie wyposażoną pracownię i nauczył Mielczarka „czystości” w ciemni, co było niezbędne do wykonywania dobrych odbitek.

Janusz Mielczarek podczas studiów w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Częstochowie od roku 1957 współtworzył studencką kulturę: pisał teksty literackie oraz organizował szereg imprez kulturalnych związanych z miejscowym ruchem studenckim. W latach 1958 – 1964 grał w kabarecie „Bambino”. Artysta cieszył się uznaniem publiczności podczas występów w Katowicach, Będzinie i Częstochowie. Zaangażowanie w ruch studencki sprawiło, że w 1960 roku został zaproszony do udziału w radzie Teatrów Studenckich, w której bywali m.in. Jerzy Markuszewski, Andrzej Cybulski, Jan Słowikowski.

Od wakacji 1961 roku do końca roku 1963 kierował Klubem Kulturalnym „Studnia”. W latach 1960 – 1975 jego głównym zainteresowaniem stała się fotografia. Od połowy lat 60. należy do Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie. W 1960 roku uzyskał wyróżnienie w comiesięcznym konkursie tygodnika „Dookoła Świata” o tematyce „Lato” za fotografię zatytułowaną „Lato 1960” i rok później w konkursie o tematyce „Okładka” za zdjęcie „Anna”. W 1971 roku otrzymał pierwszą nagrodę tygodnika „ITD” za reportaż fotograficzny „Z Galerii Trietiaowskię”.

W latach 1970 – 75 pracował w „Gazecie Częstochowskiej”, następnie we wrześniu 1975 roku przyjął obowiązki starszego inspektora wojewódzkiego i został pracownikiem gabinetu wojewody, gdzie zajmował się kontaktami z prasą. Dzięki tej odmianie prywatnie wrócił do pisania

małych form prozatorskich. Jak sam przyznaje z uśmiechem – „by nie zapomnieć ludzkiego języka”. W tej dziedzinie także odniósł szereg sukcesów. Rok 1977 zaowocował II nagrodą w kategorii prozy, w konkursie im. Rafała Urbana, organizowanym przez ZLP w Opolu i „Trybunę Odrzańską”, następnie wyróżnieniem za opowiadanie w konkursie organizowanym przez Urząd Wojewódzki w Gorzowie Wielkopolskim i ZLP w Zielonej Górze.

W 1982 roku zyskał III nagrodę za debiut prozatorski Wydawnictwa „Iskry” w gatunku opowiadania. Jurorami w konkursie byli: Waław Sadkowski, Henryk Bereza, Wiesław Myśliwski.

4 lipca 1984 roku został odznaczony *Złotym Krzyżem Zasługi*. Rok 1986 przyniósł mu wydanie przez Krajową Agencję Wydawniczą jego debiutanckiego tomiku prozy zatytułowanego „Zanim wyrzucą cię z samolotu”.

W roku 1993 powrócił do fotografii, by w następnym roku zaprezentować swoją indywidualną i głośną wystawę „Galernicy”. W marcu 2001 roku wraz ze Sławomirem Jodłowskim i Pawłem Wróblewskim założył Oddział Jurajskiego Fotoklubu RP w Częstochowie. Jego największa wystawa „Fotografie 2” została zaprezentowana w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki w roku 2002, a rok później Janusz Mielczarek stał się pomysłodawcą i komisarzem salonu fotograficznego „Martwa natura w fotografii”, której kolejne edycje odbywają się w dwuletnich cyklach.

We wrześniu 2010 otrzymał III nagrodę w kategorii prozy w Ogólnopolskim Konkursie im. Stanisława Grochowiaka, by już w październiku, na wniosek kapituły Fotoklubu RP, odebrać medal *Zasłużony Kulturze Gloria Artis*.

W maju 2011 roku wydał zbiór opowiadań „Hrabalowisko i inne opowiadania”, a 2 października 2013 roku w miejskim Ratuszu odbył się wieczór promujący najnowszy tom krótkich form prozatorskich jego autorstwa – „Ciało tegoż snu”.

Świadomość kurczącego się czasu i – odczuwana teraz szczególnie – radość z pisania, nakręca go do pracy, której efektem jest blisko połowa kolejnego, czwartego zbioru opowiadań, które chciałby wydać w przyszłym roku.

Na łamach 27 numeru „GALERII” prezentujemy cykl fotografii Janusza Mielczarka z wielu momentów jego czasu twórczości.

Opr. A. Keller

Katarzyna Kowal

JANUSZ MIELCZAREK – DZIAŁALNOŚĆ ARTYSTYCZNA I ORGANIZACYJNA W ZAKRESIE FOTOGRAFII¹ (fragment)

Janusz Mielczarek zainteresowany jest tworzeniem obrazów, a nie zwykłym dokumentowaniem rzeczywistości. Uprawia fotografię artystyczną, która w jego wydaniu ma nieskończone możliwości wyrazu. Wymyślanie sytuacji, pozowanie modelek, kadrowanie, retuszowanie i fotomontaże² są zabiegami bardzo częstymi, wręcz niezbędnymi w jego pracach. Fotograf zapisuje swoje zdjęcia w technologii srebrowej³. Chętnie stosuje dostępne środki techniczne: najazdy zoomem, rozwieranie konturów obrazu, zmiekczenie rysunku czy multiplikowanie elementów fotografii. Składając razem różne swoje negatywy, osiągnął niezauważalne przejścia pomiędzy światem rzeczywistym a wyimaginowanym, co obrazuje jego pejzaże. Montaż pozwala mu na poszerzenie twórczych możliwości i wyzwolenie się z ograniczeń pojedynczego zdjęcia, wykonywanego z jednego punktu widzenia i w określonym czasie. Czerpie on swoje wizje z idei, które wcześniej pojawiły się w sztukach graficznych, fotografii i filmie.

¹ Fragment pracy magisterskiej pt. „Janusz Mielczarek – działalność artystyczna i organizacyjna w zakresie fotografii” przygotowanej pod kierunkiem prof. Jerzego Piwowarskiego w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie na Wydziale Wychowania Artystycznego (kierunek: Edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych), Częstochowa 2012, s. 31 – 64. Niniejsza praca udostępniona dzięki uprzejmości Pana Janusza Mielczarka.

² Fotomontaż – złożony obraz, stworzony przez połączenie pod powiększalnikiem przynajmniej dwóch negatywów (lub pozytywów), tworząc obraz nie mający odpowiednika w rzeczywistości. Źródło: F. Winzer, *Słownik sztuk pięknych*, Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2000, s. 74.

³ Fotografia tradycyjna – oparta na chemii światłoczułych związków srebra, która dzieli się na fotografię monochromatyczną (czarno-białą) i barwną. Źródło: H. Latoś, *1000 słów o fotografii*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976, s. 85.

Artysta przypisuje sobie prawo do robienia zdjęć realistycznych, twórczych i koncepcyjnych. Ceni fotografię klasyczną, czarno-białą, w której łączy skalę tonalną czerni, szarości i bieli. Bada on twórcze możliwości koloru, który jest w stanie „uwiarygodnić niewiarygodne”.

Domeną Janusza Mielczarka jest portret. Zostawia on w swoich fotografiach pewien dokument, postacie związane z częstochowską kulturą i sztuką. Do ich przedstawienia używa wielu przedmiotów z własnej rekwizytorni. Kreuje człowieka, jego postać i osobistą strukturę, dzięki czemu powstaje scena – często teatralna. Robi to subtelnie i bardzo wrażliwie – w pewnej swojej artystycznej konwencji.

Mielczarek dużą uwagę przywiązuje do tła, w którym unika konkurencji i dba o dopełnienie psychologiczne elementów obrazu prezentującego głównych bohaterów. Fotografie martwej natury to wynik wcześniejszej aranżacji. Tworzą one estetyczną wypowiedź, dając wyraz wyczucia formy. Granica pomiędzy fotografią a malarstwem jest tu dość nikła.

Portret

Według Jana Sunderlanda: „Wciąż rozwija się i zmienia człowiek-przedmiot badania: coraz nowe rzeczy są w nim do spostrzeżenia. I wciąż rozwija się i zmienia człowiek-badacz: coraz więcej spostrzega, coraz więcej go interesuje. Dlatego choć portret ma tysiącletnią historię, każdy nowy spłot warunków życia, konfliktów, bied i radości, walk i ideałów wytwarza nowe modele, swoiste dla miejsca, epoki i środowiska, i nowe pokolenia artystów”⁴.

Henryk Latoś w swojej książce „Oknem cyklopa” napisał: „Twórcą artystycznego portretu fotograficznego jest David Octavius Hill. (...) Otrzymał on zamówienie na wielki portret zbiorowy, na którym miał przedstawić wiele współczesnych sobie znakomitości. Nie chcąc trudzić ich zbyt długim pozowaniem, zresztą zebranie tak wielkiej liczby ludzi naraz też było nielatte, postanowił wykonać najpierw ich zdjęcia, by potem spokojnie według nich malować obraz. Zaprosił do współpracy chemika Roberta Adamsona. (...) Ze współpracy tej zrodziła się seria portretów będących do dziś wzorem sztuki portretowej”⁵.

⁴ J. Sunderland, *Portret artystyczny w fotografii amatorskiej*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1962, s. 53.

⁵ H. Latoś, *Oknem cyklopa*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1972, s. 64.

Ważnymi postaciami w fotografii portretowej są: Julia Margaret Cameron, Gaspard Felix Tour-nachon, Aleksander Rodczenko, Edward Steichen, Edward Hartwig, Jerzy Dorys oraz Yousuf Karsh. Obracali się w kręgu najciekawszych ludzi, najbardziej twórczych indywidualności. Fotografowali polityków, poetów, uczonych, malarzy i aktorów. Ich zdjęcia nie były owocem przelotnych kontaktów z przygodnymi klientami, lecz wynikiem długotrwałych, zażyłych stosunków. Starali się z twarzy ludzkiej wyciągnąć nie jej zewnętrzny blichtr, lecz napięcie sił psychicznych drżących w modelu⁶.

Portret psychologiczny, jaki uprawia Janusz Mielczarek, stanowi jeden z najtrudniejszych rodzajów fotografii. Wymaga on bowiem od portrecisty nie tylko znajomości warsztatu, ale również psychiki ludzkiej oraz nawiązania psychicznego kontaktu z modelem. Portret jest tutaj w zasadzie upozorowany, jednak nie w sposób statyczny, martwy.

Model musi się czuć swobodnie, nie może być skrepowany ani światłem, ani samym faktem fotografowania, powinien być sobą, nie może przybierać pozy, co zdarza się bardzo często, kiedy człowiek znajduje się przed obiektywem. Właściwie model powinien zapomnieć, że jest fotografowany⁷.

„Wytrawny portrecista osiąga ten stan wieloma sposobami. Stara się pierw zapoznać ze swoim modelem, w trakcie swobodnych spotkań towarzyskich poznaje jego psychikę, upodobania, przekonania, marzenia, plany, itp. (...) W atmosferze swobodnej rozmowy przygotowuje sprzęt i obserwuje twarz modela. Rozmowa powinna działać jak hipnoza, winna być sugestywna. Jeżeli portreciście uda się wreszcie poruszyć w modelu struny psychiczne, które zdolne są odbić na jego twarzy wewnętrzny nastrój, jego przeżycie – naciśka bez uprzedzenia spust migawki”⁸.

Mielczarek tworzy portrety kreacyjne, przygotowując się dużo wcześniej do stawiania sobie zadania. Praca artysty z każdym portretowanym zaczyna się od bliższego zapoznania się z jego stylem życia, dłuższą rozmową o zainteresowaniach, wykonywanym zawodzie. Fotograf wyraża nawet

chęć obejrzenia domu, w którym zamieszkuje jego model. Obserwując ludzi, poznając ich sposób bycia, wyszukuje tego, co najbardziej przyciąga jego uwagę, czegoś niepowtarzalnego, oddającego idealnie charakter modela. Mielczarek wybiera osoby warte zapamiętania. Jest to jego bardzo osobisty wybór. Nie zawsze są to osoby, które do końca akceptuje, ale uważa, że robią coś ważnego dla innych bądź są ciekawymi artystami.

Modele wyrażają się na fotografii poprzez mowę ciała, grę teatralną. Czarno-biała fotografia zatytułowana „Pani B” z 1968 roku przedstawia starszą kobietę z rękoma skrzyżowanymi na książce. Punkty świetlne padają odgórnie, bezpośrednio na pogodną twarz i dość duże dłonie. Od postaci bije „babcię” ciepło i mądrość starszego człowieka. Fotograf wykazuje umiejętność wykorzystania sztucznego światła. Mielczarek wykonał tę fotografię u siebie w domu przy bardzo prymitywnym oświetleniu, używając obiektywu szerokokątnego 35mm.

Portret małej dziewczynki zatytułowany „Agathe” z 1970, wykonany na plaży w Sopocie obiektywem 135mm dowodzi, że Janusz Mielczarek potrafi rozmawiać z portretowaną osobą, gdyż dziecko jest chyba najtrudniejszym modelem do fotografowania. Zupełnie obca dziewczynka (Francuzka), tak pięknie przedstawiona w swojej dziecinnej posturze, wyraża ufność i zaniepokojenie. Śmiało patrzy w obiektyw, robiąc dziwne miny. Fotograf na tyle blisko zaprzyjaźnił się z dziewczynką, jak i z jej rodzicami, że w późniejszym czasie robił jej zdjęcia do portfolio. Dzięki jego fotografiom Agathe stała się modelką mody dziecięcej, a sam Mielczarek dostał propozycję wyjazdu do Paryża i angażu jako fotograf.

Bardzo ważnymi dla fotografa ekspozycjami portretowymi są wizerunki nieżyjącego już Jerzego Dudy-Gracza i Mariana Michalika z 1996 roku. Mielczarek był związany z tymi artystami i żałuje, że nie udało mu się wykonać więcej fotografii. Wizerunek Dudy-Gracza zadumanego i opartego na ramie obrazu powstał w dwóch wersjach. W pierwszej, na jednym z obrazów, o który opiera się artysta, widnieje stara fotografia jego rodziny, co sprawia, że zdjęcie jest pełne zadumy nad życiem, przemyśleń, tęsknoty. Druga fotografia jest nieco weselsza, gdyż przedstawia Dudę-Gracza w nieco figlarnej pozie, opartego o ramę obrazu, w którym znajduje się fotografia przedstawiająca jego samego bawiącego się swoim malowidłem. Artysta do końca palców przywiązane ma sznurki, którymi

⁶ H. Latoś, *Okiem cyklopa*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1972, s. 64, 76, 165 – 166, 169.

⁷ Tamże, s. 46.

⁸ H. Latoś, *Okiem cyklopa*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1972, s. 46.

pociąga postacię ze swojego obrazu. Bawi się w teatrzyk, szarpiąc sznurkami, sprawia wrażenie, że postacie z obrazu poruszają się dzięki niemu.

Innym pomysłem na portret Dudy-Gracza było pokazanie go grającego w szachy ze śmiercią. Bohater, pochylony nad szachownicą, myśli nad kolejnym ruchem gry. Śmierć pełna entuzjazmu, wykonuje kolejne posunięcia. Tych fotografii Mielczarek miał nie pokazywać za życia artysty, gdyż ten był bardzo przesądny. Fotografie powstały w Katowicach, w domu i pracowni malarza.

Kolejną, ważną postacią dla fotografa, był Marian Michalik, który zainteresował Mielczarkę przedstawieniami martwej natury w fotografii. Fotograf przebywał w domu i pracowni malarza dwa dni i wykonywał wiele zdjęć. Na żadnym z wizerunków artysta nie uśmiechał się. Jedną fotografią przedstawia Michalika siedzącego wśród swoich obrazów, a obok – paleta i cały słój pędzli. Jeden z obrazów, znajdujących się na zdjęciu, jest niedokończony, ma wyraz bardzo symboliczny.

Janusz Mielczarek fotografował także kobiety, m.in. Sabinę Lonty. Portret powstał w 1997 roku i przedstawia kobietę siedzącą w oknie, zadumaną i spoglądającą gdzieś w dal przez szybę. Jej kobiecość podkreśla kwiecisty prześwit nałożonej warstwy drugiego negatywu. Ten fotomontaż założony został z czarno-białego portretu kobiety siedzącej na parapecie okna swojej pracowni oraz kolorowego negatywu traw i byliny rosnącej wśród wapiennych skał w Olsztynie. Dało to efekt, a fotografia została zauważona przez Edwarda Hartwiga i nagrodzona medalem Fotoklubu Rzeczypospolitej.

Innym interesującym przykładem portretu wykonanego w plenerze jest fotografia zatytułowana „Odejście ze świata lalek” z 1999 roku. Mielczarek zaproponował sesję zdjęciową młodej dziewczynie o imieniu Magda, poznanej w Gminnym Ośrodku Kultury gdzieś na Kielecczyźnie. Początkowo skrępowana dziewczyna z czasem stała się prawdziwą fotomodelką. Mielczarek zrobił jej zdjęcia na dwóch filmach, jednym czarno-białym i drugim kolorowym. Do omawianego zdjęcia dziewczyna pozoława gdzieś na łące nieopodal lasu, trzymając głowę lalki owiniętą w czarny materiał. Artyście udało się uchwycić moment rozwianych włosów na wietrze. Młoda kobieta trzyma lalkę przed sobą owiniętą w czarny materiał, ma zamknięte oczy, jakby żegnała się z dziewczęcym światem. Chce sprawić, by lalka znikła. Fotografia jest pełna wyrazu, tajemnicy, magii.

Umiejętności, jakimi wykazuje się Janusz Mielczarek, przedstawia zdjęcie Krzysztofa Pendereckiego z 1999 roku. Fotografik koniecznie chciał zrobić portret kompozytorowi, ale trudno było mu dostać się do niego podczas konferencji zorganizowanej w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie przed koncertem na Jasnej Górze. Mielczarek wykonał zdjęcie pomiędzy nogami statywu jednego z fotoreporterów, co dało tło i ciekawy efekt. Na zdjęciu widoczne jest ziarno, które artysta uzyskał dzięki poprzecznemu kadrowi i filmowi 800 ASA. Penderecki przedstawiony został w zamysłowej pozie, ręką gładzi brodę, spogląda poprzez prześwity statywu w stronę widza.

Zdjęcia portretowe Janusza Mielczarka emanują magnetyzmem i wywołują emocje, są dowodem umiejętności fotografa stawiania się kimś bliskim swoim modelom, będąc dla nich jednocześnie niewidzialnym. Jego zamierzeniem jest przekazywanie tych osób w sposób metaforyczny, refleksyjny, czasem żartobliwy, uzupełniając fotografie o instalacje pozafotograficzne⁹.

Pejzaż

Początki pejzażu fotograficznego datują się od połowy XIX wieku, czyli prawie od momentu powstania wynalazku.

„Fotografowie mieli na początku bardzo ograniczone możliwości techniczne. Wobec niedoskonałego sprzętu i niskiej czułości materiałów fotograficznych mogli utrwalać tylko obiekty statyczne, nie zmieniające swego wyglądu podczas wykonywania zdjęć (martwa natura, krajobrazy z dalekim plenerem, itp.). Dużą trudność sprawiała pracochłonna technika przygotowania klisz. Utrudniało to ogromnie prace w terenie”¹⁰.

Mimo to pejzaże wykonywali już w pierwszych latach istnienia fotografii: Hippolyte Bayard, Carl Ferdinand Stelzner, Sceretan Paymal, Francis Frith i inni. Najczęściej były to ujęcia w pobliżu siedzib ludzkich: miast i krajobrazów wiejskich¹¹.

W latach 60. XIX wieku zainteresowano się także pejzażem górskim. Z tego okresu znamy np. fotografie „Mont Blanc”, wykonane przez Josepha Tairraz’a i Auguste-Rosalie Bisson’a¹².

⁹ J. Mielczarek, *Galernicy*, katalog, Biuro Wystaw Artystycznych, Częstochowa 1994, s. 2.

¹⁰ L. Paule, *Pejzaż fotograficzny*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1984, s. 16.

¹¹ Tamże.

¹² Tamże.

„W Polsce fotografia pejzażu datuje się od zarania wynalazku dagerotypii. Pierwsze dagerotypy, wykonane przez Jędrzeja Radwańskiego, profesora nauk przyrodniczych Uniwersytetu Warszawskiego, wystawione były na pokazie dagerotypów zorganizowanym 13 października 1839 roku przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Przedstawiały krajobraz miejski – widoki kościoła Wzytek i pałacu Kazimierzowskiego w Warszawie”¹³.

W tej samej technice utrwalali widoki Warszawy Marcin Zalewski oraz Maurycy Scholtz – według jego dagerotypów wykonano zachowane do dziś litografie, stanowiące niezwykle cenny materiał ikonograficzny dla historyków stolicy.

W drugiej połowie XIX wieku wielu wybitnych polskich artystów uprawiało fotografię krajobrazową. Wśród nich: Józef Czechowicz, Maksymilian Fajans, Konrad Brandel, Walery Rzewuski, Ignacy i Natan Kriegerowie oraz Awit Szubert¹⁴.

Pierwsze polskie zdjęcia górskie wykonane zostały przed rokiem 1860. Fotografię górską uprawiali: Walery Rzewuski, Meletiusz Dudkiewicz i Awit Szubert.

Na początku ubiegłego stulecia, dzięki nowo utworzonym i rozwijającym się amatorskim towarzystwom fotograficznym, krajobraz stał się najchętniej uprawianą dziedziną. W okresie międzywojennym mnożyły się wystawy i konkursy poświęcone wyłącznie pejzażowi. Pierwszą ogólnopolską wielką Wystawę Fotografii Ojczyzny zorganizowano w 1938 roku; była ona niejako ukoronowaniem pracy polskich fotografów. Popularyzowanie i podniesienie do właściwej rangi tej gałęzi sztuki było zasługą Jana Bulhaka. On to pierwszy zwrócił uwagę na jej znaczenie jako dokumentu, dzięki niemu stała się odrębną, autonomiczną dziedziną sztuki. Obok Jana Bulhaka należy wymienić: Edmunda Osterloff, Jana Mioduszeńskiego, Klemensa Składankę, Tadeusza Wańskiego, Stefana Zyberk-Platera, Bolesława Gardulskiego, Jerzego Stalony-Dobrzańskiego, Zofię Chomętowską, Antoniego Wieczorka.

„Znamiennym zjawiskiem jest powstanie tzw. Kieleckiej Szkoły Krajobrazu, stworzonej przez działaczy Świętokrzyskiego Towarzystwa Fotograficznego w Kielcach, będącego też organizatorem Biennale Fotografii Krajobrazu Polskiego. Czołowi

przedstawiciele tej szkoły to m.in. Paweł Pierściński, Janusz Buczkowski, Jan Spalwan i Jerzy Kamoda¹⁵.

Celem fotografii pejzażowej Janusza Mielczarka jest wzbudzenie w widzu poczucia piękna i wywołanie w nim pozytywnych odczuć estetycznych. Przytłumienie realizmu zdjęcia prowadzi do uzyskania takich form, których celem jest efekt artystyczny. Opiera się on na wzajemnej kompozycji walorów i linii. Fotograf stosuje najróżnorodniejsze środki wyrazu i techniki. Krajobrazy artysty są nosicielami myśli, symbolami, a tematem obrazu jest nastrój. Pejzaż zaś pozostaje anonimowy.

Janusz Mielczarek nie miał przekonania do fotografii pejzażowej. Zainteresowanie krajobrazem zaczęło się w 1993 roku, kiedy to obejrzał wystawę czarno-białych pejzaży Pawła Pierścińskiego. Postanowił się zrehabilitować wobec wcześniejszych, słabszych prac o tej tematyce. Poniżej zaprezentuję kilka ważnych fotografii wybranych przez artystę z jego dorobku. Sam jednak uważa, że nie jest to jego ulubiona tematyka.

Podczas pleneru, zorganizowanego przez Radomszczańskie Towarzystwo Fotograficzne w 1995 roku, powstał jego pierwszy pejzaż zatytułowany „Murawy dobrzańskie”, wykonany w okolicach Przedborza.

Obraz przedstawia jesienną atmosferę polskich pól spowitych mgłą. Całość składa się jakby z czterech części ujętych w formie trójkąta. Na pierwszym planie fotografii widać szerokie pasmo zoranej ziemi, która mocnym brązem kontrastuje z ciepłym kolorem pożółkłych traw i krzaków kolejnego planu. W środkowym punkcie fotografii usadowiony jest brązowo-czerwony krzew. Obraz zamyka trzecie pasmo, otwierające się zielonym pagórkami, stopniowo przechodzącym w czwartą część obrazu – łąki i lasy otulone gęstą mgłą, która stopniowo zaciera linie horyzontu. Fotografia daje odczucie tamtej chwili – chłodnego poranka stopniowo ogrzewanego przez pierwsze promienie słońca, a mgła nadchodząca na delikatnie pożółkłe trawy dodaje obrazowi lekkości. Rzeźba terenu z najróżnorodniejszymi szczegółami wywołuje wrażenie przestrzeni, a ponadto charakteryzuje się różnorodnością form, strukturami barwnych walorów, wzmocnionych jakby aspektami funkcjonalnymi.

Fotografie krajobrazów Janusza Mielczarka ukazują kolejno pewien rozwój. Pejzaż zatytułowany „Bieszczady” z 1996 roku, wykonany został

¹³ Tamże, s. 19.

¹⁴ Za: H. Latoś, *1000 słów o fotografii*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976.

¹⁵ Za: L. Paule, *Pejzaż fotograficzny*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1984, s. 22.

podczas I Pleneru w Bieszczadach. Złożony z dwóch negatywów: przedstawiającego korzenie – wykonanego nad jeziorem Duszańskim oraz obrazującego kaczeńce uchwycone gdzieś po drodze na polanie.

Pierwszy, bardzo dynamiczny plan, obrazuje potężne korzenie drzew, przypominające roztraskujący się na kamieniach wodospad. Korzenie, obsypane żółtymi, posypane gdzieniegdzie zanikającymi liśćmi, kojarzą się ze spienioną wodą. Górna część fotografii przedstawia drzewa w zagęszczeniu – wykazują one podobieństwo do skały porośniętej mchem. W górnej części fotografii umiejscowiona jest rozjaśniona plama, która daje efekt początku wodospadu. Na samej górze pomiędzy roślinami widać lekki prześwit nieba. Gama barwna jest stonowana i ciepła. Przeważają brązy i żółcienie, gdzieniegdzie ciemne zielenie, kolory tworzą jesienne ciepło i niepojętność lasu.

Praca zatytułowana „Bieszczady” z 1997 roku wykonana w Poloninach I, tworzona techniką fotomontażu, składa się z dwóch negatywów: kolorowego i czarno-białego. Pierwszy plan bliski i tak rzeczywisty oraz drugi, gdzieś tam w oddali widziany jakby przez mgłę. Na dole zdjęcia znajduje się pasmo czerwono-listnych krzaków. Nad nimi górują suche gałęzie rozłożystego drzewa. Konar te wydają się bronić dostępu do tego, co znajduje się w oddali. Lekko rozmyty białą drugi plan przedstawia złocistą polanę i pagórki obsadzone zielonym lasem. Fotografia uwydatnia wypracowany warsztat ciemniowy Janusza Mielczarka.

W 1999 roku na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej powstała fotografia „Na Jurze”. Jest to wiosenny pejzaż ukazujący zaorane, brązowe i zielone pasy ziemi. Widok ze wzniesienia na rozpościerające się pola z tyłu przyprószone śniegiem. Po lewej stronie umiejscowione jest bezlistne drzewo. W oddali rozpościerają się pasma niskich wzniesień.

Rok ten zaowocował także fotografią „Olsztyn”. Na pierwszym planie widać czarny zarys zamku znajdującego się w Olsztynie koło Częstochowy. Widnieje on na tle różowego nieba o zachodzie słońca, przepasanego ciemnymi i pomarańczowymi chmurami obrysowanymi linią światła. Od prawego, górnego rogu zdjęcia nadciąga czarna, deszczowa chmura. Obraz daje ciepło zachodu słońca i jednocześnie poczucie obawy przed nadciągającym deszczem.

„Pejzaż pokutny” z 2000 roku to obraz wykonany nad rzeką Wartą w okolicach Krzepic. Mielczarek zarejestrował w drodze powrotnej z pleneru

nad Wartą całkiem niepozornie wyglądający plac. Na pierwszym planie fotografii widnieje rozjeżdżona przez ciężkie samochody ziemia. Wszystkie te bruzdy, łukami i falami prowadzą do dwóch drzew pozbawionych liści. Zza nich bije jasna luna, od której ciągną się lekko oświetlone nią drogi. W dali rozciąga się nadrzeczny krajobraz. Czarno-biała fotografia została umieszczona w albumie „Mistrzowie polskiego pejzażu”, wydanego w 2000 roku przez Pawła Pierścińskiego, Jerzego Piątka i Wiesława Turno.

Fotografia pejzażu Janusza Mielczarka to coś więcej niż zwykły zapis na filmie czy też pamięci aparatu miejsc, które odwiedza – artysta angażuje swój własny punkt widzenia. Zdjęcie związane z serią świadomych decyzji i jego wybór kompozycji oddziałuje na postrzeganie zdjęcia przez innych. Artysta zwraca uwagę na intuicyjny i zagadkowy świat wewnętrznych wizji. Kiedy sztuka i rzemiosło łączą się w fotografii, rodzą się wyjątkowe zdjęcia, które wywierają nie tylko wizualny, ale także emocjonalny wpływ na widza.

Martwa natura

Historia przedstawień martwej natury w fotografii zaczęła się wraz z pojawieniem się wynalazku. W 1829 roku Joseph Nicéphore Niépce wszedł w spółkę z Louis Jacques Mandé Daguerre. Mieli razem współpracować nad udoskonaleniem heliografii¹⁶. Wtedy to Niépce wykonał odbitkę przedstawiającą nakryty stół. Przez długi czas uchodziła ona za pierwsze zdjęcie w historii.

W 1837 roku powstał jeden z najstarszych dagerotypów¹⁷ Daguerre’a – martwa natura wy-

¹⁶ Heliografia – historyczna nazwa nadana przez J.N.Niépce’a obrazom fotograficznym opracowaną przez niego metodą przed rokiem 1830; heliografie otrzymywał na płytach cynowych pokrytych asfaltem syryjskim. Po kilkugodzinnym naświetlaniu płytę moczył w olejku lawendowym: nienaświetlone części asfaltu rozpuszczały się, naświetlane zaś, jako garbowane pod wpływem światła, pozostawały trwale, tworząc obraz. Za: H. Latoś, *1000 słów o fotografii*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976, s. 112.

¹⁷ Dagerotypia – metoda otrzymywania obrazów fotograficznych sposobem Daguerre’a na srebrnej lub miedzianej, posrebrzanej płytce w jednym nie dającym się kopiować egzemplarzu, w postaci pozytywu odwróconego (lustrzanego). Za: H. Latoś, *1000 słów o fotografii*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976, s. 54.

konana w atelier. Zrobił on więcej tego rodzaju zdjęć, czego przykładem jest: „Martwa natura” z 1839 roku – oryginalny dagerotyp znajduje się w muzeum w Perpignan. Prace przedstawiane były przez François Jean Dominique Arago, Daguerre’a i syna Niépce’a, Izydora, na posiedzeniu Akademii Francuskiej¹⁸.

Tematyka martwej natury przemawiała do fotografów w erze kalotypii¹⁹ i metody kolodionowej²⁰ w drugiej połowie XIX wieku. Ustawiali oni na stole tradycyjne przedmioty takie jak: owoce, ceramika i rzeźby. Umożliwiały one studiowanie wpływu światła na formę, choć czasem wydaje się, że konwencje malarstwa przeniesione są do fotografii, może tylko z niewielkimi zmianami ikonografii.

Z powodzeniem fotografowano również kwiaty, które – mogłoby się wydawać – że nie nadają się do monochromatycznych fotografii. Przykładem jest „Wieniec kwiatów” Adolpha Brauna z 1855 roku. Na początku lat 50. XIX wieku wysoko

ceniono jego zdjęcia za artyzm oraz użyteczność zbliżeń liści i kwiatów, aranżowanych w formalny bądź czysto przypadkowy sposób. Możliwe, że to właśnie jego fotografie zainspirowały między innymi Eugène’a Chauvigne’a i Charlesa Aubry’ego do prób w tej samej tematyce. Inne prace Aubry’ego przedstawiały na przykład czaszki i rekwizyty, wskazujące na chęć naśladowania malarstwa. Jednak proste układy oraz wyrazisty detal widoczny na fotografowanych przez artystę liściach wskazują na większą oryginalność tych prac, które nie współzawodniczyły z malarstwem²¹.

Na przełomie lat 20. i 30. XX wieku wszystkie dziedziny sztuki – także fotografię – opanował nurt Nowej Rzeczywistości²². Jedną z jego idei było jak najgłębsze, najdokładniejsze przyglądanie się i rejestrowanie świata, tworzenie czegoś na kształt „wielkiego obiektywnego archiwum wszystkiego, co widzialne”²³. Zbliżenia, jako środek wyrazu Nowej Rzeczywistości, zyskało zwolenników na całym świecie. Hans Finsler wykorzystał aparat fotograficzny, chcąc uświadomić odbiorcy fakt istnienia dokładnych linii geometrycznych w wyglądzie przedmiotów masowo produkowanych przez maszyny²⁴. W nurcie tym tworzyli także: Albert Renger-Patzsch, Emmanuel Sougez i Piet Zwart.

W drugiej połowie XX wieku niemal wszystkie zdjęcia martwych natur to wynik wcześniejszej aranżacji²⁵. Przesłanie tego typu fotografii jest zwykle dość proste: chodziło o stworzenie estetycznej wypowiedzi, bez obciążenia jakimikolwiek przesłankami politycznymi lub społecznymi. Przykładem są prace Zeke’a Bermiana, które dodat-

¹⁸ H. Latoś, *Okiem cyklopa*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1972, s. 57.

¹⁹ Kalotypia – historycznie pierwsza negatywowo-pozytywowa metoda otrzymywania obrazów fotograficznych wynaleziona przez W. H. F. Talbota i ogłoszona równocześnie z dagerotypią w 1839 roku. Polegała na naświetlaniu w kamerze papierowego negatywu nasyczonego roztworem azotanu srebra, a po wyschnięciu zanurzonego w roztworze chlorku lub bromku sodowego. Kalotypia przetrwała do lat 50., zastąpiona doskonalszą, mokrą metodą kolodionową. Za: H. Latoś, *1000 słów o fotografii*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976, s. 275.

²⁰ Metoda kolodionowa – wynaleziony i zastosowany przez francuskiego malarza G. Le Graya i Anglika F.S. Archera w 1851 roku proces otrzymywania obrazów fotograficznych. Polegał on na pokryciu płyty szklanej zawieszoną mieszaniną jodku i bromku potasowego lub amonowego w kolodiu, czyli alkoholowo-eterowym roztworze nitrocelulozy. Po zanurzeniu takiej płyty w roztworze azotanu srebrowego w warstwie powstała światłoczuła mieszanina jodku i bromku srebrowego. Naświetlone płyty wywoływano w roztworze kwasu galusowego w kwasie octowym i utrwalano w roztworze tiosiarczanu sodowego lub cyjanku potasowego. Cały ten proces (przygotowanie materiału, naświetlanie, wywołanie i utrwalenie) musiał przebiegać na płycie mokrej w krótkim stosunkowo czasie – stąd nazwa tej metody – mokra. Za: H. Latoś, *1000 słów o fotografii*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976, s. 129.

²¹ N. Rosenblum, *Historia fotografii światowej*, Wydawnictwo Baturo Grafis Projekt, Bielsko-Biała 2005, s. 222.

²² Nowa Rzeczywistość (Neue Sachlichkeit) – kierunek artystyczny na przełomie lat 20. i 30. XX wieku, zmierzający – w przeciwstawieniu do niemieckiego ekspresjonizmu i abstrakcjonizmu – ku obiektywnemu przedstawianiu świata. Twórcą pojęcia był G. Hartlaub. Przedstawiciele w malarstwie: A. Kanoldt, K. Mense, S. Scholz. Źródło: <http://ebu.uw.edu.pl/Content/367/N4.htm> [stan z 01.01.2013 r.].

²³ A. Cymer, *Zwspółczesnej perspektywy: fotografianiemiecka*. Źródło: http://www.swiatobrazu.pl/ze_wspolczesnej_perspektywy_fotografia_niemiecka.html [stan z 28.12.2012 r.].

²⁴ N. Rosenblum, *Historia fotografii światowej*, Wydawnictwo Baturo Grafis Projekt, Bielsko-Biała 2005, s. 412.

²⁵ Tamże, s. 592.

kowo celową łamią reguły dotyczące perspektywy przestrzennej, np. „Miarka” (1979 r.) czy „Martini” (1984 r.). Współczesna fotografia stwarza nam niezwykle możliwości. Daje dużo swobody w układzie elementów. W tej wymagającej sztuce artyści muszą tworzyć z wyczuciem kompozycji i wielką wyobraźnią, co z całą pewnością udało się Januszowi Mielczarkowi. Jego zainteresowanie tą tematyką rozpoczęło się w czasie portretowania w 1996 roku Mariana Michalika – wybitnego malarza tego gatunku. Szkice przyszłych fotografii ukie-runkowane są obrazami artysty i tworzą skromny hold dla jego sztuki²⁶.

„Natury mistyczne” – tryptyk z 1999 roku oraz „Natury mistyczne II” z 2000, są to pierwsze fotografie martwych natur, na których widać podobieństwo do malarstwa Michalika. Zdjęcia przedstawiają przedmioty skrupulatnie dobierane, z symbolami, przekazem, jakby na jednej płaszczyźnie, często z jednolitym tłem. Każda rzecz, kolor i ustawienie przedmiotów ma tam znaczenie.

Fotografia z tryptyku „Natury mistyczne I – 3” przedstawia zbiór różnych przedmiotów umieszczonych na jednonożnym stoliczku zbitym z ciemnych desek. Do jego prawej strony przybita jest ścianka, która daje równowagę kompozycji. Po lewej stronie umieszczona jest wysoka kwadratowa butelka, w kolorze beżu. Na jej rancie umieszczona jest srebrna kulka. Wokół szyjki obwiązany jest czarny sznurek, którego drugi koniec przywiązany jest do wagowego odważnika. Z tyłu, za butelką, w lewym górnym rogu stoliczka znajduje się ciemnozielona kula. O przód butelki opiera się srebrny zegarek kopertowy. Jest on zamknięty, na jego wieczku wygrawerowane są jakieś wzory. Dalej, na tylnym planie – obok odważnika – umieszczona jest duża, biała muszla. Ustawiona jest wargą – ułożoną w lekki uśmiech – do widza. Po jej prawej stronie ustawiony jest srebrny stożek, który odbija się w lustrze położonym nieco niżej. Na tym kawałku zwierciadła leży oparta o ściankę cebula. Na pierwszym planie, po prawej stronie, artysta umieścił owalny, gładki kamień. Jest on ciemnoszary, opasany białym paskiem. Zaś po lewej stronie stoi mosiężny, rzeźbiony dzbanek, którego Dziubek skierowany jest ku przedmiotom znajdującym się na środku stolika. Harmonii kompozycji dodaje jednolite jasnoszare tło.

Kolejną podobną w układzie fotografią jest „Natury mistyczne II – 2”. Składa się ona z planu głównego, na którym umieszczone są trzy przedmioty oraz z jednolitego, granatowego tła. Obiekty umieszczone są w układzie trójkąta życia. W lewym rogu umieszczona jest mała, srebrna kulka. Idealnie gładka, błyszcząca, jeszcze niczym niezmaczona. Do niej prowadzą liście z niedawno zerwanego, czerwonego, dojrzałego jabłka. W dolnym rogu umieszczony jest kwiat czosnku, do którego w dół fotografii odwinięty jest jego ususzony liść. Bylina ukazana od góry jest rozdarta tak, że widać jej owoce. Przedstawia ona kres życia.

W roku 2001, w plenerze na Pustyni Siedleckiej za Biskupicami powstał dyptyk „Natury mistyczne III”. Fotograf przygotowywał się do tego wydarzenia przez pół roku, szukając odpowiednich przedmiotów i miejsca. Jako tło posłużył Januszowi Mielczarkowi piach, a każdy z przedmiotów ma osobisty charakter oraz metaforyczne znaczenie. Fotografia „Natury mistyczne III – 2” przedstawia martwą naturę. W centralnym punkcie fotografii dominuje ciemna, wbita w piasek belka, do której z lewej strony zamontowany jest kran, z przodu zawieszony jest wahadło, a wokół niej owinięte są dwie pętle grubego sznura. Z tyłu, nieco po lewej stronie, w jej cieniu umieszczona jest ciemnozielona kula, a po prawej czerwony metalowy dzbanek zwrócony dziubkiem w kierunku belki. Po prawej stronie stoi stary, drewniany młynek na korbkę, w którego szufladę złożone są igły sosny. Po lewej, nieco z przodu, w piasek wbity jest czarny, żelazny tryb, kolejno złote rozdarte kółko i autopoortrety artysty umieszczone na obrazku ze starym zegarem, na którym powieszony jest złoty łańcuszek. Tło stanowi osypujący się jasnokremowy piasek.

W 1999 roku powstał tryptyk zatytułowany „Tema con Variazioni” – „Temat z wariacjami” – ukazujący przemijanie. Począwszy od pierwszej fotografii, na której autor umieścił obok siebie srebrną butelkę i kulkę oraz stos świeżych jabłek. Na kolejnych zdjęciach jabłka są coraz bardziej zwiędnięte, na butelce pojawiają się zacieki. Ponadto na drugiej fotografii pojawia się tarcza zegara, którą w ostatniej pracy zastępuje czaszka.

Świeżo zebrane owoce, butelka bez oznak zniszczenia oraz srebrna, gładka kulka przedstawiają niczym nieskalaną młodość, która ulega nieuniknionemu procesowi starzenia i prowadzi po kres życia – śmierć.

²⁶ J. Mielczarek, [wstęp] w: *Natury mistyczne*, katalog, Miejska Galeria Sztuki, Częstochowa 2009, s. 2.

2000 rok zaowocował pracą zatytułowaną „Nie rzucaj palenia”. Fotografia jest przestrogą dla palaczy – w nieco żartobliwy sposób artysta pokazuje, co dzieje się z człowiekiem, który jest nałogowym palaczem. Na centralnym planie umieszczone jest zasuszone jabłko – przypominające głowę człowieka. Wetknięty jest w nie zapalony papieros, z którego odpada spopielony tytoń. Całość jest zaprezentowana na jednolitym, jasnoszarym tle.

Następna praca z 2002 roku – „Przemijanie” – obrazuje zmiany, jakie zachodzą w naszym życiu. Stare, zardzewiałe i niepotrzebne przedmioty wyniesione do warsztatu wstawione zostały gdzieś w kącie czy na parapecie zakurzonego okna. Czuje się brak potrzeby korzystania z tych starych już urządzeń. Dla uwydatnienia tytułowego przemijania, z przedmiotami zestawione zostało ususzone jabłko. Cała praca jest przedstawiona w szarych barwach, jedynie owoc posiada żywy, pomarańczowy kolor, dzięki czemu przyciąga uwagę.

W późniejszym okresie artysta poszukuje czegoś innego. W zestawie prac „Prawda przedmiotu” z 2004 roku ukazuje pewnego rodzaju poszukiwanie odbicia światła w przedmiocie. Są to cztery fotografie, na których kolejno oświetlona butelka prezentowana jest w innym położeniu. Wylania się ona z całkowitej czerni, a lekka, subtelna gra światła przenikającego przez jej szkło daje efekt tajemniczości.

W twórczości artysty ważny jest koniec 2007 roku. Po warsztatach martwej natury w Janowie Podlaskim powstał tryptyk „Alchemia podróży w...”. Jest to turpistyczne poszukiwanie piękna w brzydocie, łączenie różnych materiałów i struktur. Istotnym elementem zdjęcia martwej natury jest światło, jakie pada na przedmiot. Butelka początkowo stojąca sama, stopniowo zostaje owinięta kawałkami drutu, pętającego i duszącego jej szyjkę. W pracy dominuje czerń, z której wylaniają się zarysy delikatnie oświetlonej naturalnym światłem butelki.

W następnych latach artysta zajmuje się poszukiwaniem piękna w starych, nikomu niepotrzebnych przedmiotach. W roku 2008 powstały „Przyjaźnię z mojego śmietnika” – w trzech wersjach. Są to bardzo proste fotografie utrzymane w skali szarości. Przedstawiają połączenie szkła, metalu i naturalnych atrybutów w postaci suchych traw i liści. Wydaje się, jakby te śmieci wyrzucane przez ludzi dusiły naturę. Liść zamknięty w szklance owiniętej blachą wygląda jakby tracił kolor,

sprawia wrażenie umierającego. Trawa wetknięta w kawał żelastwa walczy o to, aby przetrwać. Fotografie są bardzo smutne.

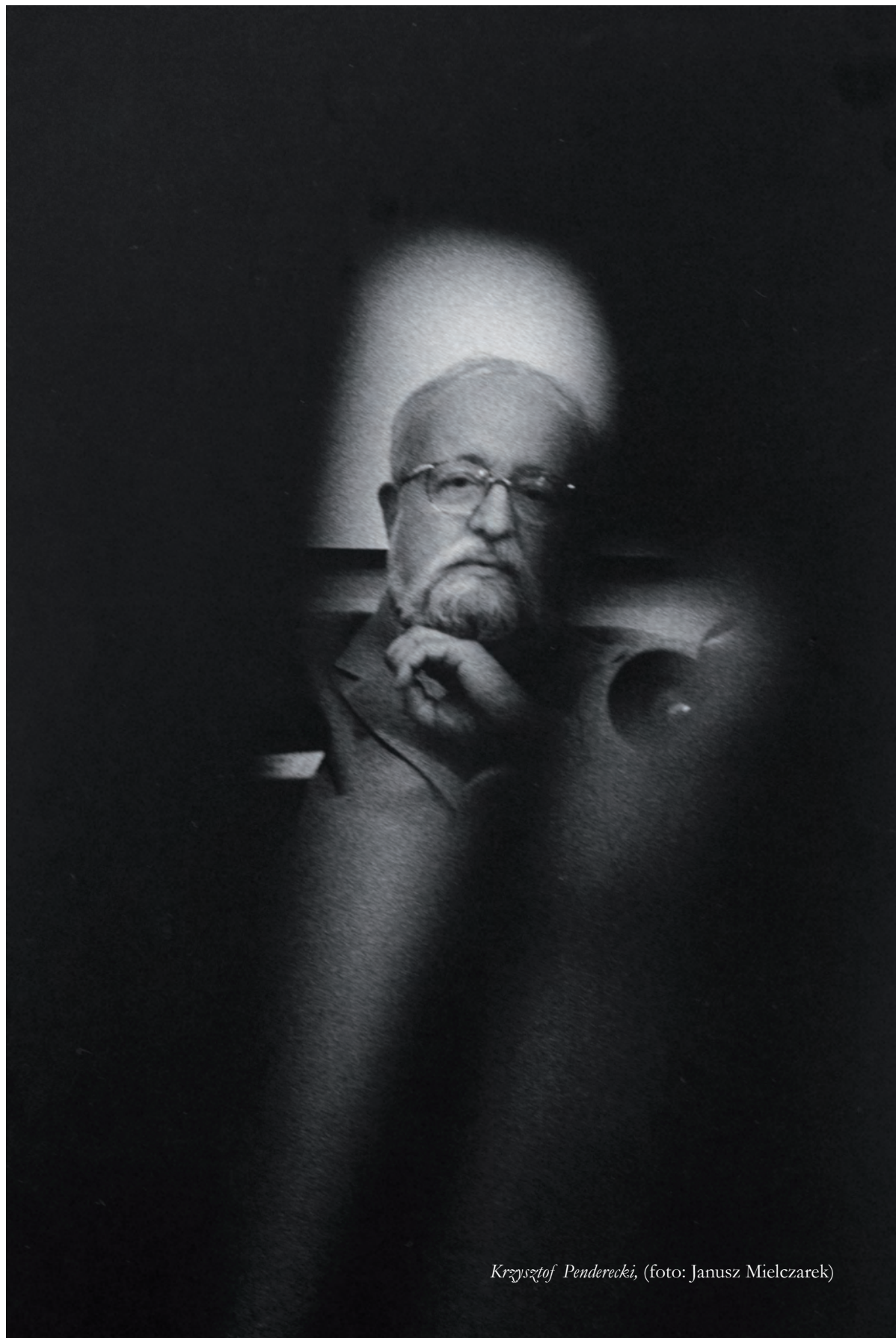
W ostatnich fotografiach martwej natury Janusz Mielczarek powraca do tematu przemijania. Seria fotografii z 2009 roku zatytułowana „Pożegnanie tamtej epoki” to barwne fotomontaże, łączące fotografie jesiennych liści, bloku betonu i metalowych trybów, które są wyobrażeniem upływającego czasu.

Do swojej pracy nad martwymi naturami Janusz Mielczarek przygotowuje się dużo wcześniej. Wiele fotografii poprzedza szkicami i opisami przyszłej kompozycji, które powstają np. na serwetkach zebranych przypadkowo z jakiegoś stolika w restauracji. Czasem powstaje kilka rysunków z wielokrotnymi przedstawieniami jednej sytuacji, które różnią się zmianą koloru czy przesunięciem przedmiotów, wszystkim im towarzyszy dokładny opis słowny.

Katarzyna Kowal

Literatura zwarta:

- F. Winzer, *Słownik sztuk pięknych*, Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2000.
- H. Latoś, *Okiem cyklopa*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1972.
- H. Latoś, *1000 słów o fotografii*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976.
- J. Mielczarek, *Galernicy*, katalog, Biuro Wystaw Artystycznych, Częstochowa 1994.
- J. Mielczarek, [wstęp] w: *Natury mistyczne*, katalog, Miejska Galeria Sztuki, Częstochowa 2009.
- J. Sunderland, *Portret artystyczny w fotografii amatorskiej*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1962.
- L. Paule, *Pejzaż fotograficzny*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1984.
- N. Rosenblum, *Historia fotografii światowej*, Wydawnictwo Baturo Grafis Projekt, Bielsko-Biała 2005.



Krzysztof Penderecki, (foto: Janusz Mielczarek)

Maciej Skalik

SZTUKI MISTYCZNE, CZYLI DOCHODZENIE DO ABSOLUTU

Fotografia (gr. φῶς, phōs, D. phōtós – światło; gráphō – pisać, graphēin – rysować, pisać; rysowanie za pomocą światła) – twórcza gra polegająca na naśladowaniu Boga przy oddzielaniu światła od ciemności.

W 1927 roku Jan Bulhak w referacie *Emanacja fotografii artystycznej w Polsce* wprowadził rozróżnienie pomiędzy fotografem a fotografikiem. Fotografik – według Bulhaka – to człowiek zajmujący się fotografią artystyczną, w odróżnieniu od fotografa, który jest rzemieślnikiem w tym fachu.

Pan Jan, lysawy mężczyzna z brodą filozofa, uniesionymi na końcach – jakby się uśmiechały – wąsami i zmarszczonym w skupieniu czołem. Z legitymacją nr 1 ZPAF-u. Zaiste był fotografikiem.

W roku 1944 dosięgnął go płomień ironii. Kiedy dosłownie splonęły zbiory negatywów w ilości ok. 50 000 (sic!). Nigdy nie podejrzewał, że jego wysiłek zatrzymania czasu, łapania chwili w kadr, zniknie tak szybko. Nauka jego życia daje jednak świadectwo wytrwałości, bowiem po wojnie niezłomnie dokumentował zniszczenia, jakie zostawiła ta bezwzględna machina śmierci.

Fotografik, tego terminu będę się trzymał, pisze za pomocą światła. Musi być dobrym obserwatorem o cierpliwym przysposobieniu. Jednak najważniejszym jego atrybutem jest dusza – duch. Artystyczny polot, którym powinien się odznaczać, by widzieć świat inaczej niż przeciętni ludzie. Jak niewiele różnic jest między nim a poetą. Jeden stwarza obrazy światłem, drugi stwarza je słowem pisanym. Obydwoje są powiernikami mocy twórczej, czyli są tymi, których można nazwać *na obraz i podobieństwo*.

Następne zagadnienie, które chcę poruszyć, jest z dziedziny autora *Dziejów świecy* Michaela Faradaya, który ma swoją ulicę w naszym mieście. Ta zaprowadzi przechodniów na owiany prastarą sławą rynek im. Narutowicza, gdzie w dobrym (!) czasie można było podobno kupić nawet karabin AK47!

Fotografia, jak już wiemy, jest próbą uchwycenia gry światła na danej płaszczyźnie. A czym jest światło? Za definicją naukową – jest widzialną częścią promieniowania elektromagnetycznego. Czyli istnieje również część niewidzialna?

„Przykłady wskazujące, że światłem należy nazywać szerszy zakres promieniowania, niż tylko światło widzialne:

- wiele substancji barwiących płowieje nie tylko od kontaktu ze światłem widzialnym, ale i bliskim ultrafioletem pochodzącym ze Słońca;
- rozszczepiając, za pomocą pryzmatu, światło emitowane przez rozgrzane ciała, można zaobserwować wzrost temperatury, przesuwając termometr wzdłuż uzyskanych barw widmowych, wzrost ten jest mierzalny także dalej, w niewidocznej części widma, która jest również załamywana przez ten pryzmat.

Tak więc można mówić o *świecie widzialnym* i *świecie niewidzialnym*”.

Czy jeśli czegoś nie widać, świadczy to o jego nieistnieniu? Można mówić o intelektualnej niewierze, ale i w fizyce jest miejsce na prawdę.

Kolejnym przystankiem na naszej wyprawie po obrzeżach foto-poezji będzie pasja i namiętność. Konia z rzędem temu, kto nie dostrzeże namiętności w muzyce Chopina, Czajkowskiego, czy w tekstach Rilkego albo Wysockiego. Jednak nie wszystko złoto, co się świeci. Czy w obecnych czasach, różnych propagand, niskiej moralności społeczeństw, upadku wartości, po namiętności można doszukać się cząstek Absolutu? Czy raczej to dążenie kojarzone z purytaninem modlącym się na placu świętego Piotra w Rzymie, samotnego w deszczu? Nic bardziej mylnego. Pośród tekstów biblijnych znajdujemy mnóstwo poetyckich obrazów i scen namiętnej i porywającej

miłości w otoczce wojen, wędrówek, erotyków, intryg, zaskakujących zwrotów akcji. Różni się tylko para kochanków.

Najprostszym i wręcz szkolnym przykładem niech będzie choćby *Pieśń nad pieśniami* czy historia Jonasza.

Tak samo w fotografii, można dążyć do ukazania harmonii i porządku, ale można też przedstawić dramat, walki żywiołów. Wystarczy w pierwszym przykładzie sfotografować kwiat albo bezchmurne niebo, w drugim stado koni albo morze.

Wobec powyższych refleksji chciałem przedstawić pewne ćwiczenie wykonane w celu ukazania zależności pomiędzy poezją a fotografią. Zdjęcie i do niego, jako uzupełnienie – nie, lepszym słowem będzie **dopełnienie** – poetycki tekst. Eksperyment pozostawiam bez komentarza, abys Ty, czytelniku, mógł sam na sam zatrzymać się nad tymi dziedzinami sztuki, które tak dobrze mogą ze sobą współpracować.

rozmawiam z dzieckiem, stoję na brzegu
dociera do mnie świadomość, że jednak dziecko
przede mną stoi i ze mną rozmawia.
mówi:

spójrz, jakie miałeś szczęście chłonać mądrość
płynącą z przyrody
patrzyłeś jak wiatr unosi ziarna dmuchawca, jak
słońce włóczył
przebija biały puch i nakłuwa ziemię
jak wysokie szuwary zatajają sekret jeziora, do
którego musiałeś
dotrzeć suchą stopą
i woda, w której mogłeś schować się przed
chmarami komarów i much.

ziemia była dla ciebie łaskawa, brała cię w dłoń
i utulała
cykadami szepcząc pieśń nocy, szumem wiatru
w zbożu
byłeś bezpieczny jak zarodek

teraz przeskoczyłeś na drugi brzeg
sroga mimika mówi za ciebie
jak nieraz musiało być dziko
myślałeś, że znasz obroty ziemi
wspomnienia jednak są

jesteś zaskoczonym dzieckiem które nagle na
skórze poczuło
chłodne krople deszczu pośrodku letniego
popołudnia.



Bulhak mógł przecież wiedzieć, jak kruk jest życie, jak łatwo mogą zniknąć efekty naszych dążeń i starań. Jednak pasja kierowała jego planami. Jak fotografia i poezja są pokrewne, wiedział najlepiej, sam bowiem pisał wiersze.

*I wśród świata ogromu
Wędrówki mej końca nie będzie,
Bo chociaż nie mam już domu,
Mój dom - jest wszędzie.*

Foto-poezja jest dobrym narzędziem dla artysty. Pozwala mu wyrazić pełnię. Jego samego, w swojej naturze ludzkiej. Rzeczy nieopisywalne przedstawić wizualnie, by czytelnik mógł nie tylko wchodzić w głębię tekstu, ale i podjąć kontemplację nad obrazem widzialnym. Kto wie, może i osiągnąć zachwyt nad dziełem artystycznym jako całości twórczej.

Jest jedną z wielu możliwości kreatywnego łączenia dziedzin sztuki ku lepszym efektom ekspresji. Bliższa o ten jeden zmysł do osiągnięcia parnasu.

Już niedługo, już niedługo tak będzie. By słowo stało się ciałem...

Maciej Skalik

Agnieszka Złota

POETYCKIE STUDIUM NAŁOGU – RÓŻNE KONSTELACJE MIŁOŚCI W TOMIKU ROBERTA JABŁOŃSKIEGO „SERCE”

*Niepodobna dwa razy zanurzyć twarzy w tym samym śniegu.
Niepodobna, a może, do stu tysięcy diablów podobna.*
(J. Pilch, *Pod Mocnym Aniołem*)

Cóż, wszystko się zmienia. I drogi i podróżni.
(W. Ślupczuk, *Kobieta ze śniegu*)

/Ktoś rzeźbi dla siebie kobietę z kamienia, ktoś struga z drewna, a ja ponieważ nie jestem obciążony ani doświadczeniem, ani zdolnościami, z dziecięcą naiwnością postanowiłem ulepić dla siebie kobietę ze śniegu(...)/¹. Można by, idąc niniejszym tropem, postawić pytanie, z jakiego surowca wytworzył poeta swój obraz kobiety? Równie ryzykowna okazuje się odpowiedź – z surowca pamięci. Bynajmniej nie jest to jedyna prawdopodobna, mająca umocowanie w tekście, odpowiedź. Niemniej wierszom zamieszczonym w zbiorze poetyckim *Serce* przyświeca, mam wrażenie, idea artystowskiego postrzegania rzeczywistości, wyrażona w intuicji, że autor ceni obiekt swoich uczuć jako esteta, człowiek sztuki. Nie jest to jednak estetyzm w duchu Wilde’a, lecz estetyzm zaangażowany, wyrażony w predylekcji do gotowości poświęcenia miłości własnej dla kochanej kobiety. Zapewne autor zbioru zgodziłby się, jak można się domyślać, ze stwierdzeniem Wasyła Ślupczuka o tym, że /kobieta powinna być dla mężczyzny Laurą/², dodajmy Laurą w duchu oświeceniowego sentymentalizmu, uznającego serce za najpewniejsze narzędzie poznawcze człowieka, czy też romantyzmu, głoszącego kult uczucia. Nieprzypadkowo

taki tytuł nosi poddany refleksji krytycznej zbiór wierszy.

Tomik poetycki Roberta Jabłońskiego, choć skromny rozmiarami, staje się nośnikiem potężnej idei, która emanuje poprzez formę poszczególnych tekstów wierszy. Trudno wyznaczyć linię demarkacyjną między podmiotem lirycznym a autorem, podobnie jak nieuchwytna staje się diagnoza stanów odcuciowo-mentalnych, które z uporem kronikarza precyzyjnie rejestruje. Jest w owej procedurze konsekwentny i twórczy zarazem, czego stajemy się mimowolnie świadkami. Podmiot liryczny autonomizuje się, jest w tym ujęciu świadomą i przemyślaną konstrukcją, którą poeta konsekwentnie realizuje. Ową formą jest dialog z własnym wnętrzem. Można zaryzykować stwierdzenie, że jest to książka pisana „dla siebie”, choć adresatka nie pozostaje bynajmniej w ukryciu. W tej perspektywie tomik Roberta Jabłońskiego stanowi poetycki zapis doświadczenia samotności, które funkcjonuje na antypodach rozpacz i heroicznego optymizmu.

Podskórnie pojawia się przemyślenie, obawa, że /Ci, których kochamy, nie kochają nas albo, że nie kochają nas tak jak się spodziewamy/. W konsekwencji /miłość pozostawia uczucie próżni, oczekiwania nie spełniają się a pragnieniami kierują złudzenia. Pozostaje zakłopotanie, że cudze i własne słowa tracą na ważności/.

Z pozoru wiersze te wydają się rozgadany, ale zwiertzywszy zamysł autora, można stwierdzić, że formy przekazu autonomizują swoje możliwości, rozpraszają się w wielu kierunkach jednocześnie. Ich uchwytność staje się pozorem, elementem gry z czytelnikiem, który gubi się w domysłach. Podmiot liryczny poddaje analizie doświadczenie miłości „na własnej skórze”, przedstawiając historię ewolucji stanów uczuciowo-mentalnych przypominającą barwny wachlarz poetyckich impresji. Uczucie poddane zostaje próbie czasu, którego nie ma tak naprawdę, gdyż stał się głębokością nie odcinkiem.

¹ W. Ślupczuk, *Kobieta ze śniegu*, s.8.

² Tamże, s. 38.

Istotnym rysem tych wierszy jest konfrontacja marzeń z rzeczywistością, której towarzyszy wątpliwość-pytanie /czy ktoś z nas rozumie co robi? gdyby tak było czy nie postępowalibyśmy inaczej?/. Dość naiwne a jednak jedno z tych pytań, które poprzez swą prostotę sprawiają, że trudno na nie odpowiedzieć prawdziwie, nie popadając w zakłopotanie pozorem prawdy.

Podmiot liryczny podejmuje grę z czytelnikiem, bawi się słowami, tworzy z nich asocjacyjno-żartobliwe układanki. Ciekawa strategia opisu pojawia się w wierszu *Zamknij się!*. Przypomina ona barkowy konceptyzm w XXI-wiecznej odsłonie. Na uwagę zasługują metafory /wyglądam na horyzont już kolejnego lata/ (*Pomóż nadziei*) /klika tylko czas widnokrąg przerwany/ (*Rozstanie*) czy /a słowa okalają moje organy/ (*Rybka*). Z kolei zwroty deklaratywne odsyłają do romantycznych wyobrażeń o miłości, podobnie jak przywołane w jednym z wierszy *Królestwo miłości*, o którym podmiot liryczny stwierdzi, że je poznał. /Chcę/ żeby była porannym promieniem, który codziennie wpada do mojego serca/. Interesującą strategią jest przeniesienie funkcji z dziedziny uczuć do świata przedmiotów materialnych /złamane pióro kleks zalany na papierze jak rana w sercu/ albo /jestem słaby w każdej chwili mogę się załamać stalówka.../. Każdorazowo jednak zmiana optyki z zewnętrznej na wewnętrzną wiąże się z próbami diagnozy introspekcyjnych praw zgodnie z zasadą /kiedy trwasz w czymś nie widzisz siebie z zewnątrz/.

W wierszach Roberta Jabłońskiego uczucie miłości nie odbiega zasadniczo od tradycyjnych wyobrażeń. Niemniej autor zbioru poprzez swoisty zanik komplikacji formalnej zyskuje na autentyczności i szczerości przekazu. Są to zalety zbioru warte podkreślenia. Miłość tworzy w tej poezji konstelacje, których wspólną cechą jest podskórna ambiwalencja. Szczerość przekazu poddaje opisywane tworzywo uniezwykleniu /ja czekałem zawsze na przystani /.../ czekałem też całe

wieki żeby powróciła ta sama w tej samej osobie/. Podmiot liryczny nie obawia się śmieszności, zważywszy, że motyw odsyła do wyobrażenia mitologicznej sceny ilustrującej Penelopę oczekującą powrotu Odysa. Autor zamienia i tym razem role, to on jest tym, który czeka... a nawet cały jest czekaniem. /Może te lata wypierane przez burty pędzącego żaglowca, przyniosły ja znowu do mnie a może sprzyjający wiatr wcisnął mi ją znowu w ramiona/. Dostrzec można w tym ujęciu wiarę w przeznaczenie, pozwalającą upatrywać szczęśliwej finalizacji uczucia w interwencji żywiołów jako ponadnaturalnego czynnika sprawczego kierującego losem ludzkim.

Najistotniejszymi rysami uczucia, jakim jest miłość, są jego antynomiczność i ulotność. Objawiają się one poprzez dynamikę mechanizmu uczucia porównaną do latawca /serce jak latawiec/. Tym, co dynamizuje uczucie, jest puls, siła przeżyć zostaje porównana do siły wiatru a sznureczki do zastawek. Poddanie się żywiołowi wiatru sugeruje oddanie się w wiarę uczucia, bez względu na niebezpieczeństwa i ślepy los. Motyw serca pojawia się również w wierszu *San Marino*, gdzie pada dość nieoczekiwana konstatacja /miasto jak moje serce żywe a jednak sam beton/ lub tożsame /puls uderza jak młot /.../ choć nie pulsuje/ bo to nie serce choć czerwone/ (*Serce psa kowala*). Pojawiają się tutaj próby abstrahowania poprzez wskazanie braku właściwości pozwalających właściwie nazywać desygnaty. Stają się one w tej perspektywie pozbawionymi tożsamości, poprzez wyzbycie się cech osobniczych.

/Miałem tego dosyć tej miłości, która we mnie siedziała choć nie było dnia żebym o niej nie myślał/. Refleksje podobnej proveniencji były dla podmiotu lirycznego niczym talizman, pozwalający ocalić to, co wartościowe. Diagnoza zdaje się być oczywista, miłość staje się nałogiem, osobliwym uzależnieniem, które wskazuje kierunek oczekiwań i dążeń. Nałogiem staje się przywoływanie wspomnień,

aktualizowanie bólu nieobecności. Podmiot liryczny mógłby powiedzieć o sobie – im więcej myślę, tym więcej odczuwam. Miłość jako „napój życia”, powodujący „zamroczenie” podobne do alkoholowego, odsyła do równoległego mechanizmu, o którym pisał Dostojewski /im więcej piję tym więcej odczuwam, właśnie dlatego piję że w trunku tym szukam współczucia i serca/. Tym, co łączy te dwa wyobrażenia nalogu, jest logika, jaką rządzi ich specyficzny mechanizm. Chodzi bowiem o to, jakby powiedział M. de Montaigne, aby /rozciągnąć przyjemność poza pragnienie/. Picie i aktualizowane w wierszu uczucie bólu wywołanego uczuciem braku będą rządziły się podobną logiką wzajemnego wynikania.

Miłość objawia się w tej poezji niczym mistyczny płyn ustrojowy o naturze limfy, krążący w równoległym do biologicznego krwioobiegu. Podmiot liryczny stwierdza /drażyla moje żyły i przemykała się pomiędzy tkankami/ (*Dajcie mi lekarstwo*). Chęć wyizolowania bólu staje się korelatem chęci wyodrębnienia uczucia celem poddania go głębszej analizie. Pada pytanie o zasadność? cel? Pozostaje jednak bez odpowiedzi, zawieszona w próżni dyskursu.

Przesłanie poezji Roberta Jabłońskiego jest czytelne i przystępne. Autor nie stosuje kamuflażu uczuciowego a znakiem firmowym podejmowanych każdorazowo refleksji jest szczerość i nieklamany autentyzm. Poeta zwierza się ze swych myśli, obsesji, niepewności, marzeń i tęsknot. Każde zdanie poświadczane jest przeżyciem, a odczucie chwili staje się jego rewersem. Jest to książka złożona z prostych słów, które wzruszają i ujmują czytelnika, zaś tym, co go bawi, jest dowcip i zabawa słowem jako istotne rysy tej poezji.

Ważnym motywem tematycznym zbioru jest przeżycie estetyczne miłości o platońskiej proveniencji powinowactwa duchowego. Nacisk położony jest na intelektualno-emocjonalny przekaz. Brak tutaj brutalizacji i turpizmu, tak popularnych w najnowszej poezji, nadmiernej egzaltacji i ironii, choć

pojawiają się figury żartu poetyckiego. Brak również erotyki, choć przekaz jest esencjonalny z uwagi na naoczną przeżycia, intelektualnego uczestnictwa w duchowym odczuciu. Piękno wywołuje wzruszenie, zachwyt estety-platonika bardziej nad samą kategorią niż jego zmysłowym ekwiwalentem. Zbyt mocne jest przekonanie podmiotu lirycznego o osiągniętym ideale, żeby go skazać „obmierzlą materialnością”. Poprzez miłość staje się ów ideał wartością humanizującą życie, odsyłającą do etycznego wymiaru egzystencji. Pojawia się tym samym predylekcja do poezji refleksyjnej.

Myślą przewodnią zbioru poetyckiego staje się pytanie /czy przetrwam tę szaleńczą próbę człowieczą?/ (*Statkiem w przestworzach*). Choć pojawiają się wątpliwości, jest szansa /w mojej głowie wylania się jakiś porządek a może ujrzałem drogę ujrzałem ją znowu jak ten statek wypatrywany przez kogoś z utęsknieniem/. Mało tego, podmiotowi lirycznemu przyświeca podobne przekonanie, co bohaterowi powieści *Pod Mocnym Aniołem*, wyraża się ono w stwierdzeniu /chcę napisać rzecz najtrudniejszą (...) Historię człowieka, który się podnosi, nabiera sił i z ryzykownej metafory wielkiej wojny, wychodzi cało i zwycięsko. Chcę dać literaturę, która wyzwala ze słabości/. Jak się okazuje, dowodem na to staje się owa książeczka. Podmiot liryczny przetrwał próbę, gdyż ocaliło go uczucie, które paradoksalnie stało się jego „używką”, w którym rozsmakował się na tyle, aby je „przedawkować”, znaleźć na krawędzi... parafrazując Jerzego Pilcha. Może w jego zachowaniu było mało rozsądku, a jeżeli był w tym jakiś sens, to płynący jedynie z jego obecności, niemniej pamiętać należy, że rzeczywistość to jeszcze nie jest prawda. Tak jest i tym razem.

Zatem jeśli kobieta jest dowodem na istnienie Boga (jak mawiają niektórzy literaci), to niniejszy tomik jest dowodem na to, że to książki nas wybierają, a my w zamian ofiarujemy im swój czas i siebie...

Agnieszka Złota

Michał Wilk

MIĘDZY ŚWIATAMI, CZYLI POETYCKI BRIC-À-BRAC AGNIESZKI ZŁOTEJ

W myśl Oscara Wilde’a, który stwierdził, że jeśli dzieło sztuki jest łatwe do zrozumienia, to jego wyjaśnienie jest niepotrzebne, warto zastanowić się nad recepcją najnowszego tomiku Agnieszki Złotej *Studium filozofii upadku*, tym bardziej, że autorka jest bez wątpienia poetką poszukującą, zadającą wiele pytań, lecz na niewiele otrzymującą odpowiedź.

Studium można porównać do małego egzystencjalnego traktatu filozoficznego, bo to, że Złota jest filozofem oraz poetką egzystencjalną, nie ulega wątpliwości. Gdyby postawić w jej przypadku na szali poezję i filozofię, otrzymalibyśmy równowagę niemal zupełną, bowiem widać jednak, że w twórczości delikatnie przeważa poezja. To z pewnością dlatego, że nie tylko można, przytaczając tytuł recenzji Ryszarda Miszczyńskiego, „pisać poezję w czasach, w których wiele tradycyjnych hipotez jest zbyt technicznych”¹, ale przede wszystkim trzeba, a jak stwierdziła sama autorka, trzeba pisać w czasach „technotyranii”, zwłaszcza, gdy myśl (filozofia), słowo (poezja) i metafizyka zdają się przebrzmiałymi terminami. Należy brać odpowiedzialność za słowa i za to co się pisze (lub mówi), należy krystalizować i precyzować. I to pragnienie właśnie, doszukiwania się i poetyckiej peregrynacji, jest u Złotej bardzo widoczne.

Jak już wspomniano, autorka *Studium* jest poetką poszukującą, dlatego podmiot jej wierszy również szuka, drażni, dopytuje i można

stwierdzić, że obraca wszystkie rzeczy i idee, by przyjrzeć się im z każdej strony, dokładnie zbadać i wiedzieć, co tylko możliwe. W takim podejściu Złota zdradza swoje inspiracje takim poetą jak Miron Białoszewski, który jest autorem tomu *Obroty rzeczy* (choć autorce daleko do jego lingwinizmu), ale przede wszystkim chodzi o Zbigniewa Herberta, który w 1961 roku wydał *Studium przedmiotu*.

Nie bez powodu też komentatorzy zwracają uwagę na tożsamość poetycką Złotej z Herbertem. Ponadto wymienia się Rilkego, choć można ten zbiór uzupełnić jeszcze o inne nazwiska, takie jak Rafał Wojaczek, Stanisław Barańczak, Ewa Lipska, a na pewno Bronisława Ostrowska (inspiracja tą autorką pojawia się zwłaszcza w wierszu *Wiosna*). Można nawet zaryzykować, że Złotej blisko też do schulzowskiej poetyki poszukiwania pewnego źródła (mitu), z którego wypływałaby Prawda (*Sens*).

Wracając jednak do Herberta, paralela w tytule jest niewątpliwa; do tego w tomie pojawia się wiersz o znamienym tytule *Cogito*. Złota podejmuje więc próbę uchwycenia myśli i sensu, dostrzega bowiem panujący kryzys umysłowy („upadek pewnej idei”), obejmujący niemożność wyrażenia myśli w sposób porosty i jasny. Złota stara się „sprecyzować”, „utopić w łyżce zachwyty / kroplę esencji cogito”².

Nie bez powodu zarówno pojedyncze teksty, jak i cały zbiór, mają charakter otwarty. W swoisty sposób kontynuuje także problemy pojawiające się w debiutanckim tomiku *Rachunek sumienia*, gdzie pojawiły się takie teksty jak *Prawdziwość rzeczy*, *W poszukiwaniu istoty rzeczy*, *Zagadka o istnieniu czy Nie rozumiem wszystkiego...*, ograniczając się do paru tytułów. *Studium* cechuje więc dialogiczność, a nawet procesualność (powtarzalność) pojawiających się tam spostrzeżeń. Nic nie jest do końca pewne, nic nie jest skończone, dopowiedziane. Podróż w głąb ukrytych znaczeń trwa i trwać będzie, bo

1 R. Miszczyński, *Czy można pisać poezję w czasach, w których wiele tradycyjnych hipotez jest zbyt technicznych?*, [w:] A. Złota, *Studium filozofii upadku*, Częstochowa 2012, s. 74.

2 A. Złota, *Studium filozofii upadku*, Częstochowa 2012, s. 16. Dalsze cytaty wierszy Złotej pochodzą z tego wydania.

bez tego nie byłoby pytań, a co za tym idzie również poezji. Nie dziwi więc pojawiająca się pozorność, niedoskonałość poznania, jak chociażby w wierszach *** *pióropusze cieni* czy też *Projekcja pewnego zbioru przedmiotów*.

Jednak o co pyta Złota, jakich odpowiedzi szuka? Przyglądając się bliżej jej wierszom, zobaczymy, jak na plan pierwszy wysuwają się pytania egzystencjalne, dotyczące nie tyle samego człowieka, ile jego pozycji w świecie (a nawet we wszechświecie), dotyczące również śmierci, przemijania wszystkiego, co istnieje. Obok tego można jeszcze wymienić takie słowa-klucze jak czas, przestrzeń, kosmos, noc, lustro, które układają się w jedno i tłumaczące wszystko: metafizyka.

Metafizyka jest obecna w twórczości Złotej nie tylko za sprawą pojawiających się weń zagadnień filozoficznych, religijnych, egzystencjalnych, ale przede wszystkim za sprawą obecności pierwiastka kosmicznego, owego wszechświata, obejmującego sobą wszystko, co nosi w sobie płomień istności (*sit venia verbo*), nawet przedmioty, które zdają się nieożywione, jak chociażby w wierszu *Rozważania o metafizyce przestrzeni*. Z takim podejściem Złota zdradza niejako pogląd na świat, w którym każda rzecz jest emanacją boskiej siły stwórczej i jest w tym być może pewna inspiracja wierzeniami i filozofią Wschodu.

Skoro już wywołany został powyższy tytuł wiersza, należy zwrócić uwagę na trzy podstawowe pojęcia, które są silnie eksponowane w *Studium*. Mowa o Wszechświecie i Przestrzeni, do których możemy dodać Czas i otrzymamy kontinuum czasoprzestrzenne, którego koncepcja mniej lub więcej pojawia się między wersami Złotej.

Autorka nierzadko maksymalizuje przestrzeń. Pokój staje się Wszechświatem i *vice versa*. Dzięki temu sprawy codzienne i powszednie urastają do rangi kosmicznych wydarzeń, obok których nie można przejść obok. Z drugiej jednak strony Złota pokazuje, że w skali Wszechświata zwykle wydarzenia, takie jak śmierć, nie są niczym szczególnym. Co warto podkreślić, śmierć w *Studium*

jest czymś, co się zdarza, po prostu, bez większego rozgłosu i zapowiedzi (*Smuga cienia, *** umiera się zwykle, *** w pewnym wieku*). Z kolei przedmioty codziennego użytku, m.in. krzesło, lustro, książki, kwiaty funkcjonują jak relikty przeszłego świata i minionych wieków (*Rozważania o metafizyce przestrzeni*), podobnie jak u Prousta czy nawet wspomnianego już Schulza, który ponadto mityzował rzeczywistość. Sięgając jednak bliżej, można wskazać na Konrada Ludwickiego i jego miniaturę *Stół*, pochodzącą ze zbioru *Ściana i inne miniatury*.

Żyjemy w świecie, w którym niemal wszystko domaga się uwagi. Wszystko i wszyscy chcą być zauważeni, spostrzeżeni, zbadani. Dlatego Złota dokonuje swoistego zawieszenia lub spowolnienia czasu, jak chociażby w tytułowym wierszu *Studium filozofii upadku pewnej idei*, gdzie północ, godzina *nomen omen* poetów, daje autorce możliwość prowadzenia rozmyślań nad ideą „która zmiażdżona życiem dogorywa”. Otwiera to bramę, za którą ciągnie się droga ku drzewu poznania. I tym sposobem widzimy, jak „owoc przemyśleń” (*Mini traktat o pomarańczy*) upada, „rozpoczyna samodzielny byt”. Dopiero wtedy może przyjść pora na konstatację i „twarde pestki wniosków”, bez których całe *studium* filozofii nie miałyby większego sensu.

Czyżby Złota chciała przez to powiedzieć, że dopiero wówczas gdy coś poznany, gdy dotrzemy do owego tajemnego znaczenia, to musimy być świadkami upadku i degradacji? Że odkrywając kolejne warstwy przebrzmiałych sensów, odsłonimy Prawdę, która przyniesie twarde (bolesne?) wnioski o świecie i o nas samych? Że to, co gotowe, niszczeje? Wielce prawdopodobne, choć tak naprawdę – o czym była mowa na początku – autorka nie udziela całkowitej i ostatecznej odpowiedzi. W każdym razie droga prowadząca do poznania nie jest prosta i przyjemna.

Złota stawia sobie również pytania o kondycję i pozycję człowieka we współczesnym świecie, który okazuje się „pogrążony w spoielalej przestrzeni / konsumpcyjnej rzeczy-

wistości” (*De profundis*), a więc jest mało przyjaznym miejscem. Dlatego recepcja też nie jest zbyt entuzjastyczna i pochlebna: człowiek „obdarzony pseudorozumem / [...] bezduszny wobec bliźniego” (*Ecce homo*), „wątły, niebaczny – śniący o wszechświecie” (***) *śniący o wszechświecie*) jest „właściwie tylko desygna-tem nazwy” (*Projekcja pewnego zbioru przedmiotów*), który „zauważonym być musi” (*Statystyki wzruszeń*), a gdy umiera, umiera tak naprawdę jedynie „najdoskonalsza z małp / - człowiek” (*Przyjaciel gatunku homo sapiens*). W *Studium* śmierć człowieka, jak już wspomniano wcześniej, zdarza się i nie stanowi wydarzenia o szczególnym znaczeniu. Zjawia się mimochodem, niepostrzeżenie i nawet jej „odmawia się zdziwienia” (***) *w pewnym wieku*). Nie zaskakuje więc, że Złota więcej miejsca poświęca na uchwycenie obumierania innych istot żywych, takich jak chociażby róże (*Ars moriendi na przykładzie życiorysu pewnego zbioru róż*)³, czy szerzej rzecz ujmując, na rozważania na temat świata roślin, w takich utworach jak: *Konwalie* (jest to bodaj najbardziej optymistyczny wiersz w tym zbiorze), *Mini traktat o pomarańczy*, *Studium liścia* – czy również na temat świata zwierząt: *Mój przyjaciel*, *Przyjaciel gatunku homo sapiens*. Stąd biorą się pytania o moralność i pozycję człowieka. Nie ma bowiem pewności – a przynajmniej takowej nie daje nam autorka – czy człowiek zamyka hierarchię wszystkich stworzeń na Ziemi. Tym samym *Studium* podważa jakoby tezę, iż stanowimy ostatnie ogniwo ewolucji, tym bardziej ogniwo najdoskonalsze i najlepsze.

Wątpliwość taka rodzi pewien wewnętrzny dysonans, dysharmonię oraz doprowadza w efekcie do „przewartościowania wartości” i bólu egzystencjalnego, który u Złotej pojawia się dość często, a obejmuje sobą przede wszystkim pojęcie dualizmu i rozdziału świata na dwie części (*Dwie przestrzenie*). W *Studium* zarysowują się więc następujące płaszczyzny: jedna dotyczy w ogólnym ujęciu Natury (fauna, flora, przedmioty nieożywione), a druga

dotyczy Człowieka, i to właściwie z tą płaszczyzną związany jest, jak się potem dowiadujemy, „upadek pewnej idei”.

Podmiot liryczny u Złotej jest w wyniku tego podmiotem liminalnym, szukającym przejścia między dwoma światami, wymiarami (na pozór tylko dotyczącymi zwykłego czasu i przestrzeni), między tym, co krótkotrwałe, ulotne, śmiertelne, a tym, co wieczne, trwałe i nieśmiertelne, między tym, co fizyczne (materialne) a metafizyczne (duchowe)⁴, ziemskie a kosmiczne. Dlatego można nazwać go podmiotem „między”, wahającym się lub też nie potrafiącym znaleźć odpowiedniej bramy do rzeczywistości, która byłaby odpowiednia. Autorka zresztą pisze, że „Najlepiej pisze się / między czwartą a piątą / między sufitem a podłogą / między oknem a lustrem” (***) *między oknem a lustrem*). Ale musi być jakaś trzecia siła, scalająca odległe bieguny i nadająca zarówno światu, jak i życiu sens, mogąca pomieścić w sobie te dwie przestrzenie. Wydaje się, że u Złotej tą siłą jest Kosmos (Bóg⁵), „przestrzeń obdarzona nieskończoną możliwością / bezmiar tego, co niepoznawalne” (*Kosmos*). Nie bez powodu Wszechświat jest więc jednym ze słów-kluczy tego tomu.

Wszechświat nieskończonych potencjalności jest ponadto odczuwającą Istotą (*Konwalie*, *Rozważania o metafizyce przestrzeni*), dającą życie (*Konwalie*) i będącą składnikiem egzystencji (*Ecce homo*), jest również obrazem doskonałości i harmonią sfer (*Mój przyjaciel*), beztrojskim snem o błogostanie (***) *śniący o wszech-*

4 Jak zauważył w słowie wstępnym Artur Żywiołek, między *physis* a *logos*.

5 I choć w *Ecce homo* padają słowa: „świat w którym nie ma Boga”, to trudno upatrywać w tym jakiegokolwiek konstatacji, poza pesymistycznym stwierdzeniem, że to ludzie tak naprawdę pozbyli się człowieka ze swojego świata („dzieła zniszczenia”), uśmiercili Go (jeśli można tak powiedzieć), dlatego może pojawić się stwierdzenie, że nie istnieje, co wcale nie oznacza, że brak u Złotej jakiegokolwiek eschatologicznej i metafizycznej nadziei. Z całą pewnością pierwiastek religijny (chrześcijański) jest obecny, chociażby w wierszu *** *Wiosna*.

3 *Notabene* śmierć otwiera i zamyka tomik, tworząc tym samym intrygującą klamrę.

świecie), nieograniczonym niczym bogactwem wyobraźni (***) *skupiam swoje myśli* lub czymś niezwykle ważnym (*Statystyki wzruszeń*).

Warto jednak powrócić jeszcze do tytułowego zagadnienia tomiku *Złotej*, a więc do upadku. I od razu trzeba sobie zadać pytanie, czy ten upadek rzeczywiście związany jest z kryzysem umysłowym (niemożnością formułowania obiektywnych wniosków i sądów), granicą poznania (czy na pewno po dotarciu do sedna nie pozostaje już nic?) lub istnieniem człowieka (który jako wypaczona istota skłonna jest bardziej do niszczenia niż budowania)? Chciałoby się powiedzieć w tym miejscu za Jackiem Kaczmarskim, który w *Piosence napisanej mimochodem* śpiewa: „Słowo wpada w morze słów, jak kamień w wodę, / Krążek myśli pozostawi, brnąć na dno”⁶, wskazując tym samym na ulotny i niezauważalny (bo istniejący mimochodem) charakter procesu myślowego. Czy zatem *Złota* także odczuwa beznadziejność i nikłość wypowiedania, pisanie słów, które prędzej czy później zmieniają się w zmurszałe idee, przeznaczone jedynie do upadku? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, w każdym razie jeśli „Warkocz upleciony / z prawdy, dobra i piękna / przewiązany kokardą sprawiedliwości [...] // upadł w czas / a świat [...] / odpowiedział [...] / sprzecznością na sprzeczność” (*De profundis*), to z całą pewnością „de profundis clamavi [...] nadaremnie”.

Obok tego problemu pojawia się również rozrachunek z historią (*De profundis*) czy też z nieprzyjemną terażniejszością (*Industrialne pejzaże*). *Złota* dostrzega niedoskonałość tego świata, jego konsumpcyjną i komercyjną stronę, tę warstwę bezwartościowych postaw i zachowań, które kładą cięń na ludzką społeczność. Być może więc właśnie to dotyczy owego „upadku pewnej idei”. Bo gdy świat zwierząt i roślin wydaje się doskonalszy od ludzkiego, kiedy Natura góruje nad Cywilizacją, to czy można mówić o świetności gatunku *homo* nazwanego *sapiens*? Człowiek jest

słaby, skłonny do niweczenia i dewaluacji, z kolei kwiaty są „krystalicznie doskonale w swej skromności” (*Konwalie*), pies „nosi nad głową aureolę” (*Mój przyjaciel*), rozbrzmiewa do tego „mistyczny śpiew skowronków” (*Sen nocy letniej*).

Jedynie, co w człowieku może być dobre, to umiejętność myślenia i szukania, ciągłego stawiania na rozdrożu i podejmowania decyzji, jak chociażby w tekstach *Cogito*, *Studium filozofii upadku pewnej idei*, *Anamnesis*, *** *na balkonach wątpliwości*, *** *podnoszę się z niebytu*, *** *skupiam swoje myśli* i wielu innych. Trudno jednak ostatecznie stwierdzić, by *Złota* dawała temu całkowity wyraz. Przede wszystkim dlatego, że *Studium*, jak zauważono wcześniej, jest dziełem otwartym, nieskończonym. Wciąż istnieje możliwość do zadawania pytań i oczekiwania odpowiedzi, błędzenia i wracania na właściwą ścieżkę, tym bardziej, że „W głowie natłok myśli / pod pokrywą czaszki / daleki od spokoju stoika” (***) *w głowie natłok myśli*). Nie ma tu zatem skutecznej recepty i kategorycznego stwierdzenia. Nadal znajdujemy się, jako odbiorcy tych wierszy i ludzie w ogóle, w zagrożeniu powracającej niepewności i nieokreśloności.

Jedynie, czego możemy być pewni, to fakt, że *Złota* posługuje się obserwacjami wnikliwymi, sprawdzonymi. Już w samym tytule tomu daje wyraz podejściu, który charakteryzować będzie jej sposób analizy wszystkich zagadnień. Dokonując studium, autorka rozkłada na czynniki pierwsze wszystko i wszystkich, z pełną precyzją i pieczołowitością, obserwując każdy, nawet najdrobniejszy element ze wszystkich stron. Bierze pod swoje poetyckie oko wycinki rzeczywistości, dla których pod wyczelowaną metaforą znajduje pełny wyraz i sens. Wydawać by się mogło, że nic nie umknie spostrzegawczości *Złotej*.

Jednak język, nawet najdoskonalszy, nie będzie w stanie nigdy oddać rzeczywistości takiej, jaką jest naprawdę. Żyjemy w świecie absurdu, jak powiada *Złota*, w świecie, w którym „prawda stanowi zaledwie / przyczynek do przydługich rozpraw / z dziedziny etyki

6 Kaczmarski Jacek, *Antologia poezji*, red. Krzysztof Nowak, Warszawa 2012, s. 677.

/ płowiejącej nijakością codzienności” (*Eudajmonia*) i trudno stwierdzić czy warto „nie podcinać skrzydel słowom” (***) *między oknem a lustrem*). Czasem cisza i brak słów wyrazić może więcej niż niejedno specjalistyczne pojęcie, niż termin naukowy i wiele jego synonimów. Na całe szczęście u Złotej jest miejsce i na tę „pajęczynę / ciszy i snu” (*Sen nocy letniej*), na brak dopowiedzeń i kategorycznych sądów. Co nie oznacza, że autorka stroni od trudnych i specjalistycznych wyrazów. Jako filozof, z zacięciem przyrodoznawcy posługuje się nierzadko, jak to trafnie określił w komentarzu Konrad Ludwicki, „figurami [...] nieco egzaltowanymi [...] czy znowu trywialnymi”⁷, które nierzadko stają się słowną wołyżerką, jak chociażby w *Studium liścia*, gdzie czytamy: „Płaski zielonością / ubrany w palczasty kontur / pięciu części pentagram / gwiezdna struktura odrębnych fragmentacji” i nieco dalej: „pod skórka kanały przewodzące / tworzą system irygacyjny mikrowłókien / intrygującej architektury / akwedukty miękiszu” lub w wierszu *Osobowość rozpadającego się indywiduum*, który w całości jest świetnym przykładem, ograniczyć się jednak można tylko do wersów: „poddana korozji uczuć / afektywnej teorii upadku ja / zbyt duże napięcie mięśni i neuronów”. Apogeum Złota osiąga w *Bric-à-brac po mojemu...*, które „świeci fenomenami przeszłych eksperiencji”, gdzie przedmioty „cum tempore przestały wołać de profundis” a „powszechne damnatio memoriae / stało się bonae fides mojego przekonania”.

Język wydaje się eklektyczny i jakby nie przystający do tego typu poezji, jednak trzeba wziąć pod uwagę, że są to słowa osoby poszukującej sensu, nierzadko ukrytego pod warstwą wyrazów i znaczeń, podobnie zresztą jak w prozie Brunona Schulza. Tak samo więc Złota wykorzystuje język nauk ścisłych: biologii, fizyki, astronomii, a nawet terminy urbanistyczne czy przemysłowe, jak chociażby w wierszu *** *skupiam swoje myśli*, gdzie

utwór przybiera formę jakby technicznego rysunku najeżonego pojęciami z dziedzin, które mają z poezją niewiele wspólnego. Całość wygląda jak misternie zaprojektowana konstrukcja, ściśle zaprogramowany system, w którym coś się filtruje, modyfikuje i uaktywnia, ulega sedymentacji i dyfuzji, w którym procesy myślowe czy fizjologiczne ukryte są pod metaforą procesów mechanicznych. Autorka *Studium* dzięki temu pokazuje, że poezją może być niemal wszystko, podobnie jak chcieli to uczynić futuryści czy krakowscy awangardiści z polskiego dwudziestolecia międzywojennego. Jednakże Złota odbiega od tego modelu poezji, nie można więc zaryzykować aż tak daleko idącego porównania. Jej poetyka leży gdzieś bliżej, to znaczy gdzieś we współczesności, blisko wspomnianego wcześniej Herberta, Barańczaka.

Podsumowując, mimo pesymistycznego nastroju panującego w *Studium filozofii upadku* i wszechogarniającego poczucia śmierci, tomik wydaje się na polu optymistyczny, zawierający w sobie pewną, niepojętą jak się zdaje, nadzieję. *Osobowość rozpadającego się indywiduum* zawiera nawet pointę, mówiącą: „osobowość rozbita na atomy / u progu poznania...”, którą rozpatrywać możemy dwojako. *Primo*, jako brak możliwości poznania, bowiem rozpad i upadek właśnie się dokonał, poza tym, jak już wykazano wcześniej, pełne poznanie doprowadza do degradacji oraz *secundo*, jako możliwość głębszego i lepszego zrozumienia. Biorąc pod uwagę, że pierwsze spostrzeżenie stanowi *circulus vitiosus*, trzeba przyznać, że upadek ma więc swoisty eschatologiczny wymiar, nie pozwalający na całkowite zwątpienie, może bowiem przynieść błogosławieństwo oczyszczenia i szansy na odbudowę tego, co runęło. Dlatego należy wierzyć, że „niektóre sprawy złożonej natury / stają się proste jak żerdź” (***) *w pewnym wieku*), jasne i wytłumaczalne, mimo że na Prawdę długo trzeba czekać i niejedną raz w drodze do niej błądzić.

Michał Wilk

7 K. Ludwicki, *Zawikłania poetyckie Agnieszki Złotej...*, [w:] A. Złota, *Studium filozofii upadku*, Częstochowa 2012, s. 72.

Piotr Głowacki

O WYSTAWIE MALARSTWA I RYSUNKU MARIANA PANKA – LIPIEC/SIERPIEŃ 2013 GALERIA OPK „GAUDE MATER” CZĘSTOCHOWA

MAGICZNA MORFOLOGIA MALARSTWA MARIANA PANKA

Z natury Marian Panek jest wulkaniczną indywidualnością twórczą. Przynosi to efekt w postaci ciągłego podążania po drogach świata sztuki w ten sposób, że nie pozwala by rutyna zawładnęła jego językiem wypowiedzi; morfologią (materią) i znaczeniami (semiozą). Co ciekawe, przy tak dynamicznej osobowości i postawie kreatywnej, spora część dzieł ma jednak wyrazistą dyscyplinę konstrukcji.

Są bowiem także kompozycje z zapisami o formie psychicznej autorskiej kaligrafii, w poetyckich przestrzeniach swobodnie falujących i przepływających pasm barwnych. Te bliskie są nurtowi surrealistycznych eksperymentów z technologią materii malarstwa (frotaż, dekalkomania) i lirycznej abstrakcji niegeometrycznej o formach irrealnych i jednocześnie sugestywnie naturalnych. Tutaj Marian Panek wnosi refleksyjne skupienie i odkrywa tajemnice mikrokosmosu, jego zjawiskowych postaci kształtów, nastrojów, relacji czy też pewnego rodzaju muzyczności. Poprzez wniknięcie w tajemnicze rejony i ich przybliżenie, przedstawiony i obserwowany w ten sposób świat nabiera cech czegoś zasadniczego i monumentalnego, poważnego i wzniosłego.

Na mnie największe jednak wrażenie robią najnowsze prace wizualne tego autora, wynikające z duchowych powinowactw artysty z nurtami pierwszej awangardy, które najbardziej ogólnie można określić

jako konstruktywistyczne. Z Malewiczowskim suprematyzmem na czele i polskim oryginalnym wkładem w ten nurt sztuki progresywnej w postaci osiągnięć unizmu Strzemińskiego. Mam świadomość, że są to jedynie odległe pokrewieństwa duchowe i myślowe, jedynie punkty wyjścia i przyczyny sprawcze, ponieważ Marian Panek jest artystą świadomym, intensywnie pracującym, co pozwala mu na konsekwentne odkrywanie na wskroś osobistych i indywidualnych nowych walorów i jakości w obrębie bliskich mu stanowisk estetyczno-artystycznych.

O ile dotychczasowe malarstwo europejskie uciekało się czasem do konstrukcji reliefowej, wcześniej chociażby poprzez impast, a w malarstwie materii niemal nawet w architektonicznie realnej fakturze, to Marian Panek najwyraźniej pochłonięty problemem likwidacji trójwymiarowej iluzji przedstawień w obrazie pojmowanym jako naturalnie płaski, stosuje do budowania faktury także trzeciego poza szerokością i długością wymiaru, po prostu w jej immanentnym budulcu barwy-farby-koloru. Konstruuje on minimalne kropki, kopczyki, słupki czy stożki medium, zatem strukturalne trójwymiarowe elementy przestrzenne. Osiąga w ten sposób quasi-unifikujące wyjście i stosuje niejako przewrotny wybieg, organicznie w samej morfologii i materii obrazu przewyciężający konflikt w sferze potencji

konceptyjnej na osi płaskość - przestrzeń, obecny w teorii awangardy.

Jednak najistotniejsze wydaje się odczucie jakie ogarnia nas w percepcyjnym kontakcie z tymi obrazami. Są one niezwykle intensywne, wrażeniowe - chciałoby się powiedzieć impresjonistyczne, zbieżne w fenomenalnej, konsekwentnej, zdeterminowanej i metodycznej budowie z wizyjnymi i odkrywającymi świetlnobarwną zmienność świata seriami Moneta. Jednocześnie, co zadziwiające, obrazy powodują także podobne doświadczenia do tych powstających w odbiorze malarstwa neoimpresjonistycznego, dzięki mnogości punktów (puentylizm) barwnych z jakich są skonstruowane te atrakcyjne wizualno-sensualnie światy dające bogactwo doznań. Aktywizują przestrzeń, w której je postrzegamy, atmosferycznym rozwibrowaniem i nasyceniem wymieszanych efektów świetlnego spektrum, dostarczają zmysłowej optycznej przyjemności. Co słusznie artysta kojarzy z siłą solarną. Którą także przywołują powstające ideo-znaki; krzyże, pasy, fraktale. Będące w optycznym ruchu, jednak organizujące własne pola mocy, rysując trwale kształty, ale i ulotne zmieniające się zarysy.

Jest wysoce prawdopodobne, że aktywna świetlista promienność, delikatna poświata promieniowania obrazów, jak i ich zjawiskowość, oddają - jak chce malarz - przeczecia sfer i stanów prenatalnych... tak samo kiedy mówi, że mają znaczenie archetypiczne, pierwotne. Ujawniają się również paralele z duchem wielkomiejskiej roziskrzanej tętniącej pulsem *Boogie-Woogie* witalności, który znalazł wyjątkowej radośnej urody ekwiwalent w ostatnich obrazach

Obrazy Mariana Panka są niezwykle intensywne, wrażeniowe (...).

(już po neoplastycznych) Mondriana. Być może jednym z uzasadnionych tropów ich interpretacji jest właśnie utożsamienie ich z antropologią i bytem metropolii - synonizmu (z języka greckiego oznacza to „jednoczenie się domostw”). Jak zauważył Spengler „nawet w ostatniej postaci formalnym ideałem człowieka Starożytności jest jeszcze cielesna punktowość; jego metropolia chce się nie tyle rozszerzać, ile zagęszczać”. (*Zmierzch Zachodu*, 2001, s. 284). I jeszcze jeden cytat z tego samego dzieła, celem próby dopełniającego ponowienia interpretacji: „Od czasów Kartezjusza ta rzekomo „młodsza geometria” jest albo czynnością syntetyczną, która określa położenie

punktów w niekoniecznie już trójwymiarowej przestrzeni („punktowej różnorodności”) za pomocą liczb, albo też analityczną, określającą liczby przez położenie punktów. To zastępowanie odcinków położeniami oznacza jednak czysto przestrzenne, już nie cielesne pojmowanie rozciągłości.” (s. 80)

Obcujemy z bardzo ciekawą realizacją artystyczną, jakby krzyżującą znaczenia i idącą w poprzek wymiarów, jednocześnie będącą ich zagadkowym, pełnym malarskiego powabu uobecnieniem.

Na wystawie Marian Panek pokazał także rysunki. Część z nich; akty i portrety o kapryśnej, cielesnej linii, inne stwarzające formę łodzi z subtelnych pociągnięć finezyjnych kresek, przywołujące jakby echo magicznej algebry – podstawy manifestującego się trwania.

Piotr Głowacki

**Małgorzata
Nowakowska – Karczewska**

TEOFIL LENARTOWICZ
1822 – 1893



Foto: net

Skolatane nerwy – przeznaczenie bowiem
zgotowało mu nader gorzki żywot –

„Bieda mnie była przez całe życie/.../
Łzy moje ciekły, ciekły obficie
Zawsze i wszędzie/.../”

zwykł był koić Teofil grą na drumli. Nazywał się
lirnikiem mazowieckim lub biednym Mazurzyną,
bo tę ziemię rodzinną ukochał najgłębiej dla pięk-
na jej folkloru, wdzięku i urody kobiet:

„Nasza dziewczyna kieby malina,
Usta różane
Z lilią mieszane,
Włosy złociste,
Oczy ogniste,
W tańcu sarenka /.../”

dla bujności natury, ot, choćby ziół wonnych na
„różne pożytki”:

„/.../mak czerwony, żeby dzieci spały,
/.../krwawnik od ran dolegliwych,
od piorunu grzmotek/.../
dla pszczoł ziółka melisowe,
konopie dla plonu/.../
I serdecznik, bogorośle i śliczne ostróżki,
A dla ptaków ptasi język i bocianie nóżki
/.../”.

Fascynowała go, dla swej tajemniczości, Wisła,
u której brzegów dorastał i z którą najserdeczniej
się zżył.

„Na powierzchni twej przezroczej
Jaskółeczka skrzydła moczy,
A w noc białą topielice
Przeglądają zziębłe lice,
Przez które się piasek toczy,
Wisło! Moja Wisło!”.

Życie wszakże przyszło Teofilowi „w czasy nie-
szczęsne”, nie mógł, jak chciałby, pozostać tam
„Gdzie ta chatka mchem obrosła,
Co mnie wychowała /.../”,

surowy los wyznaczył mu, jak wielu z jego poko-
lenia, żywot wygnańca.

Nadwrażliwiec (Ryby) niemal przez całe życie
musiał uciekać od rozpaczy, („Nie mogę żyć w
świecie rzeczywistym, tworzę więc sobie inny
i żyję w nim jak ów wyśmiewany rycerz smutnej
twarzy”) i, błędząc po ścieżkach baśniowego
świata swej wyobraźni, droczył się przekornie:

„No, ja tam nie wiem! A kto to wie?
Może to prawda, może i nie /.../”.

Teofil Aleksander przyszedł na świat w
Warszawie, dokąd, pieczętujący się Pobogiem
ród Lenartowiczów, przywędrował z Litwy.
Ojciec poety, Karol, „za Kościuszki wraz z inną
szlachtą, w zapale republikańskim, przyjął prawa
miejskie warszawskie i wyrzekł się szlactwa”.
Prowadził potem przedsiębiorstwo budowlane,
ale że był „dobroduszny, poręczał za każdego, kto
mu kupił butelkę wina”, nie dorobił się i zmarł
rychło, pozostawiając w niemalej biedzie żonę,
Marię z Kwasiebskich herbu Cholewa, i troje

dzieci. Wdowa sprzedawała niewielki domek na Powiślu, poślubiła byłego artylerzystę i przeniosła się z rodziną na mazowiecką prowincję. Mogły to być szczęśliwe dla Teofila lata, bo przecież

/.../”śliczna to ziemia to nasze
Mazowsze! /.../”

ale zmienił je w koszmar ojczym alkoholik, który, niechętny dzieciom, przepędzał je z domu.

„Uciekałem do pobliskiego lasu, – wspominał poeta – gdzie w starym, wypróchniałym drzewie do wieczora przesiadywałem, płacząc rzewnymi łzami /.../ chłopaki pasący bydło dzielili się ze mną pieczonymi kartoflami i cieszyli, jak mogli biedną sierotę /.../”.

Po paru latach Teofil wrócił do Warszawy, przygarbnała go starsza, zameżna siostra. Ukończył tylko powiatową szkołę i, kilkunastolet, zaczął życie na własny rachunek. Zdolał uzyskać skromną posadkę kancelisty i kopisty u wziętych adwokatów, a zdając sobie sprawę z niedostatków wykształcenia, uczył się sam („czytywałem po całych nocach do białego świtu”). Współ z Kolbergiem przedsięwziął ludoznawcze wyprawy na Mazowsze, odżyła fascynacja wsią i jej ludem.

„Idzie sobie pachole
Przez zagony, przez pole
Wielki wicher, ulewa,
A to idzie, a śpiewa /.../”.

Coraz bardziej znany poeta uczestniczył też w różnych agitacyjnych akcjach spiskowych. „Był to czas konspiracji i nadziei powstania, na które przygotowując się, pisałem piosenki pierwsze, do których muzykę dorabiał kochany mój /.../ Ignacy Komorowski i takowe u zaufanych przyjaciół /.../ śpiewywał.”

„Kuj, kowalu, kuj,
Boć to zwyczaj twój,
Aż przekują nasze młoty
Te kopiejkę w polski złoty,
Kuj, kowalu, kuj”.

Konsekwencje tej działalności były poważne, przeżył rewizję, ale specjalne schowki w kanapie, „gdzie chowały się patriotyczne odezwy, niecenzuralne papiery, utwory,” uszły uwadze agentów

carskiej policji. Wisiała jednak nad Teofilem groźba aresztowania, musiał opuścić Królestwo, by nigdy już doń nie powrócić.

„/.../I któż pomyślał, że się od Polski oddalę!
Szkoda ...
Ale takie przeznaczenie,
Tak mi było zapisano,
Ze szczęściem żegnać się rano /.../”.

Przez Częstochowę, gdzie nawiedził Jasną Górę, dotarł do Krakowa, nadal spiskował, ale też poznał smak pierwszej miłości. Pokochał z wzajemnością Feliksę Szczepanowską. Srogi los jednak przeciał chwile szczęścia. Po kilkunastu miesiącach młody konspirator musiał uciekać z miasta, pozostawiając za sobą mogiłę niespodziewanie zmarłej ukochanej.

„Jaka smężna, a śmiejąca,
Założone na pierś ręce,
Jaka cicha, jakby śpiąca,
Panna moja w tej trumience /.../”.

Rozpoczął poeta trudny żywot uchodźcy politycznego w Europie (Drezno, Paryż), ale, choć ceniony przez przyjaciół po piórze, których los również rzucił na obczyźnie,

„Złoto – struny! albo ja wiem,
Jak pisać do Ciebie?
Choćbym pisał piórem pawiem
Umaczanym w niebie,
I to mało ...!” (Norwid)

wolał, po kilku latach tułaczki, zamieszkać na stałe we Włoszech, daleko od skupisk polskich wygnańców. We Florencji płynęły Teofilowi kolejne smutne lata – „Wigilię przepędziłem samotny w moich czterech ścianach, czytając przy kominku Biblię, która ma dla mnie zawsze urok niewypowiedziany” – los jednak i do niego, na krótko wszakże, zechciał się uśmiechnąć. Spotkał, znaną mu wcześniej z Paryża, Zofię Szymanowską herbu Młodzian, przyrodnią siostrę Celiny Mickiewiczowej, przybyłą do Włoch dla prac malarskich. Oboje sporo po trzydziestce, niezamożni, postanowili, by się wzajemnie wspomagać, zawrzeć białe małżeństwo („/.../ ona sama zaprojektowała mi pierwsza ten przy-

jacielski i braterski związek/.../”). Poeta długo rozważał propozycję Zofii, wahał się, zasięgał rady przyjaciół, z którymi uprawiał obszerną korespondencję i znajomych księży. Doceniał zalety panny („zasługuje na wszystkie pochwały, jakie można oddać kobiecie”) utalentowanej malarki, pięknie przy tym pono śpiewającej, znającej języki, dostrzegał i słabostki („ujemną jej stroną jest nieco zgryźliwości, rzecz pochodząca z zawodów w ciągu życia /.../”).

Uwierzył w końcu, że i jemu los daje szansę na trochę szczęścia, skromny ślub odbył się we Florencji – „Związkowi mojemu był obecny obszarpany zakrystian, ksiądz Włoch połączył nas, a na kolację jedliśmy chleb dobrze posolony i o przyszłości swojej mówiliśmy”/.../. Żyli potem jak anachoreci, wystarczali sobie. Teofil zapewniał wprawdzie tuż po ślubie: „Przyjaźń też i szacunek w stosunku moim z nią jedynie egzystują, nie miłość, nie namiętność, nic zmysłowego /.../”, ale z czasem coraz bardziej przywiązywał się do żony, sprawiał jej skromne prezenty, jak choćby lusterko, które ozdobił stylizowanym na ludowo wierszykiem:

„W to lusterko co rana,
Sporzy Zośka kochana,
Com je kupił dla niej za trzy grosze
I uśmiechnie się sobie /.../”

i w końcu, wbrew przewidywaniom, połączyła go z Zofią głęboka miłość – „Jam ją kochał, jak tylko kobietę kochać można”. Urodził się synek, ale los wyczerpał już pulę szczęścia, słabiutki od urodzenia Jaś umarł po trzynastu miesiącach.

„Na pochyłości morskich tam wybrzeży,
Wprost wyspy Elby, daleko od miasta,
Dzieciatko moje pod kwiatami leży,
Które mu w grobek wsypała niewiasta /.../”.

Sztuka jedynie dawała złudzenie ukojenia. Pod wpływem żony zaczął Teofil rzeźbić i oddawał się temu zajęciu z rosnącym z latami powodzeniem – „/.../ wypoczywam, lepiąc figurki, (kilka prac poety znajduje się na Jasnej Górze) a ta igraszka palców uspokaja mi /.../ rozkołysane serce, które czasem zanadto wariuje, bije, tłucze się po piersiach tak, że aż oddechu braknie”.

Tymczasem los znów czyhał, by doświadczyć poetę cierpieniem. Małżonkowie borykali się z biedą („florenckie mieszkanie /.../ skromne było i niemal ubogie”) i kłopotami ze zdrowiem. Zofię od dawna nękała choroba płuc – „Doktorzy egzaminowali piersi i powiedzieli mi wyraźnie, że jest źle” – niepokoił się poeta, sam również trapiiony różnymi przypadłościami (kamica nerkowa, niedomogi wątroby, bronchity). Zofia, wyczerpana ciągłą walką z niedostatkiem, przyjęła zamówienie na wykonanie kilku obrazów i wyjechała w Poznańskie. Teofil, który odwykł od samotności, tęsknił, rozpaczal i w końcu poważnie zachorował, jak zwykle, gdy żony przy nim nie było. Miał żal, że wyjechała i przeczcucie nieszczęścia „Mój Boże, więc ja jej chyba już nie zobaczę, a mogła zostać, gdyby nie jej oblękana chęć zrobienia czegoś pięknego, pokazania się w świecie”. Intuicja w istocie nie zwiodła poety, ukochana żona umarła. Spoczęła w Miłosławiu.

„W rodzinnym kraju – daleko za morzem –
Pod borem, kędy sosny piasek cienia,
Jedyna moja spoczywa pod ziemią /.../”.

Przytłoczony tragedią Teofil popadł w głęboką depresję, na próżno szukał sensu w tym, co się stało – „Nie wiem, czego Bóg chce ode mnie, wiem tylko, że mnie obdarł i zubożył, i zostawił samego na brzegach pustych”. Porządkował rzeczy pozostałe po zmarłej. W pamiętnikach, których odpisy sporządzał, odnalazł obrazy domu Mickiewiczów, które go, zawsze niesłuchanie prawego, mocno zbulwersowały – „znajdują się rzeczy skandaliczne – brudy i paskudztwa lajdakerii towiańszczyków /.../”. Pustkę po śmierci ukochanej żony trudno było pocieć wypełnić:

„Nie przemienić, co minęło,
Nie wydrzeć z pamięci,
Choćby człowiek rad zapomnieć
Wraca mimo chęci /.../”.

Ukojenia szukał i w pracy (wykładał parę lat literaturę słowiańską w Bolonii) i w listach od przyjaciół, którzy, jak choćby Norwid, cenili nie tylko jego intelekt, ale i wyjątkową szlachetność charakteru.

„/.../Widziałem dobrze, bo wzrokiem nadławam,
 Że tyś mię jeden nie opuścił w świecie –
 Niechże cię Miłość Boża za to czeka,
 Nie, żeś pamiętał mnie, lecz że – człowieka!”

Adresatką pełnych wyjątkowej czułości, liryzmu i głębokiej mądrości słów Teofila była przez lata Konopnicka. Stali się sobie, mimo różnicy wieku, bardzo bliscy. Zbliżyły ich wspólne zainteresowania, skomplikowane życiorysy i podobna wrażliwość. Wymieniali opłatki, kwiatki, wiersze, fotografie – jego ukazywały „twarz surową, a słodką, oczy dumne, a śmiertelnie smutne” – dzielili się najbardziej intymnymi przeżyciami. Poeta wyrzeźbił dla Marii figurkę, wyobrażającą stojącego pod krzyżem chłopca w sukmanie. Posążek ów towarzyszył jej potem we wszystkich podróżach. „Mistrz od cudnych listów” przesłał też Marii orle pióro i wiersz, symbolicznie czyniąc ją spadkobierczynią swojej misji:

„Bądźże ty gwiazdą, /.../
 Ja będę cieniem.
 Bądźże ty głosem, /.../
 A ja milczeniem”.

Wzruszona Maria, nieoszczędzana przez różnego rodzaju krytyków jej twórczości i życia osobistego, doceniła ten gest.

„Słowy mnie swymi namaścił z daleka,
 Jakoby święte wylawszy oliwy
 Na czoło moje /.../”.

Spotkali się tylko raz, we Florencji, niedługo przed śmiercią poety. Marii zdal się młodszym nad swój wiek – „jasne, wymowne oko, żywość ruchów, twarz nerwowa, smagława, piękny wąs męski, głos o niezwykle ciepłym kolorycie”. Rozmawiali długo i serdecznie. Poeta nie tail przemożnej tęsknoty za krajem. Italię, on, esteta, pokochał wprawdzie z biegiem lat dla bujnej przyrody, bogactwa sztuki, ale ciągle brakowało czegoś, co tylko w ojczyźnie mógł odnaleźć.

„/.../Tak tu różę kwitną cudnie,
 Taka nieba twarz wesola,
 A mnie w duszy wciąż coś woła,
 Wschód piękniejszy jak południe”.

Teofil nie miał jednak złudzeń, czuł, że na powrót, nawet gdyby stał się możliwy, jest już za późno – „A w kraju, czyby mi było lepiej? I tam byłbym obcy”.

Na powrót było rzeczywiście za późno, czas ziemskiej tułaczki poety nieubłaganie mijał.

„Przeleciał mi życie
 Szybko, jakby dzień boży,
 Jakbym wyszedł o świcie,
 A powrócił o zorzy /.../”.

Starzejący się, coraz bardziej samotny, bo rówieśni pomarli, Teofil miał przeczucie bliskiej śmierci. „Dorzucam na komin drzewek cyprysowych, /.../palę podłe cygaro i myślę /.../może i mnie w tym roku przyjdzie się przespacerować na drugi świat”. Intuicja i tym razem go nie zawiodła, los się dopełnił.

„/.../O Panie! W Twoje upadam ramiona
 I już nie widzę nic, nic – oprócz krzyża ...”.

Zmarł na apopleksję. Dyżurny lekarz z pobliskiej apteki nie dostrzegł zagrożenia. Czującemu się dziwnie niespokojnie poecie zaordynował maść salicylową. Wezwany wkrótce ponownie mógł już tylko stwierdzić zgon. Ciało zmarłego zabalsamowano („twarz była po śmierci pogodna i spokojna /.../”) a po paru tygodniach przewieziono do Krakowa i złożono na Skalce. Teofila bolało, przecież niepotrzebnie, bo dla wielu pozostał mistrzem pióra, że ukryty w swej florenckiej samotni popada w zapomnienie:

„Złotniczeńku ty na niebie,
 Chcę pić życie, nie mam z czego.
 Zrób mi kubek, proszę ciebie,
 Z szczerozłota gwiazdzystego /.../”
 (Pawlikowska – Jasnorzeńska).

Małgorzata Nowakowska – Karczeńska

Bibliografia:

Teofil Lenartowicz, *Poezje*, PIW Warszawa 1968.
 Maria Konopnicka, *Spotkania na Arnem*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza Warszawa 1970.
 Zbigniew Sudolski, *Panny Szymanowskie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza Warszawa 1986.

Tomasz „Aztzenty” Barański

PODRÓŻ

SENTYMENTALNA

(ale nie przez Francję i Włochy jak u Laurence’a Sterne’a, tylko przez Świętokrzyskie i Podkarpackie)

No cóż dużo roboty, ale podróż ma być sentymentalna, więc tylko o tym, co powoduje nastrój.

CZĘŚĆ PIERWSZA – SANDOMIERZ

Jeśli chodzi o Sandomierz, to cisną mi się do głowy dwa slogany – po pierwsze powiedzenie „kto to miasto wyczarował”, a po drugie zdanie, które wyraziła osoba zaproszona przeze mnie do tego miasta, że nie zdawała ona sobie sprawy z tego, że tak wiele różnych rzeczy mieści się w tym tak małym w sumie miejscu. I rzeczywiście trudno w ogóle nad czymś się skupić, bo w grę wchodzi rozliczne cuda architektoniczne i przyrodnicze. W moim pojęciu Sandomierz to mały Kraków – mnóstwo gotyckich budowli (jak np. Brama Opatowska – notabene wzbudzająca większy podziw niż Brama Floriańska, gdyż z cegły i zwieńczona renesansową attyką – poza tym zamek, katedra, najstarszy w Polsce kościół ceglany pw. Św. Jakuba) oprócz tego nawet coś w rodzaju mini kopca na przedmieściach, zwanego *Salve Regina*. Jak ułål pasują tu słowa I. Krasickiego „bram cztery ulomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki” – no może nie „dziewięć klasztorów”, ale siedem kościołów stłoczonych blisko siebie w ramach starego miasta. Jeśli zaś chodzi o podobieństwo do Krakowa, to podoba się on nam częstochowianom głównie ze względu na ten gotyk, którego u nas brakuje.

Zapraszam więc do Sandomierza i wiem, co mówię, gdyż w tym mieście wychowywałem się, a czerwone, gotyckie cegły spadały mi na głowę – dosłownie (moje dzieciństwo to lata sześćdziesiąte, kiedy jeszcze nie dbano tak bardzo o zabytki). Do rzeczy – proponuję

naprawdę krótki przegląd miejscowych cudów, aby przejść następnie do sedna sprawy – czyli kulminacji sentymentalnej. Wiem, że taki opis trąci jakimś drukowanym przewodnikiem, ale powtarzam jeszcze raz – „nie uwierzysz, jeśli sam nie zobaczysz”.

I tak bazylika katedralna (największy obiekt sakralny diecezji sandomierskiej), zbudowana w XIV w. (w stylu tzw. gotyku nadwiślańskiego). Wzniesiona z fundacji króla Kazimierza Wielkiego, zachowała wewnątrz pierwotny układ przestrzenny i bogatą dekorację rzeźbiarską z XV – XVII w. (freski bizantyjsko – ruskie, ponoć na osobiste zarządzenie króla Władysława Jagielly, gdyż w takim malarstwie gustował, ołtarze rokokowe, obrazy i rzeźby). Od siebie dodam, że duże wrażenie robi granatowy sufit ze złotymi gwiazdami i jeszcze coś; na ścianach znajduje się kilka ogromnych obrazów ukazujących męczeństwo pierwszych chrześcijan. Właśnie te obrazy wzbudzają niemal szok. Przedstawiają niezwykle okrutne sceny pożerania dzieci przez lwy, jakieś osoby z wyprutymi flakami, tudzież korpusy ludzkie z odciętą właśnie głową, z których strumieniem jak w fontannie tryska krew. Słyszałem odnośnie tego, aby te obrazy zdjąć, bo oglądać się tego po prostu nie da. Wyczytałem gdzieś, iż malowidła te powstały w epoce saskiej, kiedy szerzyła się anarchia, ciemnota i zabobon.

Jest też Dom Długosza (a jakże – w stylu gotyckim) wzniesiony w 1476 roku, który powstał z myślą o sprowadzonych do miasta księżach misjonarzach. Obiekt posiada obszerną sień, do której prowadzą dwa gotyckie portale. Od 1936 roku wewnątrz budynku mieszczą się bogate zbiory Muzeum Diecezjalnego. Czego tutaj nie ma! W zbiorach muzeum reprezentowane są działy takie jak: malarstwo – uwaga! w tym obrazy „Trzy święte” i „Matka Boska z Dzieciątkiem” Łukasza Cranacha Starszego (ok. 1440 r.). Rzeźba sakralna, fragmenty architektoniczne – ornamentowe zespołów ołtarzowych. W zasadzie mieści się tu cała kaplica z tabernakulum w

kształcie kuli. Tkaniny – kolekcja tkanin liturgicznych. Sztuka zdobnicza – ozdobne cegły romańskie, płyty posadzkowe, zbiór naczyń cynowych, wyroby z kości słoniowej. Ceramika – fajanse z Ćmielowa. Szczególnie zachwycająca jest kolekcja mebli z XVII – XIX w. (będąc dzieckiem, siedziałem oczywiście na tych wszystkich fotelach i kanapach, gdy pani kustosz nie widziała, co naturalnie jest do dziś zabronione). Militaria, zbiór fajek (jedna z nich należała do A. Mickiewicza), pamiątki historyczne (pudelko z włosami Napoleona). Poza tym jeszcze numizmatyka i obiekty archeologiczne. Z dzieciństwa pamiętam jeszcze rękawiczki Świętej Jadwigi Królowej. Ofiarować je miała mieszkańcom podsandomierskiej wsi Świątniki z wdzięczności za wyciągnięcie ugrzęzłych w zaspie sań.

Z kolei Collegium Gostomianum – jedna z najstarszych szkół średnich w Polsce. Rewelacyjnie prezentuje się na bardzo wysokiej nadwiślańskiej skarpie, jeśli stanąć u brzegu Wisły. XVII-wieczny budynek zachował pierwotny układ przestrzenny.

Nie można też pominąć Zamku Kazimierzowskiego – został wzniesiony w okresie panowania króla Kazimierza Wielkiego. Pierwotnie składał się z czterech skrzydeł, lecz po wysadzeniu go w powietrze przez wojska szwedzkie w 1656 r. zachowało się jedynie zachodnie skrzydło. Mieściło się tu i więzienie, ale w latach 1960 został odbudowany i obecnie jest siedzibą Muzeum Okręgowego (przełotnie w pamięci zapisała mi się zachowana w całej krasie prawdziwa, pradawna kuchnia zamkowa) – oczywiście różnych ciekawostek jest tam jeszcze bez liku.

Aktualnie, wspomniana już Brama Opatowska – wzniesiona w II połowie XIV w. jest jedyną zachowaną bramą wjazdową do miasta (ale i pozostałe „ułamki trzech dawnych bram” są jeszcze do odnalezienia – w ramach zabawy w poszukiwania archeologiczne. Wieża ta stanowiła część miejskich fortyfikacji. Słynny medyk sandomierski Bartolon ufundował renesansową attykę wieńczącą

budowlę. Obecnie, wysoka na 30m wieża (jeśli wyleźć na szczyt), jest doskonałym punktem widokowym, z którego można podziwiać nie tylko czerwone dachy kamienic, ale także dostrzec można zakole Wisły układające się w kształt litery „S”.

Przenieśmy się teraz do Kamienicy Oleśnickich – jednej z najlepiej zachowanych kamienic mieszczańskich. Według przekazów historycznych, w kwietniu 1570 roku zawarto w niej tzw. „zgodę sandomierską”, uważaną za najstarszy akt ekumeniczny w Europie. Budowla wyróżnia się charakterystycznymi podcieniami. Jest też elementem o zupełnie już ekstraordynaryjnym znaczeniu – Podziemnej Trasy Turystycznej – czyli półkilometrowego labiryntu, prowadzącego przez korytarze i komory, które na przestrzeni XV – XVII w. pełniły rolę magazynów kupieckich. Pod koniec XX wieku część komór połączono, tworząc trasę, którą udostępniono do zwiedzania. Najgłębsze wyrobiska znajdują się na głębokości 12 metrów pod płytą rynku.

Nie sposób też pominąć stojącego pośrodku rynku Ratusza – istnego cacka (który po „liftingu” sprężonym powietrzem) sprawia wrażenie, że jego czerwone cegły wyglądają jak z plastiku. Gotycki ten budynek z połowy XIV w. uważany jest za jeden z najpiękniejszych tego typu obiektów w Polsce. Kilka danych szczegółowych (gdyż jest to budynek niezwykle reprezentacyjny i stanowiący jedną z wizytówek nadwiślańskiego grodu – Sandomierza): główną bryłę Ratusza wzniesiono na planie kwadratu z ośmioboczną wieżą. W XVI w. budynek rozbudowano w formę wydłużonego prostokąta, a całość zwieńczono renesansową attyką (na bazie której zaprojektowano attykę wieńczącą Pałac Kultury i Nauki w Warszawie). Obecnie w Ratuszu mieści się Muzeum Okręgowe, Urząd Stanu Cywilnego, natomiast w podziemiach klub „Lapidarium”. W samym Muzeum również curiosum – słynne Szachy Sandomierskie – typu arabskiego, wykonane z rogu jelenia – będące wyrobem lokalnym, pochodzące z XII wieku.

Odnosnie cudów natury, to proszę bardzo – wąwozy, właściwie całe miasto jest nimi naznaczone, ale najwspanialszym jest oczywiście Wąwóz Królowej Jadwigi – mierzący prawie pół kilometra długości i ok. 10 m wysokości zyskał miano najpiękniejszego wąwozu ziemi sandomierskiej. Jar powstał na skutek wody, która spływała po lessowym zboczu od tysięcy lat. Jeszcze co innego – czy widzieliście z bliska Bieszczady? Urokliwe te góry mają swego małego konkurenta w Sandomierzu i to niemal w samym mieście – mowa o Górach Pieprzowych (oczywiście w porównaniu z Bieszczadami są one zaledwie „makieta” – tak makieta, którą dla zabawy wybudował jakiś modelarz) – co zresztą naturalnie podkreśla jeszcze bardziej ich dziwność. Same góry prezentują się jako niewysokie, lecz niezwykle piękne – jedyne tego typu w Europie. Na odcinku 1 kilometra w stromej, wysokiej miejscami na 60 metrów, krawędzi doliny Wisły ciągną się wychodnie ilolupków kambryjskich, poprzecinane siecią spękań i uskoków. Całość pokrywa płaszcz lessu. Stoki Gór Pieprzowych objęte są 18-hektarowym rezerwatem geologiczno – przyrodniczym. Chronione są tu zespoły roślinności stepowej. Sam osobiście zauważyłem tu czarną jaszczurkę wielkości dłoni, a także na pobliskim stawie jakąś pstrokatą dziką kaczkę, wydzierającą się wniebogłosy i nagle poczułem się, jakbym oglądał telewizję (program przyrodniczy) – a wrażenie to spotęgowane było jeszcze tym, że dosłownie czterdzieści minut temu znajdowałem się raptem na tętniącym życiem miejskim rynku.

W południowo – zachodniej zaś części Sandomierza na osiedlu Krakówka znajduje się tajemnicze Wzgórze *Salve Regina*. Uwagę przyciąga wielkość i kształt obiektu. Jego średnica u podstawy wynosi ko. 40 metrów, przy wysokości wyniesienia ponad 11 metrów. Na szczycie wzgórza znajduje się figura z płaskorzeźbą Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Figura wzniesiona została na pamiątkę Konfederacji Barskiej. Po stronie północnej monumentu

widoczny jest napis „SALVE REGINA”, który w myśl lokalnej tradycji jest od zawsze, co więcej nigdy nie zarasta trawą. Ze wzgórzem tym wiąże się szereg podań i legend. W świetle jednej z nich ma się tu znajdować kurhan grzebalny, usypany ponad stosem ciałopalnym (przypuszczalnie ze zwłokami założyciela osady) na wzór kopca Krakusa w Krakowie. Wedle kolejnej legendy, podczas najazdu Tatarów i wymordowania licznej grupy dominikanów, hodowany w klasztorze dominikańskim byk wyrwał się i podjął pogon za Tatarami, aby pomścić ich śmierć. Nie mogąc jednak ich dopaść, usypał kopytami ów kopiec, a następnie wyrł rogiem na jego szczycie wspomniany napis „Salve Regina”, czyli „Witaj Królowo”.

Na koniec tej nostalgicznej wycieczki po Sandomierzu zaplanowałem opis mego ulubionego miejsca w tym mieście. Mam na myśli kościół pw. Św. Jakuba. Kilka encyklopedycznych acz niezbędnych informacji: pełna nazwa to Zespół Klasztorny Dominikanów przy kościele św. Jakuba – zbudowany w 1226 roku, późnoromański, zachował typowy układ przestrzenny budowli klasztornej i bogatą dekorację plastyczną z cegły formowanej glazurowanej. Jest najstarszym i najcenniejszym zabytkiem Sandomierza, jednocześnie jest to jeden z pierwszych w Polsce (najprawdopodobniej jednak absolutnie pierwszym) z kościołów wzniesionych z cegły. Zaliczany jest do wąskiej grupy zabytków najwyższej klasy. Może zacząć tak: kto był we Francji czy w Niemczech, a pewnie i w Anglii, ten widział (ja przyznaję się, nie byłem, ale od dziecka czytałem i przeglądałem różne albumy z zachodnioeuropejskimi katedrami) – ten ma pojęcie. Od razu należy przyznać, że jeśli chcesz odnaleźć w Polsce idealny przykład architektury zachodniej, to przybądź tu. Te same ostre luki, to samo melancholijne wrażenie cichych, średniowiecznych klasztorów kontemplacyjnych, ale najważniejszy jest tu „ten” nastrój – jakby przytłoczenia wolą (nie wiem; Boga, świętości czy jakiegось nabo-

żeństwa w ogóle...). Ktoś powie Malbork i wszystkie pokrzyżackie zamki w dawnych Prusach Wschodnich – tak, ale to gotyk już zbyt późny (jak na nasze wymagania w tym momencie (św. Jakub ma jeszcze dominujące cechy romańskie, mimo swej ceglanej natury). Nim przejdę do opisu bardziej szczegółowego, wspomnę jeszcze i to, że (to chyba jedyny mankament, że zarówno kościół jak i zabudowania klasztorne są stosunkowo małe – może nawet zbyt małe). Ten sam klimat ascezy, ukojenia i medytacji, i ta sama niesamowita cisza (czy też w ogóle wyciszenie, a nawet uduchowienie), ale na małą skalę, zupełnie jakby ktoś to dzieło wykonał w skali 1:5. Odnalazłszy już drogę do zabytku, należy pokonać, wiodącą stromo ku górze ulicę brukowaną nieskazitelnymi (prawdopodobnie co najmniej przedwojennymi), autentycznymi kocimi łbami. Od tej strony kościół nie robi jeszcze takiego wrażenia (co innego, idąc od strony Wisły) w stronę zamku.

Wzgórze, na którym wzniesiono kościół, nazywane jest Świętojakubowskim, bądź staromiejskim i było od wielu wieków intensywnie zasiedlane. W końcu XII wieku, księżna Adelajda funduje świątynię. Na jej miejscu w latach 1226 – 1250 z fundacji Iwo Odrowąża dominikanie budują zachowaną do dziś budowlę klasztorną i osiedlają się w Sandomierzu. Kościół wzniesiono jako trójnawową bazylikę z wydłużonym, trójpłaszczyńskim prezbiterium. Do kościoła przylegają zachowane w części skrzydła klasztoru, dzwonnica z 1314 roku oraz kaplica poświęcona męczennikom sandomierskim z połowy XVII w. Na najbaczniejszą uwagę zasługuje późnoromańska dekoracja ceramiczna elewacji, a zwłaszcza portal północny, zaliczany do najpiękniejszych portali w kraju. Portal ten zwany jest Bramą Niebios (i nie ma się co dziwić, gdyż tak rzeczywiście wygląda). Fachowo mówi się, że jest czterouskokowy, wykonany z czerwonej, ręcznie formowanej cegły. Zachowany w całości, rzadki zabytek architektury romańskiej, bogato zdobiony w

motywy figuralne i roślinne (winogrona, liście, lilie), a na ceglach można zobaczyć dobrze widoczne geometryczne rytzy.

Kilka słów o fundatorce klasztoru, którą jest księżna Adelajda – córka księcia krakowskiego Kazimierza Sprawiedliwego, w miejscu tym, po śmierci zostaje pochowana. W 1676 r. szczątki księżnej Adelajdy zostają przeniesione do prezbiterium i umieszczone w dębowym sarkofagu, który przedstawia leżącą postać księżnej (nagrobek ten wykonany jest z jednego pnia dębu). Podtrzymują go cztery lwy, a w jego wnętrzu umieszczona jest mosiężna trumna ze szczątkami księżnej. Kamień nagrobny Adelajdy, znajdujący się na środku nawy głównej, zostaje wmurowany w południową ścianę kaplicy Męczenników. W niesamowitym klimacie surowości ścian, łuków unoszących nas (jak to było w zamierze budowniczych)- bliżej nieba, wspaniale prezentują się, zdobiąc wnętrze, cenne witraże z lat 1910 – 1918 projektu Karola Frycza. W samym kościele sufragani krakowski biskup Mikołaj Oborski w dzisiejsze kaplice św. Jacka, obok relikwii świętego umieszcza relikwie świętych Aleksandra, Prota i Faustyna. W XVII wieku ostatecznie zostaje ukończona budowa zabudowań klasztornych. Należy także odnotować fakt, iż po Powstaniu Styczniowym 1863/4, w którym brało czynny udział duchowieństwo, ukazem carskim, władze rosyjskie skasowały klasztor i stan ten, niestety utrzymuje się do dziś. Od siebie przyznam, że zaskoczył mnie sufit kościoła, całkowicie płaski. Z kolei prezbiterium od nawy głównej oddziela barokowa belka tęczowa z krucyfiksem z drugiej połowy XVIII w. Ołtarz jest przedpoborowy, który w głębi ozdobiony jest cennym krucyfiksem z końca XVI w. (doskonale współbrzmiały z surowym wnętrzem (z tą surowością, to też nie do końca, bo nienaganna czerwień cegieł powoduje w jakiś sposób przytulność oraz wspomniane już ukojenie potęgowane przez wieczny chłód murów – żeby nie wiem jaki panował upał na zewnątrz. Ołtarz główny jak

i żyrandole w nawach zaprojektował Wiktor Zin. Jeśli chodzi o nawę główną, to znajdziemy tu m.in. pod chórem muzycznym na zachodniej ścianie płytę nagrobną, nieznanego rycerza w półleżącej pozycji w zbroi, XVI w. Obok epitafium Popławskich – Franciszków wykonane w 1625 r. itp.

Co do historii kościoła, to należy również wspomnieć jeszcze i o tym, że nie zawsze miał swój tak charakterystyczny wygląd – bo oto dopiero w początkach XX w. w nawach usunięto barokowe sklepienia, na zewnątrz i wewnątrz świątyni skuto barokowe tynki, odsłaniając ceglane lico, zrekonstruowano część okien i usunięto szereg elementów zdobiących kościół jak kształtki, fryzy i gzymsy. Portalowi przywrócono romański wygląd. Gruntownie odrestaurowany kościół został poświęcony w 1909 r. W wyniku działań wojennych w okresie II wojny światowej kościół został poważnie uszkodzony. W latach 90 – tych XX w. naprawiono pękniętą ścianę prezbiterium, przemurowano zwieńczenie ścian szczytowych, oczyszczono ceglane wnętrze świątyni i wykonano wiele ważniejszych prac, przywracając tym samym piękno i harmonię wnętrza romańskiej świątyni. Żal wyjeżdżać – przyjeżdż sam, a też Ci będzie żal.

CZĘŚĆ DRUGA

– BARANÓW SANDOMIERSKI

Gdzie to jest? Baranów Sandomierski, to miasto w województwie podkarpackim, w powiecie tarnobrzeskim, siedziba władz miejsko – wiejskiej gminy Baranów Sandomierski. Leży nad Wisłą i Babulówką – jej prawobrzeżnym dopływem. Przez miasto przebiega droga wojewódzka nr 985 (Tarnobrzeg – Mielec). Historycznie położony jest w ziemi sandomierskiej. Tematyka: wyprawa umożliwi Ci poznanie ciekawego miasta, a także (przede wszystkim) historii zamku zwanego „małym Wawelem” oraz jego otoczenia – czyli, jak to się nazywa w turystycznym żargonie, zespołu zamkowo – parkowego. Niestety nie usłyszysz już ode mnie jakichś osobistych wtretów, że

na głowę spadały mi tutaj renesansowe cegły (w Baranowie najważniejszy jest renesans) – gdyż, po prostu tego lata byłem tam po raz pierwszy w życiu. Jakież jednak odnośnie tej budowli pojęcie miałem... i znów, znajdują się tutaj takie rzeczy, których w Częstochowie próżno szukać. Myślę o starodawnych pałacowych wnętrzach – salonach, gdzie to znajdują się meble w stylu *empire*, ściany zdobią ogromne malowidła o tematyce mitologicznej, a w gablotach zgromadzone są zbiory porcelany i sreber.

Ale do rzeczy – na prawym brzegu Wisły, lśni najcenniejsza i jedna z najpiękniejszych dawna rezydencja magnacka – Zamek w Baranowie Sandomierskim. Ten imponujący obiekt architektury renesansowej, jest jednym z najlepiej zachowanych w Europie (co nie znaczy, że nie ucierpiał podczas ostatniej wojny, ale o tym później). Zamek został wzniesiony pod koniec XVI wieku, w miejscu średniowiecznego, obronnego dworu rycerskiego. Na przełomie XV/XVI wieku, właścicielem Baranowa został wielkopolski ród Górków. W 1569 roku, Stanisław Górka sprzedał dobra baranowskie Rafałowi Leszczyńskiemu. Ostatnim właścicielem Zamku z rodu Leszczyńskich był Rafał X, którego syn Stanisław Leszczyński był królem Polski. Zamek w Baranowie Sandomierskim przechodził kolejno w posiadanie rodzin: (same tuzy) – Wiśniowieckich, Sanguszków, Lubomirskich, Małachowskich, Potockich i Krasickich. W 1867 roku wystawione na licytację dobra baranowskie, nabył Feliks Dolański. W posiadaniu rodziny Dolańskich Zamek pozostał do II wojny światowej. Po zniszczeniach dokonanych podczas wojny (był obrabowany przez Niemców) i dewastacji dokonanej w pierwszych latach komunizmu (w salonach urządzono magazyn zboża), Zamek został w latach 1959 – 1969 odbudowany i odrestaurowany przez państwo pod kierunkiem prof. Alfreda Majewskiego. Później obiekt przekazano w zarząd Kopalniom i Zakładom Przetwórstwa Siarki „Siarkopol”

w Tarnobrzegu. Od 1997 roku właścicielem Zespołu Zamkowo – Parkowego jest Agencja Rozwoju Przemysłu S. A. w Warszawie.

Zespół zamkowo – parkowy usytuowany jest na skraju miasta. Tereny zamkowe oddziela od zabudowy małomiasteczkowej niewielki dopływ zwany Babulówką. Odczułem niezapomniane wrażenie gdy po stosunkowo długiej drodze z Sandomierza, nagle w niewielkiej oddali, pośród bujnej zieleni ukazały się helmy (a właściwie jeden helm, ale jaki duży) zamkowych baszt – tak dobrze znanych mi z książek, a tym razem było to moje własne odkrycie (w dodatku bezpośredni dojazd do Zamku zamknięty był z powodu robót drogowych i należało się doń dostać jadąc naokoło). Pozwoliło mi to ujrzeć, pasujący swą zabudową do otoczenia, trójgwiazdkowy hotel – jak się później dowiedziałem, zarabia on m.in. na utrzymanie i remonty Zamku.

Zamek baranowski wzniesiony został z cegły, z dodatkiem czerwonego piaskowca i wapienia do detali architektonicznych i elementów dekoracyjnych. Obecny kształt i wygląd Zamek zawdzięcza zmianom, które nastąpiły dopiero w I połowie XIX w. Wówczas to ówcześni właściciele, Krasicy, zasypali fosy otaczające z trzech stron teren zamkowy. Obecnie jest budowlą trzykondygnacyjną (jedną z nich stanowią piwnice), założoną na planie prostokąta. Naroża zdobią cztery okrągłe baszty, a środek elewacji frontowej akcentuje ryzalitowo wysunięta prostokątna wieża, mieszcząca u swej nasady bramę wejściową. Baszty wzbogacono helmami, zaś całą elewację południową zwieńczono (bardzo modną widocznie na tych terenach), bogato rozczłonkowaną attyką. Nie wiem jak inni, ale ja w takich sytuacjach (zwiedzanie) odczuwam coś w rodzaju spełnienia, zaliczenia kolejnego miejsca mocy, którym ja sam tylko wiem, że naładowałem swoje baterie.

W skrzydłach wschodnim, zachodnim i północnym znajdują się trakty mieszkalne, zaś południowe zamknięcie czworoboku stanowi ściana parawanowa (jedna jedyna

ściana z oknami, a za nią tylko podcienia. Brama wejściowa, poprzez boniowany portal kamienny, wprowadza zwiedzających po kilkunastu stopniach na dziedziniec. Ja czuję się już jak w niebie, obcuję właśnie z historią, a ponad moją głową unoszą się przeróżne duch przeszłości, a także natychmiast konfrontuję w pamięci wszystko to, co widziałem w książkach z rzeczywistością. Wewnętrzny, czworoboczny dziedziniec otoczony jest z trzech stron (z wyjątkiem właśnie północnej) dwukondygnacyjnymi arkadowymi krużgankami, w części południowej przerywanymi wachlarzowo rozwiniętą, dwubiegową klatką schodową – jest to po prostu wejście na pierwsze piętro schodami w kształcie wachlarza.

Nieodzwonne jest w tym momencie porównanie z Wawelem (zamek baranowski to przecież mały Wawel). Tak więc zawsze mnie intrygowało to, że na wawelskim dziedzińcu nie ma schodów, które prowadziłyby na piętro, a tu są, dawno już zresztą rozsądziłem ten problem. Wytlumaczyłem sobie, że zamek ten jest mniejszy od zamku królewskiego, no i nie przesadzajmy ze szczegółami – to wejście, to jakaś intrygująca cecha charakterystyczna tego miejsca. Kolumny krużganków parteru (jak slysze z ust przewodniczki) o jońskich kapitelach wsparte są na cokołach dekorowanych maskaronami (żaden się nie powtarza) i dźwigają półkoliste luki arkad (jak to poetycko opisuje zakupiony tym razem przewodnik drukowany). Czytam dalej: klatka schodowa i krużganki piętra zabezpieczone są balustradą na tralkach... i dalej pola pomiędzy lukami arkad ozdobione są rozetami. Krzyżowe sklepienia i frontowe ściany krużganków zdobione są polichromią o motywach heraldycznych i geometrycznych, odsłoniętą i uczynioną w trakcie prowadzonych po połowie XX w. prac konserwatorskich. Do wnętrza parteru prowadzą kamienne, profilowane portale, wykonane z czerwonego piaskowca. Wejścia z krużganków ujęto manierystycznymi, bogato zdobionymi obramieniami (może takie opisy są nudne, ale należy wziąć pod uwagę,

że właśnie jest co opisywać i każde to miejsce ma swój własny rodowód oraz to, że nie wzięły się same z siebie. Ponadto ta historyczno – architektoniczna gadanina stanowi jakby tło każdego udanego lata czy urlopu i jest jego zasadniczym tłem – ot, taka muzyka najlepszych dni w roku...). Trzy skrzydła mieszkalne, wschodnie, zachodnie północne (południowe to tylko, ganek i krużganki) zajmują wnętrza rozplanowane w układzie amfiladowym, przykryte sklepieniami klasztornymi lub kolebkowymi z lunetami, w części pomieszczeń ozdobione kartuszami z herbem Leszczyńskich Wieniawa. Leszczyńscy zresztą najsilniej zapisali się w historii tego zamku. Z dziedzińca piękna przewodniczka prowadzi swą grupę turystów do skrzydła zachodniego poprzez wielką sklepioną sień, prowadzącą do pomieszczeń w przyziemiu, konkretnie do dawnej kaplicy zamkowej, urządzonej na początku XX w. przez architekta Tadeusza Stryjeńskiego w stylu secesyjnym. Z dawnego wystroju zachowały się kolumny niosące drewniany strop. Wnętrze zdobią witraże wykonane według kartonów Józefa Mehoffera z 1903 roku (zakupilem odnośne pocztówki – trudno przejść obojętnie wobec sztuki J. Mehoffera), przedstawiające Strąconego Lucyfera, Aniołów, Archaniola Michała, Różę mistyczną, św. Jadwigę oraz Trzy Cnoty. W drewnianym ołtarzu znajduje się malowany przez Jacka Malczewskiego tryptyk z Matką Boską Niepokalaną Poczetą. Wyposażenie zostało w ostatnich latach z niezwykłą starannością zrekonstruowane, m. in. w oparciu o zachowane szkice projektowe Józefa Mehoffera. Komnaty kondygnacji piętra w skrzydle wschodnim mają stropy płaskie z fa-setą (?) i połączone są bogato rzeźbionymi, manierystycznymi portalami z kamienia pińczowskiego. Urządzone w formie salonów wypoczynkowych z XVIII, XIX i XX wieku (nazwy ich to: Zielony, Klubowy i Malinowy), mieszczących ekspozycję obrazów z kopiami m. in. Rubensa, Tycjana i van Dycka. W baszcie południowo – wschodniej zachowane

jest sklepienie bogato dekorowane stiukami, wykonanymi przez Giovanni Battistę Falconiego. W skrzydle zachodnim znajduje się największa sala zamkowa, zwana salą portretową. Dawniej była ona reprezentacyjną Salą Rycerską, przeznaczoną na bale lub obrady rozpolitykowanej magnaterii. Obecnie w Sali Portretowej znajduje się stała ekspozycja obrazów, przedstawiających postaci dawnych właścicieli Baranowa, jak też osób z nim związanych (Maria Leszczyńska, Stefan Batory). Moja krótka dygresja: cały wystrój wspomnianych salonów oraz Sali Portretowej zrobiły na mnie największe wrażenie – dopiero w takich miejscach mogę poczuć jak kulturalnie syci się moja dusza, to tak jakby z jakiegoś brudnego szlamu wejść do nieskazitelnego ruczaju. Dalej zobaczyć można wnętrza dawnej, zamkowej galerii obrazów. Galeria zwana jest obecnie Tylmanowską. Wnętrze jej zdobi wyszukana, barokowa dekoracja stiukowa, wykonana około 1694 – 1695 roku, na polecenie księcia Józefa Karola Lubomirskiego przez Tylmana z Gameren.

A teraz z innej beczki – zamek w Baranowie od dawna budził zainteresowanie nie tylko podróżujących i zwiedzających, ale także XIX-wiecznych badaczy naszych „starożytności”, głównie z krakowsko – galicyjskiego kręgu badaczy związanych z krakowską Akademią Umiejętności. Już w końcu XIX wieku, opublikowana została pierwsza naukowa, monograficzna rozprawa zatytułowana „Zamek w Baranowie” autorstwa Sławomira Odrzywolskiego. Zamek baranowski jako znakomite dzieło Santi Gucciego (głównego architekta) omówiony zostaje w monografii artysty. Kto chce wiedzieć więcej – tam odsyłam, w końcu każdy ma swój własny sposób kontemplacji sztuki – w każdym razie bardzo ważnym słupem milowym w tej sprawie może stać się odwiedzenie tegoż bardzo osobliwego miejsca.

Tomasz „Ażtenty” Barański

Jan Łączewski

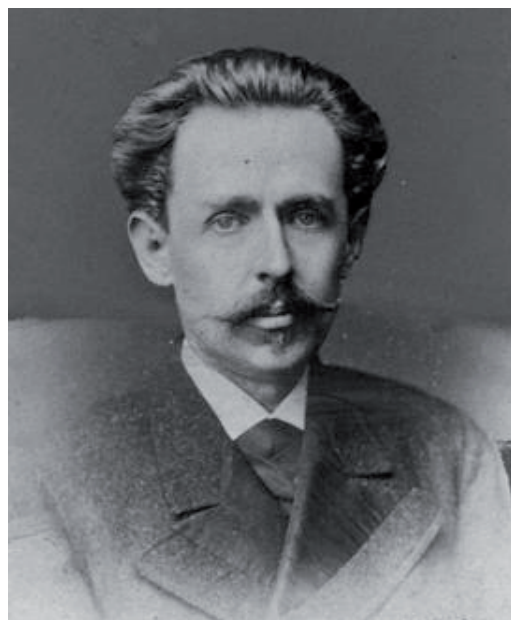
XAWERY LISKE

Xawery (Ksawery) Franciszek Liske urodził się 18 października 1938 roku w Śląskowie koło Rawicza w ówczesnym Wielkim Księstwie Poznańskim. Zmarł 27 lutego 1891 roku we Lwowie. Pochowany jest na Cmentarzu Łyczakowskim. Był założycielem i pierwszym (dożywotnio) prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego, organizatorem badań historycznych także w nowych wówczas dziedzinach jak dyplomatyka czy paleografia, zwłaszcza dotyczących średniowiecza, głównie historii Polski, ale również dziejów powszechnych. Uchodzi za twórcę lwowskiej szkoły historycznej, która przeciwstawiała się pesymizmowi krakowskiej szkoły historycznej. Był w młodości uczestnikiem powstania styczniowego.



Grobowiec Xawerego Liske na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, (foto net.)

Z pośród jego licznych drukowanych we Lwowie, ale także w Poznaniu, Krakowie i Warszawie, pozycji książkowych wymienię tu: „Bolesław Chrobry i Otto III w Gnieźnie”, „Szczerbiec i złote wrota kijowskie”, „Marcin Kromer biskup warmiński – dziejopis wieku XVI”, „Konstytucja 3 Maja i mocarstwa niemieckie”, „Austria wobec III rozbioru Polski”, „Katalog arcybiskupów gnieźnieńskich”, „Cudzoziemcy w Polsce”. W tym roku (2013) przypada 175 rocznica jego urodzin.



Xawery Liske (foto net.)

JANA ŁĄCZEWSKIEGO PRZYZYCNKI DO HISTORII CZĘSTOCHOWY

**CZĘSTOCHOWA W OKRESIE
II RZECZYPOSPOLITEJ 1918 – 1939**

WII Rzeczypospolitej Częstochowa zajmowała ósme miejsce pod względem liczby mieszkańców i była drugim – po Bydgoszczy – największym miastem prowincjonalnym nie będącym stolicą województwa. W 1921 roku liczyła – według spisu – 83 tysiące mieszkańców, w 1931 – 117 tysięcy, w 1939 – według szacunków – 139 tysięcy. W województwie kieleckim była największym miastem (stolica województwa – Kielce – miała 58 tysięcy mieszkańców, wyprzedzały ją także Sosnowiec i Radom).

Okolo jednej trzeciej mieszkańców Częstochowy stanowili Żydzi, około 5 % Niemcy. 62,2 % ludności utrzymywało się z pracy w

przemysłu, 12,7 % z handlu. W komunikacji i transporcie pracowało 6,5 % zatrudnionych częstochowian a inne działy zatrudniały około 1,5 % mieszkańców miasta.

Największym zakładem pracy była huta „Częstochowa”, która w 1923 roku przeszła z rąk niemieckiego koncernu Obereisen Industrie na własność Zakładów Modrzejewskich z siedzibą w Sosnowcu. W hutnictwie pracowało w Częstochowie około 4 tysięcy osób. Na pierwszym miejscu był przemysł włókienniczy i odzieżowy – ponad 15 tysięcy zatrudnionych. W latach prosperity przybywała też do miasta do pracy w fabrykach lub jako służba domowa pewna ilość ludzi z okolicznych wsi.

Organami ustroju miasta były: Zarząd Miejski – magistrat oraz pochodząca z wyborów Rada Miejska, która powoływała prezydenta. Wobec licznych konfliktów i sporów wewnątrz wielopartyjnej Rady funkcje prezydenta sprawowała dość często osoba powołana komisarycznie przez ministra spraw wewnętrznych.

Wydarzenia z lat 1918 – 1939 w Częstochowie

1924-1928 – budowa wodociągów i kanalizacji przez amerykańską firmę „Ulen & Company”.

1926 – przybycie pierwszego biskupa do nowo utworzonej (na mocy bulli

Piusa XI „Vixdum Poloniae Unitas” z 28 października 1925 roku) diecezji częstochowskiej – ks. dr Teodora Kubiny – oraz uroczystości w mieście i na Jasnej Górze.

1928 – powiększenie obszaru miasta przez przyłączenie części gmin Grabówka, Huta Stara, Stradom, Lisiniec, Zacisze, Mirów.

– poważny konflikt społeczny w fabryce „Union Textile” pomiędzy dyrekcją a załogą.

1929 – rozpoczęcie budowy gmachu teatru w Częstochowie. Całkowite ukończenie w 1938 roku.

1932 – przyjazd do Częstochowy prezydenta RP Ignacego Mościckiego.

1936 – duże i liczne manifestacje związkowe w Częstochowie, krwawe starcia z policją.

VII 1939 – wielka powódź w Częstochowie i w powiecie.

3 IX 1939 – wkroczenie wojsk niemieckich do miasta.

Źródło: J. Łączewski, *Częstochowa 1918 – 1939*, Częstochowa 1999.

Jan Łączewski

Prezydenci i komisarze miasta Częstochowy w latach 1918 – 1939

Funkcja	Imię i nazwisko	Okres sprawowania urzędu
Nadburmistrz	Romuald Jarmulowicz	do 26 III 1919
Prezydent	Józef Marczewski	IV 1917 – 26 III 1919
Prezydent	Aleksander Brandtke - Stężyński	27 III 1919 – 14 IX 1920
Prezydent	Józef Marczewski	15 IX 1920 – 13 V 1927
p.o. prezydenta	Paweł Gettel	14 V 1927 – 16 X 1927
Prezydent	Romuald Jarmulowicz	19 XI 1927 – 5 XI 1930
Komisarz	Aleksander Bratkowski	6 XI 1930 – 29 VI 1931
Komisarz	Józef Mazur	30 VI 1931 – 18 VIII 1933
Komisarz	Jan Mackiewicz	19 VIII 1933 – 30 III 1936
Komisarz	Karol Motal	31 III 1936 – 25 XI 1936
Prezydent	Jan Szczodrowski	26 XI 1936 – 16 XI 1939

Barbara Strzelbicka

ROZWAŻNE I ROMANTYCZNY, CZYLI HERBERT W DWÓCH ODSŁONACH

15 maja b.r. W OPK „Gaude Mater” odbyła się promocja tomów poetyckich młodych twórców: Agnieszki Złotej i Macieja Skalika. Wydawcą książek jest Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”.

Twórczość Agnieszki Złotej i drugi z kolei (po „Rachunku skupienia”) tom jej wierszy, zatytułowany „Studium filozofii upadku”, przedstawiła prowadząca spotkanie Aleksandra Keller, która podkreśliła spójność między prezentowanymi wierszami i ilustrującymi tom rysunkami Mariana Panka. Zwróciła też uwagę na literackie powinowactwa poetki, wskazując na Rilkego i Herberta. Sama autorka przyznała, iż wcześniej pozostawała pod wpływem twórczości Szymborskiej, Lipskiej, Barańczaka i Wojaczka. Obecnie pisze wiersze intelektualne i bliskie jest jej nastawienie filozoficzne, ale stara się zachować właściwą proporcję między liryką i filozofią. O tym, że tom jest próbą pogodzenia obydwu dziedzin, oprócz tytułu książki i zawartości tekstów świadczą także zamieszczone w książce recenzje, których autorami są: Artur Żywielek i Konrad Ludwicki – literaturoznawcy oraz filozof Ryszard Miszczyński. W dalszej części rozmowy autorka podkreśliła swoją wiarę w słowo i jego moc ocalającą, odpowiedzialność za nie i przywiązanie do rękopisów. Imponująca jest pracowitość Agnieszki Złotej – doktorantki na AJD, przewodniczącej koła „Anafora”, członkini zespołu redakcyjnego „Galerii” i poetki, która na wydanie tomu otrzymała stypendium Prezydenta Miasta Częstochowy. Zapytana o plany na przyszłość wyznała, iż niebawem wyda kolejny tom, a nawet zdradziła jego tytuł: „Raport o zieleni”.

Druga część spotkania poświęcona była promocji debiutanckiego tomu Macieja Skalika (rocznik 1983) „Różne odcienie szarości”, którego recenzentką była z kolei Agnieszka Złota (co za pracowitość!). Zapytany o to, dlaczego

pisze wiersze, młody poeta odpowiedział po Beckettowsku: bo do niczego innego się nie nadaje. Przyznał, że pisze niedużo – około 30 wierszy w ciągu roku, a do pisania potrzebuje samotności i wyciszenia. Jego refleksje dotyczą ludzkiej natury. Zapytany przez Aleksandrę Keller o mistrzów, wymienił Galczyńskiego, co jest szczególnie bliskie piszącej te słowa, bo jej przygoda z poezją zaczęła się od spotkania z Mistrzem Ildefonsem. Maciej Skalik poza tym lubi czytać wiersze Herberta, ale także twórców mało znanych. Swoich tekstów nie adresuje do określonego kręgu odbiorców, chce, aby czytali go wszyscy, najchętniej wykorzystując tzw. międzyczas: czekając na pociąg, w autobusie, w czasie przerwy w zajęciach... Tom zawiera także fotografie autorstwa Macieja Skalika – *żeby się poezja lepiej sprzedawała* – jak sam stwierdził. Przede wszystkim jednak czuje się poetą, a dopiero potem – fotografem. Autor sam czytał swoje wiersze i trzeba przyznać, że robił to znakomicie. W planach na przyszłość ma wydanie drugiego, trzeciego i może kolejnego tomiku.

Na spotkaniu obecna była licznie zgromadzona publiczność, w tym zarówno przedstawiciele częstochowskiego środowiska literackiego, jak i pracownicy naukowcy oraz studenci AJD. *No i ja tam byłam, miód i wino piłam...* Rozmowy o poezji zakończyły się w kularach OPK „Gaude Mater”, gdzie miały znacznie mniej oficjalny charakter. Młodym Poetom oraz Prowadzącej spotkanie życzymy wielu sukcesów na polu literatury!

Barbara Strzelbicka



*Rozważne Olga Wiewióra i Agnieszka Złota
- romantyczny Maciej Skalik, (foto: B. Strzelbicka)*

Agnieszka Jarzębowska

III NOC POEZJI I MUZYKI W SIERADZU

Co jest takiego w Nocach Poezji i Muzyki, co każe jechać przez parę godzin na spotkanie albo odrywać się w piątkowy wieczór od zajęć codziennych, przyziemnych? Co jest w słuchaniu najczęściej smutnych wierszy? Co jest we wczuwaniu się w emocje drugiego człowieka?

Coś być musi, i po to COŚ magiczne, niecodzienne, niezwykle wybrali się już po raz kolejny uczestnicy III Nocy Poezji i Muzyki do Powiatowej Biblioteki Publicznej w Sieradzu. Mottem wieczoru był fragment wiersza Jerzego Bilewicza „Kantyczka”:

*za zgojenie się słów i serc
odmów ze mną, Panie, ten wiersz[...]*

W organizacji imprezy ważne było wszystko – i występ gości, i muzyczna niespodzianka, kwiaty, dekoracje, małe co nieco w przerwie, noclegi u strażaków i parę bochenków chleba z miejscowej piekarni, podarowane ze szczerego serca dla poetów na śniadanie następnego dnia.

Ale nade wszystko ważne było spotkanie ze słowem. Rozmowy młodych z młodymi, starszych z młodymi, zresztą wiek nie miał większego znaczenia. Wszystkich połączyła chęć wysłuchania lub zaprezentowania poetyckiego słowa. To było spotkanie piszących i niepiszących, wytrawnych twórców – takich, co już zdobyli wiele laurów poetyckich, i takich, którzy dopiero stawiają pierwsze kroki w pokazywaniu siebie innym, a także tych, którzy najczęściej pisali do szuflady, a teraz zdecydowali się ją uchylić. Startujących w Turnieju Jednego Wiersza było 25, wśród nich poeci z Radomska, Łodzi, Zduńskiej Woli, Pabianic, Konstancji Łódzkiego, Warty, Sieradza. Poza konkursem wystąpił nawet Piotr Polak, poseł na Sejm – ze swoim tekstem sprzed wielu lat.

Na sali była też grupa poetów, którzy nie zdecydowali się na start w turnieju, przysłuchiwali się jednak z uwagą wszystkim prezentacjom i z niecierpliwością oczekiwali na werdykt jury.

Oczywiście zgromadzeni w bibliotecznej czytelnicy byli ciekawi gości zapowiedzianych w

zaproszeniu. To miały być NAZWISKA, jak ktoś zauważył. I byli. Artur Fryz – poeta, organizator Festiwalu „Złoty Środek Poezji”, Sławomir Bohdan Matusz – poeta, krytyk literacki, autor kilkunastu tomików poetyckich, Wojciech Kass – poeta, eseista, opiekun Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu, autor dziesięciu tomików wierszy. Przybyli bezpośrednio z Sosnowca. Po raz pierwszy, jak zapewniali, w takiej konfiguracji, czytali na przemian swoje wiersze. Teksty pochodziły z wcześniejszych tomików, a także wydanych całkiem niedawno i jeszcze niepublikowane. Każdy z trójki poetów znalazł swoich odbiorców, zdobył serca nowych fanów.

Wystąpił także „Blogostan” – zespół młodych artystów skupionych w Forum Inicjatyw Twórczych w Parzęczewie. Interesujące głosy, swoboda wykonania i niesłychana energia. Nie sposób było ich nie polubić od pierwszej nuty.

Podczas przerwy na kulinarną przekąskę był czas na pogawędki o muzyce i poezji. Sławek Matusz w swoim góralskim kapeluszu zapozował do zdjęcia, ktoś poszedł na taras na papierosa, ktoś się napił kawy, ktoś skosztował ciastko, ktoś rozpoczął poważną dysputę o kondycji współczesnej literatury.

Jury udało się na obrady, a w tym czasie wystąpił Mirosław Czyżykiewicz – polski pieśniarz, gitarzysta, poeta, kompozytor, artysta grafik, członek Akademii Fonograficznej ZPAV, natychmiast zaskarbiając sobie sympatię słuchaczy interpretacjami tekstów Stachury, Brodskiego, Wysockiego.



Robert Rutkowski

Z pięknym pucharem Starosty Sieradzkiego i główną nagrodą wyjechał z Sieradza Robert

Rutkowski (Łódź), drugą zdobył Kacper Plusa (Pabianice), trzecią Dariusz Staniszewski (Łódź). Trzy dwuosobowe wycieczki do Warszawy ufundowane przez posła Piotra Polaka przyznano laureatom czwartego miejsca: Arlecie Clapie, Michałowi Malińskiemu i Marcie Szyfer-Dopadlik. Obraz Piotra Najwera trafił jako wyróżnienie do rąk Tadeusza Zawadowskiego ze Zduńskiej Woli.

Był czas na refleksje tłumacza Marka Marciniaka, który w dowcipny sposób przedstawił problemy, z jakimi stykał się podczas procesu tłumaczenia tekstów m.in. członków Koła Literackiego „Anima” do antologii „Contemporary Writers of Poland 2000-2014” i dla potrzeb portalu e-multipoetry.eu – prezentującego poezję na murze na Brackiej w Krakowie.

Inicjatorką Nocy Poezji i Muzyki jest Maria Duszka – członek oddziału ZLP w Poznaniu, autorka ośmiu tomików poetyckich, szefowa Koła Literackiego „Anima” i przewodnicząca Zarządu Oddziału Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Sieradzu. Od początku współorganizatorem imprez z tego cyklu jest Powiatowa Biblioteka Publiczna – tutaj wielkie podziękowania należą się dyrektor Hannie Krawczyki i jej pracownikom. Nasza impreza nie mogłaby się też udać bez pomocy darczyńców: Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, firmy Partnertech Sp. z o.o. i Banku PKO Bank Polski Oddział w Sieradzu.

A oto zwycięski tekst Roberta Rutkowskiego wytypowany przez jury w składzie: Artur Fryz (przewodniczący), Agnieszka Jarzębowska i Maria Duszka (sekretarz).



Wojciech Kass, Przemysław Dakoniewicz, Agnieszka Jarzębowska, Artur Fryz i Sławomir Bobdan Matusz (w góralskim kapeluszu).

Otwarcie

dla Piotra Gajdy

Drogi Piotrze, przepraszam, dawno nie pisałem i, chcąc nie chcąc, przywykłem do tego milczenia, które mnie zamieszkuje jak dużo za mały i duszny pokój pełen wyrzutów sumienia, zamiatanych pod dywan albo upychanych gdzieś po kątach. To wszystko jak podarowany

w dobrej wierze, a jednak nietrafiony prezent, z którym, nie wiedząc czemu, tak trudno się rozstać. Jest grudzień. Późny wieczór. Niezbyt mroźny. Siedzę przy nocnej lampce twarzą zwrócony do okna i widzę się wyraźnie, jakby tam, na zewnątrz, istniał taki sam pokój z nocną lampką, ze mną

i oknem, czego przecież nie mogę wykluczyć. Ostatnio dla wygody wierzę już we wszystko z wyjątkiem Boga. Ciało jest lżejsze bez duszy i ciałem przyjdzie w końcu płacić za naiwność. Trochę się rozgadałem, zupełnie jak nie ja. Zrzuc to na kark długiego milczenia lub przejaw

kryzysu wieku... Słowa umieją tak łatwo żywić się sobą. Dawniej były jak kamienie, musiałem je rozgryzać, by przeszły przez gardło. Dzisiaj to piasek, którym posypują jezdnie panowie w odbłaskowych kamizelkach (jeśli wolisz bardziej dosłownie: poeci współcześni).

Pojutrze koniec świata. Nie pierwszy, na pewno też nie ostatni, jaki przeżyję. Nie dziwi nawet myśl, że z niewielu osiągnięć to jedno mógłbym z czystym sumieniem wpisać sobie w CV i łódką z żółtym żaglem popłynąć na wyspę, którą nam obiecano – a wyszło jak zwykle.

Co poza tym? Codzienność. Szarość przedzierana widokiem sześciolatniej córki, rysującej drzewo na kartce, która jeszcze do niedawna sama mogła być drzewem. Uśmiechnięte słońce czuwa nad naszym domem, dym leci z komina – wciąż ten sam, od którego wszystko się zaczyna.

(grudzień 2012)

Już wiemy, że chętnych do udziału w kolejnych Nocach Poezji i Muzyki nie zabraknie.

Agnieszka Jarzębowska

*Fotografie dzięki uprzejmości Agnieszki Jarzębowskiej.

NOTY O KSIĄŻKACH

Janusz Mielczarek: *Ciało twojego snu – opowiadania*. Wydawnictwo NEW Fine Grain Kielce, Częstochowa 2013, s. 168.

9 opowiadań, które po sukcesie „Hrabalowska” stanowią swoistą kontynuacją fascynacji prozą. I chce się powtórzyć za Romanem Szenkiem – „Tego nie można ani „pochłonać”, ani przeczytać tzw. „jednym tchem”. [...] Każdy z tych utworów jest bowiem sam w sobie perelką Małej Literatury, właśnie przez skróty, niedopowiedzenia, aluzje [...]. Proza Janusza Mielczarka nie konstatuje, nie odpowiada na pytania, nie rozwiewa wątpliwości. Ona pytania zadaje, zmusza czytelnika do ocen, czasem formowanych w nastroju platońskiego poszukiwania świata doskonałych idei, ale częściej w egzystencjalnym poczuciu lęku. Szerzej o książce po promocji przewidzianej na początek października, w 28 numerze „częstochowskiego magazynu literackiego GALERIA”.



Foto: red.



Foto: red.

Tomasz Jamroziński: *Mężczyźni są z Warsa*. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Śródmiejskie Forum Kultury – Dom Literatury, seria: Biblioteka ARTERII, Łódź 2013, s. 50+2.

40 „dobrze skrojonych i nieźle leżących wierszy”, jak napisała Agnieszka Wolny-Hamkało na okładce książki Tomasza Jamrozińskiego. Do tej pory wydał zbiory wierszy: *stenogramy* (Ha!art, Kraków 2004) i *Przylądek do skrócenia* (Portret, Olsztyn 2007) oraz powieść kryminalną *Schodząc ze ścieżki* (Oficyna, Gdańsk 2012). Niektóre wiersze z nowego tomu ukazały się wcześniej w „Twórczości”, „Pograniczach” i „Gazecie Wyborczej”. Mieszka w Częstochowie. Od niedawna sekretarz redakcji „Jasne, że Częstochowa”.

Wojciech Pestka: *Powiedzcie swoim*. Wydawnictwo Wysoki Zamek, seria: Suma Znaków, Kraków 2013, s. 325+3.

[Z noty wydawniczej]: Jak pisać o najnowszej historii, by nie była jedynie epizodem z podręcznika szkolnego [...] Tłem powieści Wojciecha Pestki jest panorama ogarniętego robotniczymi protestami miasta (Radom '76), odmalowana w szczegółach sytuacja polityczna Polski lat siedemdziesiątych, odsłaniająca kulisy decyzji podejmowanych przez tamte władze. Zapisy kroniki filmowej oraz notatki służbowe funkcjonariuszy SB ujawniające metody ich działań wzmacniają wiarygodność relacji, nadają całości specyficzny koloryt, są elementem odautorskiej wypowiedzi na równych prawach z mającym postać lirycznych rozważań monologiem wewnętrznym, wnikliwie odtworzonym strumieniem świadomości. Kim jest Mistrzo (Ferdynand, Frycek) – główny bohater powieści, były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa? [...] Kat, sędzia, ofiara – autor szuka odpowiedzi na pytanie o obszar legalnego funkcjonowania tajnej służby działającej w imieniu państwa, o granicę, za którą zaczyna się ideologiczna manipulacja i bezprawie....

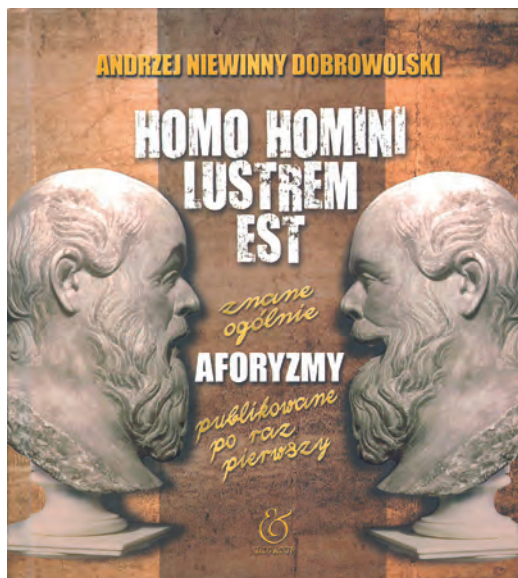


Foto: red.

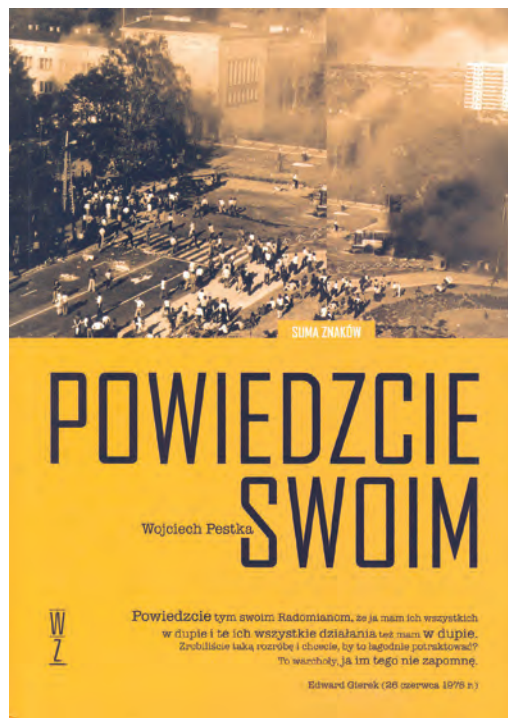


Foto: red.

Andrzej Niewinny-Dobrowolski: *Homo homini lustrum est [aforyzmy]*. Litteratursällskapet Ligatur Sweden, Skultuna 2012, s. 96+2.

[Z noty wydawniczej]: Mistrz gatunku, Sławomir Mrozek, żartobliwie porównał aforyzm do gimnastycznego drążka i wykonywanych na nim ewolucji, których stopień zaawansowania należy wyłącznie od umiejętności akrobata. Książkę Andrzeja Niewinnego-Dobrowolskiego śmiało można uznać za taki właśnie gimnastyczny przyrząd. Wprawionym przyniesie tyle samo zabawy, co pretekstów do zadumy nad światem, dla pozbawionych kondycji będzie dobrą okazją do wprawiania się w arkana sztuki „pisania mniej, by powiedzieć więcej”, bowiem uchwycenie świata w aforyzm to rzecz nie tyle kusa i błyskotliwa, co zaiste karkołomna. Warto pobrać nauki od samego mistrza.

Aleksander Wierny: *Teraź*. Wydawnictwo Oficynka, seria: ABC, Gdańsk 2012, s. 168.

[Z noty wydawniczej]: Kilka osób w podejrzanych okolicznościach otrzymuje intratne propozycje. Nie do końca wiedzą, co mają robić, nikt nie wie też, o co może naprawdę chodzić. Ale stany ich kont znacząco się zwiększają, a to jest przecież najważniejsze. Do czasu... Żądze, pragnienia, manipulacja, wewnętrzne konflikty i dramaty – oto materia, z której utkany jest kryminał Aleksandra Wiernego. Powieść częstochowskiego prozaika to oryginalne połączenie tematyki kryminalnej z metafizyczną, każące zastanowić się nad tym, co tak naprawdę kieruje nami w życiu.

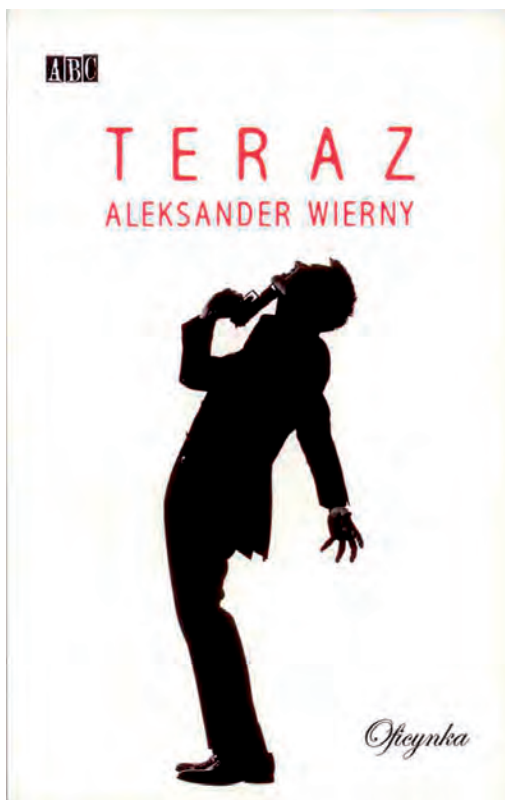


Foto: red.

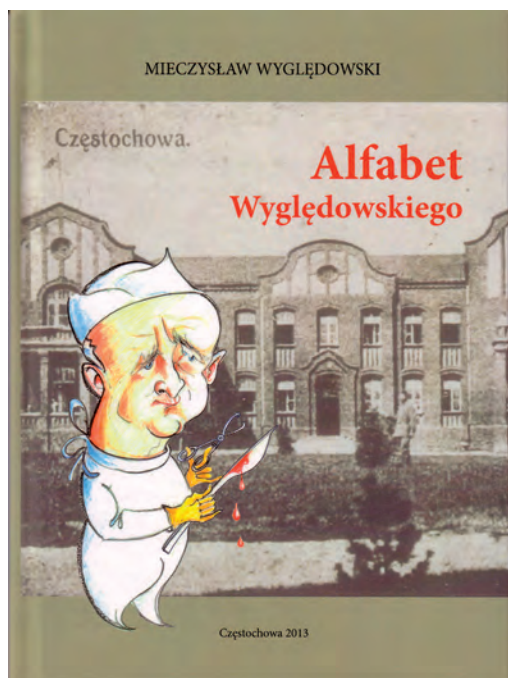


Foto: red.

Mieczysław Wyględowski: *Alfabet Wyględowskiego*. Wydawnictwo Harit – Krzysztof Bednarek, Częstochowa 2013, s. 76.

Po alfabetycznych bilansach poczynionych ręką Stefana Kisielewskiego „Kisiela” oraz Jerzego Urbana Częstochowa ma swój własny uczyniony ręką znanego i uznanego lekarza, społecznika, polityka – Mieczysława Wyględowskiego. Choć rejestr postaci w nim opisanych jest dość subiektywny, to jednak poczyniony ze swoistą brawurą słowa i conceptem artystycznym. Nie mogło być inaczej, skoro sam autor nie kryje swojego umiłowania wobec sztuk wszelakich i samego życia, które smakuje od osiemdziesięciu lat.

Sprostowanie do tekstu Bogdana Knopa zamieszczonego w „GALERII” 26 w dziale RELACJE pod tytułem: „Protokół z przesłuchania w sprawie benefisu Ob.Wiesia”: informujemy, że zamieszczone w tekście fotografie błędnie przypisa-
liśmy innemu autorowi – Jakubowi Zembikowi. Właściwym autorem zdjęć z be-
nefisu Wiesława „Kardynała” Wyszyńskiego jest Zbigniew Milka. Za zaistniałą
pomyłkę wymienione osoby przepraszamy.

Redakcja



Igor Mitoraj, *Narodziny Erosa* (fot. B. Gorska)

Copyright © **LITERACKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEJ ADORACJI**
„Li-TWA” w Częstochowie

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Agnieszka Złota, Olga Wiewióra (redaktor naczelna), Władysław E. Piekarski, Jan Łączewski, Rafał Socha (zastępca redaktora naczelnego, e-redaktor), Ireneusz K. Korpyś.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Koldej – Ptak, Małgorzata Nowakowska – Karczewska, Olga Bąkowska, Alicja Nowak, Piotr Głowacki, Wojciech Grabalowski, Bogdan Knop, Kazimierz Kowalczyk, Wojciech Kajtoch, Jacek Gierasieński, Michał Wilk, Marian Panek, Jerzy Hutek, Tadeusz Chabrowski, Andrzej Kalinin.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

Jarosław Leszczuk (redaktor techniczny)

Druk:

Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42 – 200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl



Printed in Poland.

Wydawca:

Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li - TWA” w Częstochowie
ul. Wilsona 8
42-200 Częstochowa

Adres dla korespondencji:

ul. Mireckiego 22 m. 43
42-206 Częstochowa

Adresy e-mail do przysyłania materiałów w formie elektronicznej:

alekeller@interia.pl
galeria.piekarski@gmail.com
galeria.litwa@gmail.com

www.litwa.czyst.pl

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000308140 Regon: 240938341 NIP: 9492090225

Konto: BANK MILLENNIUM 19 1160 2202 0000 0001 1690 1952

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISBN 978-83 -63052 -59 -1



Jerzy Duda-Graczy (foto. Janusz Mielczarek)

FOTOgaleria



Dziewczyna (foto: Janusz Mielczarek)

ISBN 978-83-63052-59-1